Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 20 (1364) ROK XXVII 19 MAJA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

- Kartka wrzucana z troską
- Łódzcy kolarze i łódzkie etapy w Wyścigu Pokoju
- Polak z paszportem
- Zamach stanu

Chleb podany na kiju...

Z ALEKSANDREM FOGLEM rozmawia BOHDAN GADOMSKI

Motto:
„A la Villon!
Gdyby pode mną pękł sznur szubienicy,
A Chrystus chciał mnie za brata!
Zawsze zwać będą mnie szubienicznikiem...
Za Boga, stos — albo... krata!
Bo gdybyś dusze wyśpiewał im swoją,
Tańcząc połamał dwie nogi...
Będziesz pariasem w ciągłej poniewierce!
Na głód wypędza cię srogi!
Na drogę kopnie cię syty obżartuch,
A nawet spierze po ryju!...
Gdybyś dziękował za takie uznanie,
Chleb da ci suchy na kiju!..."

Aleksander Fogiel

ALEKSANDER FOGIEL, znakomity aktor teatru, filmu i telewizji, o ogromnym dorobku (także reżyserskim, scenograficznym, dramaturgicznym) obchodzi w br. 55-lecie pracy artystycznej. W swoich zamierzeniach chce je odbyć w mieście, z którym związał swój aktorski i prywatny los, na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi, gdzie przez 22 lata był czołowym aktorem o unikalnym dziś emploi. Do swego jubileuszu Fogiel przygotowywał się już w 1979 roku, nie przypuszczając, że będzie czekał kolejnych pięć lat.

— To już 25 rok pańskiego pobytu w Łodzi?

— Tak. Ćwierć wieku pracy dla miasta, które stało się dla mnie moim drugim miastem rodzinnym... Łódź, która po raz pierwszy ujrzałem, nie była doliną róż. Dymy fabrycznych kominów, kocie łby, na których traciło się równowagę, rzymska kanalizacja, a przede wszystkim zmęczeni ludzie: na ulicach, w tramwajach i w teatrze — to były „znaki i barwy" tego miasta. Na każdym kroku odczuwało się wszechwładną obecność pracy. W teatrze, po podniesieniu kurtyny,

10

Piotrkowska, godzina duchów

REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK

Ile pór dnia i nocy, tyle twarzy ma nasza ukochana Piotrkowska. O szóstej rano ludzie walą do pracy, o dziesiątej ustawiają się w kolejkach, potem obydwa przeciwległe chodniki zmieniają się w barwną i hałaśliwą promenadę, pod sklepem Jubilera i Pewexem urzędują cinkciarze i złotnicy, tłum we fryzjerniach, luksusowe panienki zasadzają się w Grandzie na Arabów, barmani (żeby zarobić) i pijacy (żeby ukoić nerwy), dygocą z furii wypatrując godziny pierwszej, handel i klienci uprawiają cyniczne bezprawie po obu stronach lady, milicjanci uczą nas, jak przechodzić jezdnie, zamiast pomóc matkom poznosić wózki dziecięce przy rogu Mickiewicza, gdzie konstruktorzy podziemnego pasażu nie pomyśleli o takim głupstwie, jak pochylnie dla tych bezspalinowych pojazdów.

Tak czy owak jest ładnie i miło. Piotrkowska ma swoją klasę i sława jej przetrwa tysiące lat. Korozja moralna, która toczy nas od środka, nie jest widoczna za kremem, pudrem, szminką, gustownym ubraniem i wytresowanymi manierami. Przez okna samochodów wydajemy się piękni. Przybysz z obcych stron, który wyszedł na krótką przechadzkę z hotelu i przygląda się naszym twarzom, wierzy, że jesteśmy narodem z kolosalną przyszłością. Nie brak nam fantazji i dowcipu; humor dopisuje nam nawet w długich ogonkach po bagietki i śrubki.

Tłok na Piotrkowskiej trwa mniej więcej do godziny piątej, potem zaczyna się pora odpływu. Jednakże każdy baczny obserwator obyczajów wie, że jest to odpływ pozorny — odpływa wprawdzie wielka masa ludzka, pustoszeją z wolna chodniki, ale równocześnie zapełniają się kawiarnie, bary, lodziarnie i kina, tu i ówdzie gra już muzyczka, tylko patrzeć, jak zaczną wpuszczać do nocnych lokali.

Moją opowieść o Piotrkowskiej chcę rozpocząć od godziny szarego kota, która jest ruchoma i zmienia się w zależności od pory roku.

Godzina szarego kota spływa na miasto z pierwszym zmierzchem, kiedy słońce, jeśli zaszczyciło nas akurat swoją obecnością, zapada się majestatycznie za dachami Retkini, tężeje chłód, kroki przechodniów wzbijają w secesyjnych murach lekkie echo, szelest opon samochodowych na jezdniach staje się wyraźny i wymowny a oczy ludzkie mrużą się dla lepszej widoczności.

Godzina szarego kota przykrywa litościwym woalem trzydniowy zarost, dziurawe pończochy, rozdeptane buty i uwalane błotem ubrania.

W godzinie szarego kota człowiek, kim by nie był, przestaje się wstydzić — jest to zatem, na Piotrkowskiej, czas swoistego wytchnienia — gdzieś spod ziemi wypełzają na ulicę wiekowe prostytutki o twarzach pozbawionych wszelkiego złudzenia, pod ścianami przemykają na poł trzeźwi pijacy, czasem czai się w bramie zdesperowana hiena i pociągający nosem szakal, na skwerkach widać grupki młodzieńców, którzy nałykali się jakichś prochów. Nie brak także mocniejszych akcentów — środkiem chodnika walą zgraje kulturystów i punków nie mające nic przeciwko temu, aby zademonstrować swą krzepę.

Jakkolwiek dla dobra czytelników wolałbym uniknąć w mojej opowieści publicystycznych wtrętów, muszę od razu na początku postawić pewną tezę. Otóż..

Piotrkowska jest najpiękniejszą, najsławniejszą ale zarazem najbardziej niebezpieczną ulicą Łodzi i nie ma od tego żadnego odwołania!

Dotyczy to oczywiście godzin wieczornych. W dzień przychodzimy na Piotrkowską, żeby błysnąć opalenizną i nowym ciuchem, żeby zrobić zakupy i spotkać się ze znajomymi, wieczorem — żeby wypić, wywołać awanturę i pokazać, kto tu właściwie rządzi.

Pewien publicysta powiedział, że kiedy idzie na przykład ciemnymi zaułkami Widzewa czy Bałut, czuje się dużo bezpieczniej, niż na nieźle oświetlonej Piotrkowskiej, gdzie co kilka kroków zaczepia cię jakiś nicpoń — jeden prosi o papierosa, drugi o jałmużnę, trzeci czyni bezczelne propozycje twojej małżonce, czwarty, mając za plecami swoich kompanów, szepcze przez zęby — Pieniądze, kolego, albo w ryj!

Po zmierzchu trzeba zachować na Piotrkowskiej maksymalną czujność i przechodzić bez przerwy z jednej strony na drugą, w celu uniknięcia kontaktu z przeważającymi siłami wroga. Uwagę tę czynię pod adresem naszych dzielnych obrońców porządku.

O dziewiątej, kiedy pozytywka na placu Wolności wygrywa nostalgiczną „Prząśniczkę" (przechodnie przysłuchują się temu z prawdziwą przyjemnością), w innym punkcie miasta, róg Piotrkowskiej i Andrzeja Struga, otwiera podwoje nocny sklep, pod którym stoi już od dłuższego czasu osobliwa kolejka.

Sklep ów, byłe Delikatesy, świadczy usługi na rzecz Łodzi i okolic aż do godziny czwartej nad ranem, sprzedając artykuły żywnościowe (głównie alkohol) z piętnastoprocentowym zaledwie narzutem.

Idea uruchomienia tego punktu sprzedaży jest nad wyraz słuszna, ogranicza bowiem działalność wielu pijackich melin i odbiera klientów ulicy Włókienniczej, w której bramach i zaułkach można nie tylko paść ofiarą oszustwa kupując na przykład za podwójną cenę

7

Komu cudze dzieci?

EDWARD BRYL

Zostają tu cały tydzień. Na sobotę i niedziele idą do domów. Ale zdarza się często, że muszą je brać do siebie opiekunki — mamusie zapominają o swoich pociechach. Potem nierzadko wracają z domowych pieleszy brudne, posiniaczone. Głodne! Nawet po świętach! Rzucają się na jedzenie jak dzikie zwierzęta. Tak naprawdę, to tylko tu żyją względnie normalnie.

— Żłobek zakładowy Przędzalni Bawełny im. Gen. Waltera w Zgierzu jest uniwersalny — tygodniowy, trójzmianowy, dzienny. Pełni specyficzną rolę — mówi z-ca dyr. ZOZ-u zgierskiego do spraw Służb Społecznych, Ewelina Rudnicka — *zapewnia opiekę dzieciom z rodzin szczególnej troski, które z różnych względów zostały jej pozbawione na okres przejściowy, albo oczekują na umieszczenie w Państwowych Domach Dziecka. Placówka swoją działalnością obejmuje tereny gmin Zgierz, Parzęczew, Ozorków i miast Zgierza, Ozorkowa. Sprawuję nadzór merytoryczny i oceniam ją bardzo wysoko. Jest to najstarszy żłobek w tym mieście. Zajęcia są bardzo urozmaicone, prowadzi się rytmikę, teatrzyk kukiełkowy. Dzieciaki otoczone są autentycznie serdeczną opieką! Tutaj odbywają się szkolenia praktyczne dla fachowego personelu.*

Czysto, słonecznie, przytulnie. Maluchy garną się, przejść spokojnie nie można. Personel z sercem na dłoni. Mnóstwo zabawek — w użyciu! Salka kinowa z projektorem do wyświetlania bajek. Minigabinet fryzjerski, to nie tylko miejsce zabaw, tu odbywa się strzyżenie, czesanie główek. Wszędzie wełniane dywany! W oknach kolorowe zasłony retro z falbankami.

Niedawno przybył tutaj z Państwowego Domu Małych Dzieci w Łodzi półtoraroczny Łukasz S. Znerwicowany, uciekł na widok opiekunek. Chował się do kąta, pod stół. Tłukł głową o podłogę, szafę. Czemu tak się zachowywał? Przywieziono go przecież z państwowej placówki, nie ze środowiska, gdzie, wiadomo, różnie postępuje się z dzieckiem. Wypadałoby przyjrzeć się bliżej tej sprawie i poświęcić jej odrębny tekst.

Dzisiaj Łukasz jest zupełnie inny. Przybiega, czepia się nóg, przymila, byleby go dotknąć, pogłaskać, przytulić. Czułe serca, troskliwa opieka, potrafią zdziałać cuda. Zabliźniły się rany. Maluch odzyskał dzieciństwo, zaufanie do ludzi dorosłych.

6

Przegląd prasy

Mamy już dość kryzysu. Wszyscy chcieliby, abyśmy już z niego wyszli. Samo się to jednak nie zrobi. Kryzys doskwiera, ale też i kryzys może być usprawiedliwieniem. Że nas na to i owo nie stać, że tego i tamtego nie zrobimy, bo właśnie mamy kryzys, a to wszystko jest na lepsze czasy, więc poczekajmy. Na co? Na cud na przykład, który to cud sprawi, że półki w sklepach same się zapełnią, a pieniądz w naszych kieszeniach sam zamieni się w złoto? Nic z tego. Takie cuda się nie zdarzają. Wszystko zależy od nas. Od naszych postaw, sposobu myślenia, wrażliwości na innowacje, od naszego stosunku do reform i do pracy.

Adam Bednarski w „PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM" (nr 20 z 13 maja 1984 r.) w artykule pod tytułem *„Klucz do dobrobytu"* słusznie pisze, że

WSZYSCY SĄ ZA REFORMĄ, ALE

„potem gdzieś po drodze... rwie się to i owo". Bierze się to między innymi właśnie z postaw, ze sposobu myślenia, z braku wrażliwości na innowacje, a nawet wręcz z niechęci do nich, a wreszcie ze starych nawyków, przyzwyczajeń i wygodnictwa. *„Stan świadomości społecznej* — pisze A. Bednarski — *to ważna kategoria ekonomiczna, ale stan nieświadomości również"*. Uświadomienie sobie takiej zasady krępuje ręce i mózgi reformatorom, poczynania władzy, wszelkie próby poszukiwań rozwiązań innych, niż te, którymi do tej pory się posługiwano. Adam Bednarski podejmuje więc próbę analizy absurdów, w świecie których żyjemy, a które nam wyraźnie przeszkadzają w poszukiwaniach najlepszych dróg wyjścia z kryzysu.

Jest to dość ważny — nie tylko ciekawy — artykuł, choć właściwie jego autor nic nowego nie odkrywa. Zbiera te absurdy w jedną całość i przedstawia nam do przemyślenia. Proponuje dyskusję. Ale znaczenie tego artykułu polega przede wszystkim na tym, że uświadamia wszystkim owe dziesięć absurdów, które nam przeszkadzają i hamują postęp. Z tego to powodu przedstawię je po kolei, w dużym skrócie oczywiście.

Absurd pierwszy — to ogólna niemożność wyjścia z kryzysu, nakazująca właśnie czekanie na nie wiadomo co. Aż Ronald Reagan zniesie sankcje, aż minie kryzys. Ale on sam nie minie, więc mówienie, że *„jest kryzys, nie stać nas na to"*, że *„nie jest to właściwy moment na reformy"* jest tylko szukaniem usprawiedliwienia własnej indolencji, niemocy, braku pomysłowości oraz własnego przyzwyczajenia do tego, co stare, minione i złe. Głoszenie takich poglądów przyczynia się również do podziału narodu na „władzę i społeczeństwo", bo to władza ma szukać wyjść z kryzysu, a społeczeństwo ma na to spokojnie czekać.

Absurd drugi — polega na tym, że widzi się jakoby *„reforma gospodarcza w swych rozwiązaniach zbyt „odstaje" od założeń ustrojowych socjalizmu"* i jest jakby szukaniem rozwiązań z innego systemu ustrojowego — kapitalizmu. Adam Bednarski przypomina, że — po pierwsze — radzieccy ekonomiści już dawno nadali dużą rolę mechanizmom rynkowym w ZSRR, a — po drugie — praktycznie wprowadzili to w życie bracia Węgrzy i jakoś nikt ich od czci i wiary nie odsądził. Nadal są krajem socjalistycznym.

Absurd trzeci — to przywiązywanie zbyt wielkiej wagi do roli administracji państwowej w wychodzeniu z kryzysu. Tu warto byłoby przypomnieć trafne zdanie A. Bednarskiego, że *„na pierwszej linii frontu walki z biurokracją stają zawsze... biurokraci i nawet doskonale czują się w tej walce"*. Ale ta chęć administracji do walki o swój prymat wcale nie wynika tylko z chęci obrony swoich interesów. Ma ona głębszy sens. Jest to wynik przekonania, że wszystko można załatwić samymi ustawami, że prawo ma taką moc, iż tylko zostanie postanowione, a zmienia natychmiast rzeczywistość. Takie przekonanie funkcjonuje i zyskuje uznanie, mimo tego, iż już nie raz stwierdziliśmy wysoką jakość naszych ustaw i całkowite ich pomijanie w praktyce. Z tego to powodu — pisze dalej A. Bednarski — również ustawa o systemach motywacyjnych, czyli o płacach, nie uczyni cudu, jeśli ludzie nie zostaną w racjonalny sposób zachęceni do pracy. *„Od czasów, gdy Fenicjanie wynaleźli pieniądze, nie ma podobno lepszego środka mobilizującego do pracy"*. Ba, ale ten środek jest u nas w niełasce i właśnie na tym polega cały absurd, że wszyscy chcieliby mieć pieniądze, ale przy jak najmniejszym wysiłku i więcej od sąsiada.

Absurd czwarty — to niechęć do rzemiosła i firm polonijnych, jak też ajencji, oparta — jak twierdzi A. Bednarski — bardziej na zawiści niż na logicznym myśleniu i rzetelnej analizie. Firmy polonijne produkują 0,2 proc. ogólnej puli towarów przy zatrudnieniu wynoszącym 0,1 proc. ogólnego. Gdyby te firmy rozwiązać — pisze A. Bednarski — to przy wysokiej tam wydajności rynek zostałby pozbawiony 0,2 proc. towarów.

Absurd piąty — to domaganie się „urawniłowki" w płacach. Jest to jeden z najbardziej niebezpiecznych absurdów. Bowiem *„ludzi przeraża wizja oceny własnej pracy"*, a bez płacy wedle pracy wiele naszych reformatorskich poczynań pozostanie tylko w sferze pobożnych życzeń.

Absurd szósty — to żądania powrotu do obowiązkowych dostaw i upaństwowienia rolnictwa.

Tu muszę zrobić małą dygresję i zwrócić uwagę Czytelnika na artykuł Eugeniusza Gajewskiego, Wiesława Iwanickiego i Ludwika Maźnickiego w „NOWYCH DROGACH" (nr 4 z marca 1984 r.) pt. *„O pewnych mitach i mistyfikacjach"*. Autorzy tego artykułu zwracają uwagę, że już od dawna kursuje wiele recept na zbawienie rolnictwa. Jedna z nich na przykład głosi:

DAJCIE WIĘCEJ ŚRODKÓW PRODUKCJI ROLNIKOM

a będzie więcej żywności i nie bierze pod uwagę tego, że do właściwego wykorzystania tych środków produkcji potrzebna też jest odpowiednia kultura rolnicza na wsi. O tym jakby się zapomina. Autorzy przestrzegają też przed dzieleniem rolnictwa, zwracając uwagę, że są dobre i złe PGR, dobre i złe spółdzielnie produkcyjne, dobre i złe gospodarstwa chłopskie i z tych to też powodów do spraw naszego rolnictwa trzeba podchodzić kompleksowo i szukać rozwiązań systemowych.

Zrobiłem tę dygresję, gdyż ona wiąże się z przedstawionym przeze mnie szóstym absurdem, a poniekąd również z siódmym, który dotyczy eksportu żywności z Polski.

BARDZO KOCHAMY IMPORT

a nienawidzimy eksportu. A prawda jest taka, że bez eksportu nie ma importu, bowiem dobry wujek z Ameryki nie przyśle nam dolarów, jako że nie mamy dobrego wujka w Ameryce, a wręcz przeciwnie. Musimy je sami zarobić, a to można tylko poprzez eksport. Tego jednak ludziom się nie wytłumaczy. Nikt jakoś nie jest w stanie zrozumieć, że nasze artykuły spożywcze sprzedajemy korzystnie, choć nie w takich ilościach, jakie byłoby potrzeba, a za dewizy tak zarobione też możemy kupować żywność, której sami nie wyprodukujemy.

Absurd ósmy dotyczy walki ze spekulacją. Spekulacja ludzi denerwuje i słusznie, ale skuteczna walka ze spekulacją prowadzi tylko przez systematyczne zwiększanie produkcji. Czyli walka ze spekulacją leży w naszych rękach, jeśli zaczną wydajniej pracować. A poza tym — pisze A. Bednarski — *„nikt nie protestował zbyt ostro, kiedy w grudniu 1983 roku lubelski „Polmozbyt" zorganizował aukcję uszkodzonych samochodów (nowych, ale uszkodzonych) i szły one w cenach (ho! ho!) iście spekulacyjnych"*.

Absurd dziewiąty głosi, że nauka u nas nie pracuje właściwie na rzecz produkcji. Coś w tym jest, ale zdaniem A. Bednarskiego *„nauka nie może znosić „złotych jaj", jeśli sama chodzi w dziurawych butach..."*

I absurd dziesiąty — to narzekanie, że mimo kryzysu tyle u nas rodzi się dzieci, ale tym narzekającym jakoś nie przychodzi do głowy, że to właśnie wyż demograficzny wszedł w okres rozrodczy. A na tym świecie tak się jakoś składa, że ludzie robią i rodzą dzieci chętniej w określonym wieku niż później. Później już wychowują. Skąd więc narzekanie? Z braku myślenia. Jak i zresztą inne absurdy. Można byłoby ich naliczyć bez wątpienia więcej niż 10, ale tę zabawę zostawiam już drogim Czytelnikom.

Chciałbym natomiast zasygnalizować jeszcze jeden artykuł z „PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO", z tego samego numeru. Jest to artykuł Macieja Piotrowskiego pt. *„Ziarno i plewy"*, z którego wynika, że

NIE BYŁO AFERY „DZIWEXU"

A przekonania tego autor artykułu nabrał po ogłoszeniu wyroku przez Sąd Wojewódzki w Warszawie, który to Sąd dopatrzył się jedynie przestępstw dewizowych i za takowe skazał oskarżonych zawieszając im wykonanie kary.

Artykuł Macieja Piotrowskiego próbuje wyjaśnić aferę z aferą „Dziwexu", ale nie wyjaśnia. Maciej Piotrowski dziwi się więc, jak to się stało, że dziennikarze znali zeznania świadków, których nie znali adwokaci oskarżonych? Dziwi się też, dlaczego swego czasu było tak głośno o aferze „Dziwexu", a teraz ciż sami dziennikarze, którzy tak szczodrze szafowali zeznaniami i rozmowami z dziewczynami, które wyzyskiwano seksualnie we Włoszech, bito i tak dalej, teraz nabrali wody w usta i nawet nie wyjaśnili swoim Czytelnikom, że Sąd Wojewódzki w Warszawie uwolnił od zarzutów o „handel żywym towarem" wszystkich ludzi związanych z aferą „Dziwexu". Dwóch zresztą zmarło. Dziwna to zaiste afera, której — jak się okazuje — zupełnie nie było. A zeznania o dramatach polskich dziewczyn w Italii składały polskie prostytutki, które jeżdżą tam na zarobek.

Mnie też to wszystko dziwi!

Natomiast nie dziwi mnie wcale, że

DANIEL PASSENT USPRAWIEDLIWIA SIĘ

w „POLITYCE" (nr 19 z 12 maja 1984 r.) w felietonie *„Pamiętnik jurora Miss Polonia"*, gdyż impreza była licha, panienki raczej nieciekawe, a koncert ponury. Ponoć w kuluarach imprezy można było spotkać ładniejsze od finalistek, ale to już wina obyczajów i organizatorów — jak to słusznie zauważa D. Passent. Sam autor felietonu i juror powiada, iż wszystko zrobił dla Czytelników i dla nich gotów jest zbierać najgorsze uszczypliwości od „Argumentów" po „Odgłosy". Ale uszczypliwości dziś nie będzie.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

W PRZEDWYBORCZEJ KAMPANII

trwa sprawdzanie list oraz spotkania z kandydatami na kandydatów na radnych. Dyskutuje się też o lokalnych i wojewódzkich programach przedwyborczych. W wyniku tej dyskusji powstaną lokalne i wojewódzkie programy wyborcze. Nieustannie zwraca się uwagę, że lokalne programy powinny mieścić się w ramach realnych możliwości i uwzględniać ogólnospołeczne interesy. Przykładem nieliczenia się z takimi interesami mogą być postulaty zgłaszane przez mieszkańców miast, osiedli i wsi leżących wzdłuż elektryfikowanej linii kolejowej do Ciechanowa. Obecnie jeden z odcinków tej linii pociąg przejeżdża w ciągu godziny. Gdyby wziąć pod uwagę wszystkie postulaty dotyczące lokalizacji przystanków, to pociąg odległość tę pokonywałby w ciągu... trzech godzin. Dłużej by stał niż jechał.

W Poznaniu, na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego Rady PRON, podczas oceny dotychczasowego przebiegu kampanii wyborów do rad narodowych, stwierdzono, że niedostatecznie informuje się mieszkańców o zebraniach przedwyborczych, prezentuje się niepełne dane o kandydatach, jak też projekty programów wyborczych bardziej prezentują stanowiska administracji państwowej niż wyborców.

NA DWORCACH PKP BĘDZIE CZYSTO

ponieważ kierownictwo Wschodniego Okręgu Kolei Państwowych w Lublinie zwróciło się z apelem przepracowania po jednej wolnej sobocie w maju, czerwcu i lipcu na rzecz czystości dworców i porządkowania ich otoczenia. Apel podjęli nie tylko kolejarze wschodniej Polski, ale i okręgów kolejowych w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Katowicach i Gdańsku. Apel wystosowano z okazji 40-lecia PRL. Kolejarze niektórych węzłów i stacji PKP mogą już pochwalić się dobrymi wynikami w pracy społecznej na rzecz czystości dworców. Piękne to i godne pochwały, ale — przy okazji rodzi się wątpliwość — czy my tylko dla uczczenia rocznic mamy dbać o czystość i porządek? A gdyby tak na co dzień? To, co by się stało?

BRAK MAGNEZU ZAGRAŻA NASZEMU ŻYCIU

— powtarza w „Kulisach — Expressie Wieczornym" prof. J. Aleksandrowicz. — „Typowa dzienna dieta dostarcza organizmowi najwyżej 300 mg magnezu, gdy tymczasem — powiada profesor — dla zdrowia potrzeba go dwa razy więcej". Mało jest magnezu w 80 proc. gleb. I jest na to sposób, aby temu niedoborowi magnezu zaradzić. Polska leży na dolomicie, trzeba tylko chcieć nawozić nim glebę i dodawać do jedzenia. Jak do tej pory nikt nie zajął się produkcją dolomitowych pastylek. Podobno dopiero teraz zajęła się tym jakaś firma polonijna, ale kiedy pastylki dolomitowe będą w aptekach?

WYBUCH GAZU

który zgromadził się w studzience kanalizacyjnej przy ul. Narutowicza 56, poważnie uszkodził „fiata 126p", parkującego akurat nad tą studzienką. Nieszczelnymi przewodami gazowymi, z których ulatniał się gaz, zajęły się już — mamy nadzieję — eksperci specjalistów. Nas natomiast interesuje, kto — i czy w ogóle — zapłaci odszkodowanie właścicielowi uszkodzonego „fiata 126p"? Byłby to ciekawy precedens!

MILIONERZY NA WĘGRZECH

wzbudzili powszechne zainteresowanie. Przeprowadzono badania w najzamożniejszej i najpiękniejszej dzielnicy Budapesztu — w Rozsadomb. Średnia płaca na Węgrzech wynosi 5 tysięcy forintów, a więc roczny dochód zamyka się w granicach 60 tysięcy forintów. Wybrano ludzi, których roczny dochód przekroczył 300 tysięcy forintów. W grupie tej znalazło się: 11 rzemieślników, 6 artystów estradowych, 2 literatów, 2 nauczycieli muzyki, jeden spadkobierca honorarium autorskiego. Osoby te miały dochód do 400 tys. forintów, od 600 do 700 tys. forintów rocznego dochodu miał kompozytor muzyki lekkiej, do 800 forintów: artysta, literat, kompozytor muzyki tanecznej. Powyżej miliona dochodu rocznego miało dwóch rzemieślników. Jeden z nich, murarz, miał 1 360 tysięcy forintów, z czego zapłacił 890 tysięcy podatku, tak że jego średni zarobek miesięczny wynosił na czysto 40 tysięcy forintów.

W Rozsadomb mieszka 1 530 osób

A. B. SEKATOR

Jerzy Gos (1942—1984)

Był człowiekiem wytrwałym i odpornym na ból. Przed czterema laty przeszedł poważną operację. Udawał potem, że nic się nie stało. Niechętnie mówił o swych dolegliwościach. Kiedy jednak grymas bólu gasił jego uśmiech, wiedzieliśmy, że cierpi. Lecz któż przypuszczał, że los okaże się aż tak nieubłagany?

Był zafascynowany kulturą, piśmiennictwem, językiem. Dlatego studiował polonistykę, interesował się literaturami słowiańskimi. W „Pracach Polonistycznych" (seria XXVIII) przedstawił „literaturę narodów Jugosławii na łamach chełmskiej «Kameny»". W serii wcześniejszej pisał o „Profilu literackim krakowskiego «Kraju» pod redakcją Stanisława Służewskiego". Pisywał o autorach związanych z Łodzią, między innymi o Grzegorzu Timofiejewie, Edwardzie Kopczyńskim. Nieczęsto jednak chwytał za pióro. Temperament człowieka czynu nie pozwalał na systematyczne badania naukowe i wypowiedzi publicystyczne. Sprawdzał się jako konsekwentny działacz i zdolny organizator.

Był lektorem języka polskiego na uniwersytecie w Belgradzie. Wyniósł stamtąd nie tylko doskonałą znajomość języka serbskochorwackiego oraz orientację w literaturze i kulturze naszych pobratymców. Powrócił przepojony sentymentem do tego kraju, pozostawił tam wielu serdecznych znajomych, pielęgnował kontakty. Owocowało to między innymi pogłębianiem wzajemnej wymiany literackiej.

Był tłumaczem. Przełożył na język polski „Dzienniki" Mirosława Krlezy. Zajmował się współczesnym dramatem jugosłowiańskim. Pozostawił rozpoczęte prace translatorskie.

Był aktywnym członkiem Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich. Należał do współorganizatorów oddziału łódzkiego.

Był wydawcą. Dla Wydawnictwa Łódzkiego porzucił pracę dydaktyczną, pracę naukową i zaawansowany doktorat. Polubił robotę edytorską i wkładał w nią wiele serca. Najpierw był szeregowym redaktorem, potem kierownikiem redakcji, wreszcie zastępca redaktora naczelnego. Z jego udziałem rodziły się nowe inicjatywy wydawnicze, wśród nich Biblioteka Jugosłowiańska, seria reportaży, cykl antologii.

Był redaktorem naczelnym łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Placówkę tę prowadził bardzo energicznie, zmienił jej orientację: z firmy wykonującej głównie prace usługowe przesunął akcent na publikacje książkowe. To on nawiązał owocną, trwającą do dzisiaj, współpracę oddziału KAW z łódzkim środowiskiem pisarskim.

Był kierownikiem Wydziału Kultury Komitetu Łódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Stanowisko objął w chwili trudnej —

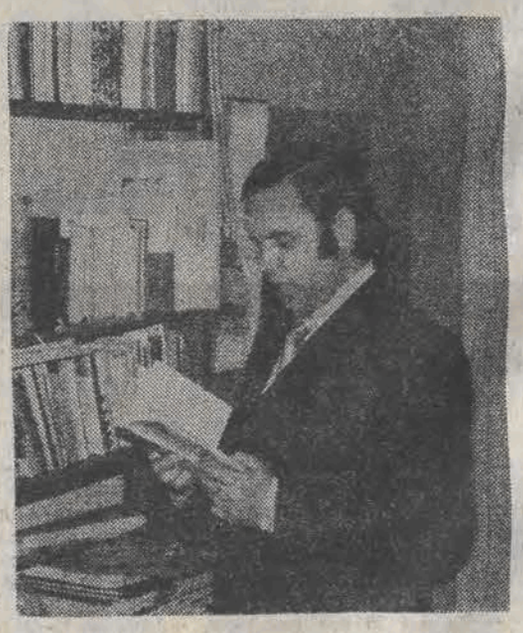

nie bał się stawiać czoła przeciwnościom. Stopniowo zdobywał zaufanie środowisk twórczych. Dał się poznać jako partner wymagający, rozważny, nie rzucający słów na wiatr. Koncepcja kultury, jakiej hołdował, miała wiele korzeni, ale jeden cel: być najbliżej życia. Stąd tyle czasu poświęcał przybliżeniu kultury szerokiemu odbiorcy, zwłaszcza w środowiskach robotniczych. Współorganizował ogólnopolskie seminarium na temat miejsca i roli kultury robotniczej w życiu naszego społeczeństwa. Opracował materiały owego seminarium. Ich publikacji już nie doczekał.

Był przyjacielem. Nie było łatwo cieszyć się jego przyjaźnią, cechował go sceptycyzm, choć spontaniczność reakcji zdawała się temu przeczyć. Kogo jednak obdarzył zaufaniem, ten mógł na Jurka liczyć w każdej potrzebie, bo był on po prostu spolegliwy. Dobrze się z nim rozmawiało. Umiał znaleźć słowa pokrzepienia, zarazić optymizmem, entuzjazmem, wyzwolić energię współrozmówcy. Mawiał: „Życie jest piękne". I znaczyło to więcej niż zwykłe porzekadło. W dniu, w którym zachorował, mieliśmy się spotkać, aby po przyjacielsku pogawędzić. Nie spotkaliśmy się, nie dokończyli rozmowy wcześniej rozpoczętej. Już jej nie dokończymy.

Był marzycielem. W skrytości ducha snuł swe plany. Wielki był w nim głód wiedzy o mechanizmach życia, tych ogromnych — na skalę całego społeczeństwa, i tych mniejszych — decydujących o funkcjonowaniu grup czy jednostek. Wiedzę tę wnikliwie konfrontował z rzeczywistością, pracowicie korygował. I wierzył, że będzie lepiej.

Był ojcem rodziny. Kochającym ojcem. Osierocił dwoje dzieci.

Był przyjacielem.

BYŁ.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Kartka wrzucana z troską

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Po okresach napięć, politycznych nawałnic i dramatycznych wydarzeń, wstrząsów, których nie oszczędził nam los w dobie poslerpniowych przemian, sytuacja społeczna kraju z wolna poddaje się obiektywnym wymogom stabilizacji. Nie sposób bowiem żyć ciągle jak na wulkanie. Dowodów na tę tezę dostarczyła chociażby niedawna manifestacja pierwszomajowa. Liczny w niej udział społeczeństwa był inspirowany potrzebą zamanifestowania woli opowiedzenia się za normalizacją, pokojem społecznym, porządkowaniem ekonomiki oraz reformami gospodarczymi i politycznymi; łagodzeniem i stopniową odmianą, widoczną poprawą wciąż trudnych warunków życia.

Kolejnym sprawdzianem stopnia normalizacji stosunków politycznych w naszym kraju będą zbliżające się wybory do rad narodowych. Czerwcowe wybory będą także katalizatorem postaw społecznych Polaków i w dużym stopniu testem poparcia udzielanego przez naród dla kierownictwa polityczno-gospodarczego kraju.

Dawno już w Polsce wybory do rad narodowych nie były tak istotnym, ważnym, jeśli nawet nie przełomowym wydarzeniem politycznym. Jest wiele powodów, przyczyn takiej sytuacji. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż będą one odbywały się według nowego wzorca, w oparciu o zmienioną ordynację, pod patronatem nowej siły — Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego. Z drugiej strony sytuacja polityczna kraju, a jeszcze bardziej gospodarcza daleka jest od takiej, która mogłaby satysfakcjonować zarówno władzę jak i społeczeństwo. Nie może więc stanowić stuprocentowego atutu w tej ważnej batalii polityczno-propagandowej. Tym bardziej, iż opozycja, siły wrogie Polsce i jej ustrojowi oraz antypolskie ośrodki na Zachodzie, nie „złożyły jeszcze broni", nie zrezygnowały z ambicji *„zamieszania" raz jeszcze w „polskim tyglu"*. Nie bez znaczenia dla perspektyw dalszego rozwoju naszego kraju pozostaną również oceny efektów wyborów dokonane przez naszych sojuszników. Tak więc można oczekiwać, iż 17 czerwca 1984 r. Polska znów *stanie się obiektem zainteresowania* politycznego całej Europy i nie tylko naszego kontynentu.

Już to wystarczy, aby uzmysłowić sobie wagę czerwcowych wyborów. Sądzić należy, iż społeczeństwo polskie w znakomitej większości posiada świadomość tego faktu. Nie oznacza to jednak, iż można oczekiwać bezkrytycznego poparcia dla programu PRON, demonstrowanego w stylu np. lat siedemdziesiątych, kiedy to obowiązywała zasada głosowania bez skreśleń. Na podobny akt werbalnego poparcia nikt z rozsądnych dziś nie liczy. Wrzucenie w czerwcu 1984 roku kartki do urny będzie przede wszystkim wyrazem politycznego realizmu, dowodem poparcia dla z wolna i nie bez oporów dokonujących się posierpniowych przemian, a także oznaką obywatelskiej troski o to, aby na tej drodze odnowy nie pojawił się już żaden zakręt.

„Wybory do rad narodowych — jak czytamy w projekcie programu Rady Łódzkiej PRON — *to ważny akt obywatelski, potwierdzający poparcie dla socjalistycznej odnowy, która oznacza porozumienie, praworządność, poszanowanie godności ludzkiej, tolerancję światopoglądową, szacunek dla pracy i jej owoców"*.

PUNKT WYJŚCIA

dla programu wyborczego PRON stanowi aktualna sytuacja — przede wszystkim gospodarcza — kraju i regionu. *„Program ten* — czytamy — *stanowi realistyczne spojrzenie na pilne potrzeby mieszkańców województwa, ukazuje to, co w ramach istniejących możliwości i środków jesteśmy w stanie dokonać wspólnym, społecznym wysiłkiem dla dobra regionu i poprawy warunków naszego życia."*. Ostateczny kształt programu wyborczego zrodzi się w toku zebrań przedwyborczych, spotkań z kandydatami na radnych, w wyniku powszechnej obywatelskiej debaty.

Przesłanką dla tworzonego programu wyborczego jest aktualna sytuacja regionu i realnie oceniane możliwości na najbliższe lata widziane w kontekście ogólnopolskich uwarunkowań. Inaczej być nie może, jeśli program polityczny nie ma być żonglerką cyfr i czczych obietnic. Na budowaniu zamków na lodzie nikomu już w Polsce nie zależy. Niemniej pojawiła się obiektywna konieczność przeciwstawiania się filozofii kryzysowego minimalizmu. Odbieranie sobie z góry szans na powodzenie jest w sensie politycznym równie niebezpieczne i społecznie szkodliwe jak uprawianie taniego optymizmu i politycznego science fiction.

Według danych ogłoszonych przez Komisję Gospodarczą ONZ do spraw Europy, stopa wzrostu gospodarczego w krajach RWPG (bez ZSRR) wyniosła w ubiegłym roku 4 proc. Rok 1983 był dotychczas najlepszy w pięciolatce 1981—1985. Najlepsze wyniki spośród 6 państw środkowej i południowo-wschodniej Europy miała NRD, kraj najbardziej rozwinięty, o najmocniejszej gospodarce. Polska jednak nie wypadła tak wcale najgorzej. Słabiej niż można oczekiwać przedstawia się sytuacja Węgier i Czechosłowacji. Co to oznacza? Sądzę, że m.in. i to, że dysponujemy wciąż olbrzymim potencjałem, „utajonymi" możliwościami, skrywanymi atutami, jeśli pomimo posierpniowego wstrząsu i przeżywanego wciąż kryzysu nie wypadamy jeszcze najgorzej (przynajmniej w statystykach). To także argument na konieczność *zwalczania kryzysowej filozofii.*

Wracając jednak do programu wyborczego i do punktu wyjścia, a więc oceny bazy, na której program ten może być tworzony, dokument PRON stwierdza, iż *„osiągnięte w 1983 roku wyniki wskazują na poprawę gospodarki, choć do jej pełnego opanowania jeszcze daleka droga"*. Dla przykładu zatrudnienie w gospodarce narodowej w okresie 1980—1983 obniżyło się o około 50 tys. osób i to głównie w przemyśle, zaś wyraźnie wzrosło w gospodarce nie uspołecznionej. Po dwóch latach spadku, wzrosła w roku ubiegłym wartość produkcji przemysłowej województwa, choć poziom jej był jeszcze o ponad 10 proc. niższy od efektów roku 1980, (a nie był to w dekadzie minionej rok najkorzystniejszy). W zaopatrzeniu w żywność — czytamy w projekcie programu — zabezpieczane są potrzeby aglomeracji. Ale czy w pełni i z jakim trudem, o tym przekonuje się każdy z nas codziennie przeklinając udrękę robienia zakupów.

Szczególnie trudna sytuacja jest wciąż w budownictwie. Trwa ona od szeregu lat. W 1975 roku oddano w naszym województwie 12,2 tys. mieszkań. W pięć lat później już tylko połowę tego. Aktualnie nie udało się powstrzymać tendencji spadkowych. W roku ubiegłym oddano do użytku nieco ponad 5 tys. mieszkań. W latach 1983—1985 przewiduje się wybudowanie w Łodzi i województwie około 12,5 tys. mieszkań. Nie jest to jednak program na miarę potrzeb.

Jaki jest więc naprawdę ów punkt wyjścia, poziom startu? Odpowiadając możliwie krótko, ale przecież nie zdawkowo, należałoby stwierdzić, iż dość zróżnicowany. Bo niby potrzeby reglamentacji są zabezpieczone, ale wciąż nie jest zrównoważony rynek towarów żywnościowych i wielu przemysłowych, (zresztą i fakt istnienia wciąż reglamentacji trudno uznać za sytuację dobrą, normalną). Buduje się, ale wciąż nazbyt mało zarówno mieszkań, jak i przedszkoli, szkół. Widoczna jest poprawa sytuacji ogólnej, ale niedomagania, trudności, niedostatki wciąż zatruwają nam życie, czyniąc je uciążliwym, trudnym. Zauważalne zmiany w gospodarce są, jak to stwierdzono w projekcie programu PRON, dopiero początkiem korzystnych zmian i tendencji, itd... Stąd wniosek, iż o jednoznaczną, a na dodatek kompleksową ocenę sytuacji społeczno-gospodarczej wciąż trudno. W każdym razie nie było zamiarem autorów projektu programu wyborczego zaprezentowanie w nim tego typu ocen.

WARUNKI ŻYCIA

„O jakości naszego życia — czytamy w dokumencie programowym PRON — *zadecyduje efektywna praca rad narodowych i organów administracji państwowej"*. Wpływać ona będzie zarówno na kształtowanie się ogólnych warunków społecznych, w tym sytuację bytową rodzin, zdrowotną oraz handel, usługi, komunikację itp. a także umacnianie w społeczeństwie postaw obywatelskich, kształtowanie stosunków międzyludzkich, zachowań, dyscypliny i świadomości. Wśród ogólnych warunków bytowych decydującą rolę odgrywać będą: sytuacja mieszkaniowa oraz zaopatrzenie, szczególnie w artykuły spożywcze i wyposażenia mieszkań.

Jak już wspomniałem sytuacja mieszkaniowa w Łodzi i województwie pozostaje wciąż trudną. Ocenia się, że pilne potrzeby wynikające ze zmian demograficznych, jak i opóźnień w realizacji budownictwa wielorodzinnego sięgają 45 tys. mieszkań. W tej sytuacji — konkludują autorzy programu wyborczego — liczba 20.870 mieszkań, (w tym prawie 3 tys. z tytułu budownictwa jednorodzinnego), założona w planie 3-letnim jest dalece niewystarczająca.

Na najpilniejsze potrzeby w latach 1983—1985 przeznaczy się nakłady inwestycyjne w kwocie około 78 mld złotych. Z tego około 24 mld ma być skierowane na spółdzielcze budownictwo mieszkaniowe. Łączna kwota nie jest mała, ale pamiętać należy, że już dziś koszt jednego metra kwadratowego mieszkania wynosi około 20 tys. złotych. A przecież, aby statystyczne izby stały się mieszkaniami, potrzeba jeszcze dróg sieci wodociągowej, kanalizacyjnej, gazowej itp.

Obok budowy nowych mieszkań coraz ważniejszym problemem w Łodzi staje się ratowanie tzw. starej substancji mieszkaniowej. Remonty, konserwacja, adaptacja starych lokali wymagają coraz większych nakładów, specjalistycznych brygad, mieszkań zastępczych itp. Aktualnie ponad 7.800 mieszkań wymaga remontu. Potrzeba środków na ten cel — według szacunku z 1982 roku — w wysokości około 33 mld złotych.

W okresie 1983—1985 z funduszów rad narodowych, spółdzielczości mieszkaniowej i prywatnych przewiduje się wydatkować na te cele około 7,5 mld złotych. Na remonty i modernizację budynków państwowych i prywatnych czynszowych, przeznaczy się blisko 1,6 mld złotych. Z rachunku danych zamieszczonych w programie PRON wynika, iż pieniędzy starczy zaledwie na remont około jednej trzeciej budynków starego budownictwa wymagających remontu. A co będzie z resztą? Ze starymi, zaniedbanymi domami jest podobnie jak ze skorodowanym samochodem — sypią się coraz szybciej... Myślę, iż jest to jeden z istotnych problemów do dyskusji w toku kampanii zebrań z kandydatami na radnych.

O jakości życia (szczególnie w sytuacji recesji, którą przeżywamy w polityce społecznej, socjalnej), świadczy w poważnym stopniu możliwość zaspokojenia podstawowych potrzeb społecznych. W tej mierze sądzę, iż nie może zadowalać fragment programu, w którym stwierdza się, iż *„w zaopatrzeniu w żywność ogólnie zabezpieczone są potrzeby reglamentacji"*. Chciałoby się bowiem, aby zaczęto już myśleć o tym jak i kiedy będzie można znieść reglamentację, jak i kiedy będzie można odejść od zasad „komunizmu wojennego" do sytuacji normalnej a po 40 latach budowy socjalizmu — naturalnej, czyli zakupów bez kartek. W analizowanym programie takiego postulatu nie znalazłem.

Z pewnym niepokojem przeczytałem, iż na inwestycje w rolnictwie *„rozpoczęte w skali województwa"* przewiduje się przeznaczyć w latach najbliższych około 13 proc. z ogólnej puli środków inwestycyjnych. W tym momencie przypomniał mi się stosowny fragment uchwały IX Zjazdu PZPR, w którym mówi się o potrzebie zwiększenia środków inwestycyjnych na rolnictwo i przemysł spożywczy do poziomu 30 proc. ogółu nakładów inwestycyjnych. Jak to się ma w stosunku do naszego regionu i czego można spodziewać się poza *„inwestycjami rozpoczętymi w skali województwa?"* O tym — jak sądzę — w programie nazbyt mało. W pełni natomiast zgadzam się ze stwierdzeniami, iż *„dla realizacji założonych zadań potrzebne są silne, wysoko wydajne gospodarstwa chłopskie"*, jak i z tym, że *„uchwalony w 1983 roku przez Sejm za sprawą ZSL i PZPR program rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej musi być szybciej i skuteczniej wprowadzany w życie"*.

Ale aglomeracja łódzka, najmniejsze z 49 województw, o najwyższym wskaźniku zagęszczenia ludności, to przede wszystkim przemysł. Sami się nie wyżywimy, nawet w sytuacji, gdyby móc na rolnictwo przeznaczać nie 30, ale 50 proc., czy nawet więcej nakładów. Stąd szczególnego znaczenia nabierają sprawy wszechstronnej współpracy z województwami sąsiednimi. Regiony te przecież stanowią naturalne, najbliższe zaplecze rolno-spożywcze Łodzi, będącej centrum przemysłowym, naukowym i kulturalnym dawnej ziemi łódzkiej. Sądzę, że w dobrze pojętym interesie Łodzi oraz województw sąsiednich leży umieszczenie tego problemu w programie wyborczym PRON.

OBSZARY CHRONIONE

Do takich w dobie kryzysu i likwidacji jego następstw zaliczono m.in. szeroko pojętą ochronę życia i zdrowia ludzkiego. Jak to przyznają autorzy projektu programu wyborczego w dziedzinie tej *„choć odnotowaliśmy, niezależnie od wszystkich trudności znaczący postęp, to w świadomości społecznej funkcjonują nie osiągnięcia, lecz potrzeby"*. A te są wciąż duże, bardzo duże! Niestety *„nie wszystkie z nich będą mogły zostać zaspokojone w nadchodzącej kadencji"*.

Budowa w najbliższym czasie miejsc szpitalnych na ponad 2.600 łóżek w Łodzi jest przedsięwzięciem o znaczeniu bez mała historycznym. Na efekt ten jednak złożą się głównie: obiekty o znaczeniu ponadregionalnym jak Szpital-Pomnik Zdrowia Matki-Polki oraz Centrum Kliniczno-Dydaktyczne Akademii Medycznej, którego zakończenie przewiduje się na lata 1991—1992.

Tak więc realnie patrząc w przyszłość trudno oczekiwać szybkiej i radykalnej poprawy w łódzkim szpitalnictwie. Przyjmując ten punkt widzenia autorzy projektu programu konkludują, iż w tej sytuacji *„na plan pierwszy wybija się podstawowa opieka zdrowotna, jej dostępność, poziom i organizacja"*. Ponadto *„zważywszy na wysoki koszt postępu w medycynie i rozwoju opieki zdrowotnej celowym będzie szukanie rezerw w rozumnej organizacji pracy, w tworzeniu społecznych inicjatyw w zakresie wzbogacania Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia pod auspicjami i opieką ogniw PRON i rad narodowych"*.

Istotnym czynnikiem poprawy sytuacji zdrowotnej społeczeństwa naszego regionu jest ochrona i rozumne kształtowanie naturalnego środowiska. Choć trudno byłoby dziś mówić o Łodzi jako „kominogrodzie", to jednakże od faktu, iż ubyło nam w mieście kominów, sytuacja zdrowotna niewiele się poprawiła. Pod względem skażenia środowiska łódzka aglomeracja miejska zajmuje po Katowicach i Krakowie trzecie miejsce wśród wielkich centrów przemysłowych kraju. Likwidacja jednak źródeł zanieczyszczenia wody, gleby i powietrza wymaga jedynie zwalczenia zwykłego niedbalstwa, innych zaś — środków, inwestycji, decyzji! Ze względu na trudności ekonomiczne, autorzy programu postulują, iż musimy dokonać wyboru zadań najpilniejszych, dążąc do przywrócenia równowagi między potrzebami przemysłu i gospodarki, a wymogami ochrony środowiska. Jak wynika z oceny zaprezentowanej w dokumencie PRON dotąd mamy raczej do czynienia, podobnie jak w całym kraju, ze stanem permanentnej nierównowagi z szalą przechyloną na korzyść interesów przemysłu. Największa zaś inwestycja realizowana w naszym regionie służąca ochronie środowiska — grupowa oczyszczalnia ścieków — realizowana jest ze środków centralnych i to w żółwim tempie. Przewiduje się jej przyspieszenie z możliwością uzyskania pierwszych efektów w 1987 r. Powstaje jednocześnie pytanie, na które w materiałach programowych odpowiedzi nie znalazłem: — co w tym zakresie zamierzamy zrobić w ramach własnych środków, inicjatyw, możliwości? Nie możemy tylko czekać na pieniądze z centrali, podobnie jak nie wolno patrzeć obojętnie „jak drzewa umierają stojąc".

NADBUDOWA

To co zwykliśmy określać tym terminem zapożyczonym z podręczników ekonomii politycznej jest uwarunkowane stanem gospodarki. Ta zaś zgodnie z prognozami winna ulegać do roku 1985 stopniowej stabilizacji, nie jednak na tyle, aby sprostać wszystkim potrzebom w sferze oświaty, nauki, czy kultury. Szczególnie pilne potrzeby są już dziś dostrzegalne w oświacie. Baza lokalowa szkół, szczególnie w nowych osiedlach pęka w szwach. Skromnie licząc do roku 1990 potrzebnych będzie 12—14 nowych szkół podstawowych i około 20 przedszkoli (aby objąć wychowaniem przedszkolnym dzieci pięcioletnie). Gdyby nie kryzys, to dla osiągnięcia wydatnej poprawy warunków nauki potrzeba byłoby wymienioną ilość szkół podwoić.

Pomoc dla szkolnictwa musi obejmować, jak to podkreśla się w projekcie programu, działania zmierzające do zwiększenia liczebnego stanu kadry nauczycielskiej, podniesienia poziomu nauczania, tworzenia bazy dla działalności pozalekcyjnej, wreszcie — rozwinięcia opieki nad dziećmi i młodzieżą w dni wolne od zajęć dydaktycznych.

Podzielić należy zawartą w dokumencie PRON troskę o to, aby wreszcie skutecznie eliminować dysproporcje między poziomem szkół miejskich i wiejskich. Szkoła powinna być wszędzie jedna i jedyna — dobra.

Łódź jest ważnym ośrodkiem akademickim. W siedmiu wyższych uczelniach miasta studiuje 25 tys. młodzieży. Co roku ich mury opuszcza około 4,5 tys. obsolwentów. Te dane wyznaczają rangę szkolnictwa wyższego w życiu miasta. Podkreśla ten fakt stosowny fragment projektu programu PRON:

„Realizacja najbliższych planów i zamierzeń związanych z dalszym rozwojem wszystkich dziedzin naszego życia społecznego zależeć będzie w dużej mierze od nauki, zarówno poprzez kształcenie młodzieży, jak i prowadzenie prac badawczych na rzecz miasta i województwa"... Stąd postulat, iż nowa Rada Narodowa m. Łodzi *„powinna w zakresie swoich możliwości i kompetencji oddziaływać na systematyczny rozwój łódzkiego ośrodka naukowego, szkolnictwa wyższego, warunków bytowych studiującej młodzieży i kadry naukowej"*.

Podobne stwierdzenie dotyczy spraw szeroko pojętej kultury:

„Przyszła Rada Narodowa powinna kontynuować wysiłki na rzecz rozwoju i upowszechnienia kultury kładąc szczególny nacisk na zwiększenie uczestnictwa w niej młodego pokolenia, środowisk robotniczych oraz chłopskich".

Przy sposobności podjęcia problematyki młodego pokolenia znalazłem w projekcie programu sformułowanie, które mnie zirytowało swoją ogólnikowością i frazeologią jako żywo przypominającą zapiski z poprzedniej dekady:

„(...) Szczególne miejsce widzimy dla młodego pokolenia, które świadome swej roli i odpowiedzialności zgodnie z własnymi planami i ambicjami włączy się w szeroki front zmagań o postęp i lepsze jutro naszego życia".

A przecież można o wiele prościej i konkretniej, bardziej rzeczowo i zobowiązująco. Czyżby związki młodzieży, będące przecież członkami PRON, nie miały w tak ważnej kampanii politycznej niczego innego poza tymi kilkoma ogólnikami do zaoferowania? Nie mogę w to uwierzyć? Wystarczy przecież choćby pobieżna znajomość problemów, którymi żyje dziś młode pokolenie, aby przyznać, iż nie sposób sloganami pozbawionymi głębszej treści pozyskać wątpiących, a takich wśród młodzieży jest najwięcej.

ABY NIE BYŁO NIEPOROZUMIEŃ

Być może mój komentarz po lekturze projektu programu wyborczego zabrzmiał miejscami jakby krytycznie, ostro. Jeśli tak, to stało się to głównie za przyczyną uczucia niedosytu, które zostało mi po gruntownym przestudiowaniu tegoż dokumentu. Nie jestem zwolennikiem praktyki mierzenia sił na zamiary, romantycznych porywów nieodpowiedzialnej fantazji. Uważam siebie raczej za sceptyka, realistę. Jednocześnie przekonany jestem o potrzebie zwalczania filozofii kryzysowej, praktyki minimalizacji celów, głównie po to, aby było łatwiej. Nie łudźmy się! Nie będzie nam, Polakom, jeszcze przez kilka dobrych lat ani łatwo, ani prosto, ani bogato, jeżeli po tym czasie ma być w Polsce dobrze, dostatnio i sprawiedliwie.

Coraz częściej słyszy się rozmowy wspomnienia o fenomenie lat odbudowy, o powojennym heroizmie. Tamte pokolenia płaciły rachunek krzywd tragedii wrześniowej, nasza generacja musi wziąć na siebie konieczność spłacenia długów beztroskich lat siedemdziesiątych. Rzecz jedynie w tym, jak stwierdza projekt programu wyborczego, aby wysiłek ten ponosili wszyscy bez wyjątku, sprawiedliwie w trosce o socjalistyczne jutro Polski.

„Woprosy Filosofii" o poglądach Adama Schaffa

WŁADIMIR O. GRANOW

„Cywilizowana alternatywa" Adama Schaffa

1.

Polski filozof Adam Schaff poświęca w swoich książkach i artykułach wiele miejsca problemowi socjalizmu, jego istoty i dróg osiągnięcia. Poglądy Schaffa na problemy rewolucji socjalistycznej i budowy społeczeństwa socjalistycznego zostały w najbardziej zwartej formie wyrażone w jego książce „Ruch komunistyczny na rozdrożu" (Wiedeń, 1982). W tej i w innych swoich książkach oraz artykułach Schaff pretenduje do twórczego rozwijania marksistowskiej koncepcji rewolucji socjalistycznej, do uogólnienia doświadczeń realnego socjalizmu, do stworzenia „cywilizowanej" perspektywy zasadniczych przeobrażeń społecznych dla krajów zachodnioeuropejskich.

Tymczasem proponowane przez Adama Schaffa odpowiedzi nie tylko nie wyjaśniają ale wręcz poważnie zaciemniają i wypaczają istotę najważniejszych problemów współczesności. Co więcej, odpowiedzi te bardzo często uderzająco przypominają idee, typowe dla burżuazyjnego i reformistycznego arsenału duchowego.

Odnosi się to przede wszystkim do wniosków, że ruch komunistyczny przeżywa jakoby kryzys, znajduje się w ślepym zaułku, na rozdrożu itp. W istocie, od momentu, kiedy powstał i rozwija się ruch komunistyczny, nie było ani jednego dnia, aby antymarksiści i antykomuniści nie wysuwali twierdzeń o kryzysie komunizmu, o jego nieuniknionym i niechybnym rozpadzie, krachu itd. O kryzysie komunizmu mówili wówczas, gdy jedyny na świecie kraj socjalistyczny mężnie odpierał nacierającego ze wszystkich kierunków wroga, mówią o nim również i dziś, kiedy pomyślnie rozwija się wspólnota socjalistyczna, kiedy komuniści wiodą za sobą setki milionów ludzi pracy, bojowników o wyzwolenie społeczne i narodowe.

Wszystkie swoje wywody o „kryzysie" ruchu komunistycznego Adam Schaff wyprowadza z tego, że realny socjalizm w ZSRR i w innych krajach został jakoby zbudowany niezgodnie z wyobrażeniami K. Marksa o przyszłym społeczeństwie socjalistycznym. Twierdzi on, że wszystkie dotychczasowe rewolucje socjalistyczne dokonały się jakoby przedwcześnie, w związku z czym, podobnie jak nie donoszone dzieci, rozwijają się z trudem i chorobliwie. Wychodząc z takiego postawienia sprawy Adam Schaff usiłuje przeciwstawić poglądy K. Marksa i W. Lenina, prezentuje w istocie Lenina jako apologetę „niedorozwoju" i „nieucywilizowania" krajów wchodzących na drogę rewolucyjnych przeobrażeń socjalistycznych, powtarzając wymysły burżuazyjnych ideologów i rewizjonistów dawno zdemaskowane przez marksistów-leninowców i historię.

Prezentuje on nieustannie siebie jako „marksistę z przekonania", jako komunistę „pełnego troski o ruch, do którego należy", rości pretensje do pouczania marksistów-leninowców, przestrzega ruch komunistyczny przed niebezpieczeństwami, jakie na niego czyhają jeśli nie zastosuje się do jego pouczeń. Spekulując na trudnościach budownictwa socjalistycznego w tych czy innych krajach, zwłaszcza w Polsce, na odstępstwach byłego kierownictwa PZPR od zasad leninowskich, na błędach i pomyłkach, Schaff wypacza teorię naukowego komunizmu i praktykę realnego socjalizmu. Nie łączy on absolutnie wszelkich deformacji ustroju socjalistycznego z logiką walki klasowej wewnątrz tego czy innego kraju budującego socjalizm i na arenie światowej, lecz w sposób całkowicie nieuzasadniony ogłasza je nieuniknioną, prawidłową cechą strukturalną realnego socjalizmu.

2.

Podejście Adama Schaffa do oceny rewolucyjnych przeobrażeń socjalistycznych nie jest wcale twórcze, lecz doktrynerskie i dogmatyczne. Wychodzi on od jakiegoś idealnego schematu realizacji rewolucji socjalistycznej, sprowadzając leninizm do wyłącznie rosyjskiej „narodnickiej tradycji", do „technologii przejęcia władzy" w „zacofanym kraju". W rzeczywistości natomiast W. Lenin opracowując plan przeobrażeń socjalistycznych, dumając nad losami nowego świata, nieustannie zwracał uwagę na to, iż „ucywilizowanie" jest wyjątkowo ważne dla pomyślnego dokonania rewolucji socjalistycznej i budowy socjalistycznego społeczeństwa.

Równolegle W. Lenin zdecydowanie odrzucił argumenty E. Bernsteina i innych oportunistycznych przywódców Drugiej Międzynarodówki, mienszewików, Lwa Trockiego o sojuszników ich wszystkich, negujących możliwość prawdziwie socjalistycznego budownictwa w warunkach „zacofanego", „niekulturalnego" kraju, dowodzących „niewczesności" rewolucji socjalistycznej w Rosji, prowadzącej jakoby w sposób nieunikniony do wypaczenia i deformacji ideałów socjalistycznych. Krytykował on również Gieorgija Plechanowa, autora schematu, zgodnie z którym rewolucja proletariacka mogła nastąpić tylko w krajach rozwiniętego kapitalizmu, gdzie dojrzały ostatecznie przesłanki materialne socjalizmu, gdzie proletariat stanowi absolutną większość ludności. Zdaniem G. Plechanowa, przed rosyjskim ruchem rewolucyjnym stało na długi czas zadanie rozwiązywania zadań przeobrażeń burżuazyjo-demokratycznych, ale w żadnym wypadku nie socjalistycznych, bowiem wszelkie „przeskakiwanie" rewolucji przez stopnie, twierdził Plechanow, będzie oznaczać jej zgubę, nieuniknione cofanie się.

Dogmatycznym, abstrakcyjno-doktrynerskim schematom przeciwstawił Włodzimierz Lenin marksistowskie, dialektyczne, konkretne podejście historyczne. Oczywiście, aby dokonała się rewolucja socjalistyczna, konieczne są określone obiektywne i subiektywne przesłanki: dostatecznie wysoki poziom rozwoju sił wytwórczych, społeczny charakter produkcji, istnienie rewolucyjnego proletariatu zorganizowanego w przodującą partię polityczną, posiadającego rozwiniętą świadomość klasową. Rzecz zrozumiała, iż byłoby niesłuszne przeceniać poziom dojrzałości przesłanek dla rewolucji socjalistycznej w Rosji. Niezbędne przesłanki były, ale było również wielkie zacofanie. Na przykład przodujący kapitalizm przemysłowy, którego cechą charakterystyczną była wysoka koncentracja produkcji i banków sojusz monopoli z państwem, współistniał w Rosji z zacofanymi formami w rolnictwie.

Karol Marks i Włodzimierz Lenin (a o tym powinien wiedzieć A. Schaff) wcale nie uważali, iż rozwój sił wytwórczych określa procesy społeczno-polityczne bezpośrednio; decydującą rolę odgrywa w tym stopień ostrości sprzeczności między siłami wytwórczymi i stosunkami produkcji, a także dojrzałość czynnika subiektywnego, tzn. samej siły motorycznej procesu historycznego, nastrojonej rewolucyjnie klasy robotniczej i ludzi pracy, ich gotowość oraz zdolność do walki. Wskazując, że wysoki rozwój sił wytwórczych stanowi warunek sprzyjający szybszemu przejściu do socjalizmu, Marks równocześnie zauważał niejednokrotnie, iż w centralnych punktach kapitalizmu trudniej zacząć rewolucję socjalistyczną, niż na peryferiach systemu kapitalistycznego.

„Na krańcach organizmu burżuazyjnego — pisał — wstrząsy siłowe powinny rzeczywiście następować wcześniej niż w jego sercu, gdzie możliwości przywracania dawnego stanu są większe". Analizując perspektywę rodzącego się w Rosji ruchu społecznego podkreślał, że dojrzewa w nim „największa rewolucja społeczna".

W tym duchu wypowiadał się niejednokrotnie również W. Lenin podkreślając, iż łatwiej zacząć rewolucję w krajach, gdzie kapitalizm nie jest tak silny, a burżuazja nie tak potężna, doświadczona i zaprawiona w polityce, jak w rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Polemizując z oportunistami Lenin dowiódł, iż traktują oni marksizm jak zbiór gotowych recept na rozwiązanie wszelkich problemów, niezależnie od miejsca, czasu i warunków. Widzieli oni — pisał — określoną drogę rozwoju kapitalizmu w Europie Zachodniej i nie mogli wyobrazić sobie, że drogę tę można uznać za wzór tylko wówczas, kiedy uwzględni się specyficzne warunki tego albo innego kraju, tego albo innego regionu. Była im absolutnie obca wszelka myśl o tym, iż „przy ogólnej prawidłowości rozwoju w całej historii światowej nie tylko nie należy wykluczać, lecz wprost przeciwnie, należy zakładać istnienie oddzielnych pasm rozwoju, posiadających właściwe tylko sobie formy bądź też porządek tego rozwoju".

Dialektyka marksistowska, podkreślał W. Lenin, wymaga byśmy umieli stosować ogólne prawdy do konkretnej sytuacji. Poddając rozwój rewolucji społecznej w Rosji konkretnej analizie Lenin dowiódł, że jej specyfikę określają zarówno czynniki międzynarodowe, jak i wewnętrzne. Najważniejszym z nich była na przykład ta okoliczność, iż udział Rosji w wojnie imperialistycznej zaostrzył do ostatecznych granic sprzeczności społeczne między klasami eksploatatorskimi a ludźmi pracy, którzy nasilili swoją walkę o wyjście z wojny, przynoszącej im jedynie tylko cierpienia i nieszczęścia, o sprawiedliwe przekazanie ziemi chłopom itd. Z wszystkich tych powodów, wskazywał Lenin, rewolucja socjalistyczna w Rosji, „mogła i powinna była przejawiać pewne cechy charakterystyczne, leżące oczywiście na ogólnej linii rozwoju światowego", ale odróżniające ją od wszystkich poprzednich rewolucji w krajach zachodnioeuropejskich.

A. Schaff, uważający się za „marksistę z przekonania", powtarza po prostu stare antymarksistowskie zmyślenia oportunistów z Drugiej Międzynarodówki, którzy bez wszelkich podstaw oskarżali Lenina i leninowców o „woluntaryzm". Mówi on jednym głosem ze współczesnymi ideologami burżuazyjnymi, dalekimi od marksizmu socjalreformistami i innymi oportunistami o odchyleniu zarówno prawicowym jak i „lewicowym", którzy w sposób równie nieuzasadniony twierdzili, jakoby Lenin naruszył „prawo", „odrzucił doktrynę" i „wyrzucił" za burtę model Marksa, uwzględniający obiektywne prawa ekonomiczne i woluntarystycznie rzucił się naprzeciw rewolucji, do której Rosja jakoby jeszcze „nie dojrzała".

3.

A. Schaff demonstruje abstrakcyjne, dogmatyczne podejścia do problemu poziomu dojrzałości obiektywnych przesłanek rewolucji socjalistycznej również w stosunku do Polski. Powtarzając stare, zdarte schematy burżuazyjnych marksologów i oportunistów usiłuje on dowieść, że w Polsce w latach 1944—1945 nie było odpowiednich przesłanek dla rozpoczęcia rewolucji socjalistycznej „w sensie marksistowskim", „nie było własności, którą można by było podzielić, a do tego zacofany kraj był całkowicie zniszczony podczas wojny; nie istniała choć trochę znacząca klasa robotnicza — 75 proc. ludności polskiej stanowili chłopi, a nieliczni robotnicy wywodzili się z chłopstwa; na dodatek jeszcze 95 proc. Polaków było głęboko wierzącymi katolikami..."

W rozważaniach tych wywołuje zdumienie już pierwsza teza o „własności, którą można by było podzielić". Nie jest to zdanie przypadkowe. Również Marksowi przypisuje Adam Schaff twierdzenie, że jakoby szybkie podzielenie własności (dostatku) jest podobno warunkiem niezbędnym sukcesu rewolucji socjalistycznej, zaporą przed ewentualnym powrotem starego. A tymczasem Marks i Lenin poddali w swoim czasie zdecydowanej krytyce wszelkiego rodzaju drobnoburżuazyjnoutopijne wyobrażenia o socjalizmie, zgodnie z którymi w socjalizmie powinno być jakoby natychmiast wprowadzone egalitarystyczne dzielenie towarów i żywności. Wskazywali oni, że socjalizm nie wprowadza się dobrymi chęciami, lecz budują go ludzie pracy na bazie odpowiedniego fundamentu gospodarczego. Podkreślali, że właśnie próby niezwłocznego egalitarystycznego podziału wyprodukowanych towarów mogą doprowadzić do powrotu wszystkich „starych łajdactw" dawnego społeczeństwa.

Adam Schaff nieustannie wskazuje na zacofanie Polski. Ale ignoruje przy tym właściwości jakościowe rozwoju kapitalizmu w tym kraju. Nie uwzględnia przede wszystkim tego faktu, że w momencie wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej wielki i średni przemysł, banki, koleje, środki łączności znajdowały się w rękach niemieckiego kapitału monopolistycznego. Rozgromienie faszyzmu stworzyło możliwość znacjonalizowania głównych środków produkcji, co bez wątpienia ułatwiło przesuwanie się kraju w kierunku socjalizmu. Powtarzając natrętnie, że Polska była całkowicie zniszczona (właśnie to wykluczało „wprowadzenie" socjalizmu) Schaff przemilcza to, że już w 1947 roku przemysł kraju przekroczył poziom przedwojenny, że nastąpiło to dzięki bohaterskiej, pełnej poświęcenia pracy milionów Polaków, bratniej pomocy, jakiej Polsce udzielił Związek Radziecki oraz to szybkie tempo odbudowy gospodarki narodowej tłumaczy się w dużym stopniu właśnie rozwojem elementów socjalizmu w przemyśle kraju. Nakierowując uwagę na istnienie w Polsce licznego chłopstwa Schaff zamyka oczy na to, że w kraju działał bojowy proletariat, dysponujący niemałym doświadczeniem i wspaniałymi tradycjami walki rewolucyjnej i antyfaszystowskiej.

Pretendując do „twórczości" i ironizując na temat „dogmatyków" A. Schaff sam ujawnia tymczasem wulgarne przywiązanie do abstrakcyjnego schematu historyczno-filozoficznego, nie uwzględniającego konkretnych warunków historycznych rozwoju tego czy innego kraju, zwłaszcza zaś Polski. Przypomnijmy jeszcze raz Schaffowi, że Marks i Engels, a następnie Lenin przewidywali możliwość właściwego tylko sobie ruchu w kierunku socjalizmu tego czy innego kraju. Marks i Engels wcale nie wykluczali na przykład, że rosyjska gmina mogłaby być przebudowana w duchu komunistycznym, podkreślali, że po zwycięstwie proletariatu w Europie zacofane kraje mogłyby „znacznie skrócić proces swojego rozwoju w kierunku społeczeństwa socjalistycznego..."

Praktyka społeczna naszych dni przekonywająco potwierdza marksistowsko-leninowski wniosek o możliwości charakterystycznego i przyspieszonego przejścia do socjalizmu. Świadczą o tym sukcesy rozwoju socjalistycznego Mongolii, Kuby i Wietnamu, gdzie przesłanki społeczno-gospodarcze socjalizmu były świadomie tworzone w warunkach władzy rewolucyjno-demokratycznej poczynając od poziomu rozwoju gospodarczego nieporównanie niższego, niż poziom jaki istniał w Rosji na początku XX wieku lub w Polsce w latach czterdziestych i pięćdziesiątych.

4.

W ścisłym związku z wnioskiem o braku odpowiednich przesłanek dla rewolucji socjalistycznych w krajach realnego socjalizmu pozostaje teza Schaffa o możliwości „powrotnego ruchu" zwycięskiej rewolucji socjalistycznej. Wyjaśnijmy od razu, że Adam Schaff ma tu na myśli nie zwykłą kontrrewolucję, dokonywaną przez klasy eksploatatorskie, nie porażkę rewolucji i powrót do starego porządku społecznego w następstwie braku sił u ludzi pracy dla odparcia restauratorskich dążeń wyzyskiwaczy. Schaffowi chodzi o co innego — jego zdaniem, w tych krajach, w których od momentu rewolucji socjalistycznej brakuje dostatecznej dojrzałości stosunków ekonomicznych społecznych, odpowiedniego poziomu rozwoju gospodarczego, kultury jego członków itp. w sposób nieunikniony wytwarza się ponoć „ruch powrotny", „pokojowa kontrrewolucja", która stopniowo pochłania zdobycze socjalistyczne i sprawia, że program socjalistyczny traci perspektywę. Taki ruch wsteczny, kontynuuje Adam Schaff, często w sposób nieuzasadniony charakteryzuje się jako zdradę rewolucji, a tymczasem, podkreśla — zgodnie jakoby z teorią marksistowską — słuszniej byłoby mówić w danym przypadku o „wywłaszczaniu rewolucji".

Swój bezpodstawny wniosek o „wywłaszczaniu rewolucji" w krajach socjalistycznych Adam Schaff wiąże z działalnością państwa socjalistycznego i partii marksistowsko-leninowskiej, wyjaśnia rzekome odejście W. Lenina i marksistów-leninistów od koncepcji Karola Marksa. Ale czyż Marks nie wiązał budownictwa socjalizmu z istnieniem silnego państwa robotników i chłopów, zdolnego obronić nowy ustrój przed naciskami wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, czyż Marks nie wskazywał, że proletariat winien scentralizować wszystkie narzędzia pracy w rękach państwa, czyż nie podkreślał on, że tylko na tej podstawie będzie można szybko powiększyć sumę sił wytwórczych i zapewnić swobodny rozwój wszystkich i każdego?

W ostateczności nie idzie przecież wcale o to, żeby negować centralizm w imię samorządu i autonomii — jak czyni to Schaff — bądź też odwrotnie, samorząd, inicjatywę i samodzielność kolektywów pracowniczych i jednostek w imię centralizmu. Zadanie polega na ich dialektycznym pogodzeniu. Jedynie na bazie centralizmu demokratycznego i planowania ogólnopaństwowego można określić prawdziwe wspólne interesy, prawdziwie społeczną kontrolę produkcji i rozwoju społecznego jako takiego, postawić tamy wszelkiego rodzaju branżowym i lokalnym tendencjom, a równocześnie rozwijać inicjatywę i swobodną twórczość mas, szeroko wciągać ludzi pracy w zarządzanie sprawami produkcyjnymi i społecznymi, uwzględniać potrzeby każdego pojedynczego człowieka, to znaczy w ostatecznym rozrachunku zapewnić prawdziwy postęp społeczno-gospodarczy i zrealizować humanitarne cele socjalizmu.

Gdyby państwo socjalistyczne poszło dziś za wezwaniami Adama Schaffa, to w pogoni za drobnoburżuazyjnym i utopijnym ideałem „autonomii", „suwerenności" itp. w sposób nieunikniony pozbawiłoby się możliwości, jakie daje socjalizm dla planowego kierowania gospodarką i dla forsowania postępu naukowo-technicznego i natknęłoby się na zjawiska anarchii gospodarczej, konkurencji i bezrobocia. W każdym przypadku doświadczenie historyczne (w tym również doświadczenie samej Polski) uczy, że tam gdzie następuje osłabienie roli i miejsca socjalistycznego państwa, tam w sposób nieunikniony narastają elementy anarchii i żywiołowości, a w ostatecznym rozrachunku zostają zagrożone zdobycze socjalistyczne. Przecież właśnie pod pokrywką hasła walki o „demokrację", „autonomię" itp. siły kontrrewolucyjne w Polsce utworzyły swoje organizacje, wykorzystywały środki masowej informacji do dezorientowania i dezorganizowania mas pracujących, propagowały reakcyjne idee burżuazyjne, rozpętywały histerię antykomunistyczną i antyradziecką, dokonywały prowokacji politycznych i dywersji, stwarzały atmosferę terroru moralnego przeciwko komunistom.

Żaden marksista-leninista nie twierdzi oczywiście, że w krajach socjalistycznych wszystkie problemy związane z doskonaleniem demokracji zostały już rozwiązane. Wcale nie. Są one uwarunkowane i możliwościami materialnymi społeczeństwa, i poziomem kultury politycznej mas. Nie należy też zapominać i o tym, że kraje socjalistyczne nie rozwijają się wcale w cieplarnianych warunkach, lecz w atmosferze rozpętanej przeciwko nim przez imperializm zażartej „wojny psychologicznej". Bez względu jednak na wszystkie trudności i problemy kraje socjalistyczne doskonalą swój system polityczny, działalność organów państwowych, walczą przeciwko biurokratycznej „nadorganizacji" i formalizacji, przeciwko temu wszystkiemu, co ogranicza inicjatywę i myśl twórczą, roboczą aktywność mas pracujących. Szczególną wagę przywiązuje się do dalszego rozwoju demokratycznych zasad w zarządzaniu produkcją, do umacniania więzi radnych ludowych i organów władzy z ludnością.

5.

Absolutnie bezpodstawne są również rozważania Adama Schaffa na temat roli i miejsca partii komunistycznej w realnym społeczeństwie socjalistycznym. Kierując się swoją zasadą wyjściową, że w krajach realnego socjalizmu nie było ponoć dostatecznych przesłanek dla przekształceń socjalistycznych, twierdzi on, że w krajach tych proces rozwoju partii rewolucyjnej nabiera w sposób nieunikniony „tragicznego charakteru". W czym dostrzega Schaff ów „tragizm"? W tym, że partia ze względu na rzekomy brak poparcia mas i na słabość swojej władzy zmuszona jest stworzyć jednopartyjny system polityczny i zająć pozycję monopolistyczną w społeczeństwie.

Również w tym przypadku A. Schaff powtarza w istocie dawną tezę politologii burżuazyjnej, że system wielopartyjny zapewnia niejako automatycznie demokratyczny charakter rozwoju społecznego oraz możliwość wyboru decyzji alternatywnych dla tych czy innych warstw i grup społecznych. Tymczasem wystarczy przyjrzeć się praktyce współczesnych państw kapitalistycznych, żeby przekonać się, iż istniejący tam system wielopartyjny wcale nie zapewnia realizacji demokratycznych praw i swobód obywateli. Również sam Schaff zna bez wątpienia dobrze tajniki demokracji burżuazyjnej, niuanse mechanizmu, który pomaga rządzącej burżuazji stwarzać pozory alternatywności stanowisk społecznych. „Wielopartyjność" społeczeństwa kapitalistycznego służy burżuazji, pomaga jej „rozproszkowywać" masy pracujące i osłabiać ich jedność.

To co zostało powiedziane nie oznacza, oczywiście, że marksiści, niejako z zasady są przeciwni wielopartyjności. Marksiści i komuniści nigdy nie twierdzili, że istnienie jednej jedynej partii jest obowiązkowym warunkiem zbudo-

wania i udoskonalenia socjalizmu lub też nieuniknionym następstwem przejścia do socjalizmu. Marksiści nie negują przecież istnienia specyficznych interesów różnych klas i warstw społeczeństwa socjalistycznego w procesie jego budowy, uważali i uważają, że mogą się one wyrażać w odpowiednich programach, zaś same klasy i warstwy mogą jednoczyć się w partiach politycznych i organizacjach. W wielu krajach socjalistycznych — w Bułgarii, NRD, Czechosłowacji, a wreszcie i w samej Polsce — obok partii komunistycznych istnieją i działają inne partie. Oczywiście ich rola jest zupełnie inna od tej, jaką chcieliby im wyznaczyć przeciwnicy realnego socjalizmu. Partie te stoją na stanowisku budownictwa socjalistycznego i uznawania wiodącej roli klasy robotniczej, przewodzenia komunistów w budownictwie socjalizmu, wyrażając specyficzne interesy określonych warstw ludności (chłopów, inteligencji, wierzących itp.). Partie te wspólnie z partią komunistyczną i pod jej kierownictwem budują i doskonalą socjalizm.

Jest rzeczą zupełnie oczywistą, że Adam Schaff patrzy na wiele procesów zachodzących w krajach wspólnoty socjalistycznej wychodząc wyłącznie z negatywnych stron polskiego doświadczenia. Ponadto, w sposób zupełnie nieuprawniony, podnosi on specyficzne trudności budownictwa socjalistycznego w Polsce do rangi „ogólnych prawidłowości" budownictwa socjalistycznego w krajach realnego socjalizmu.

6.

Istotnie, Polska Ludowa przeżywa obecnie skomplikowany i trudny okres swojego rozwoju. Musi pokonać następstwa kryzysu, do jakiego doszło w kraju w latach 1980—1981 w wyniku dywersyjnej działalności sił wewnętrznej i zewnętrznej kontrrewolucji, wykorzystującej błędy i pomyłki popełnione przez poprzednie kierownictwo PZPR. Niemniej jednak rozwój w Polsce w chwili obecnej pokazuje, że wrogom socjalizmu nie udało się i nie uda się zepchnąć narodu polskiego z wybranej przez niego drogi socjalistycznej. Kierowana przez PZPR klasa robotnicza, ludzie pracy i wszyscy prawdziwi patrioci polscy mobilizują swoje siły do dalszej normalizacji życia w kraju, do pomyślnego tworzenia i doskonalenia socjalistycznego społeczeństwa. Wszystko to potwierdza w praktyce, że zjawiska kryzysowe, jakie zaistniały w Polsce (i w niektórych innych krajach budujących socjalizm), są uwarunkowane wcale nie naturą, nie istotą realnego socjalizmu, lecz na odwrót — naruszaniem jego natury oraz odejściem od jego prawd i zasad.

Odrzuciwszy „stary", „zdeformowany" i „biurokratyczny" model społeczeństwa socjalistycznego A. Schaff widzi swoje zadanie w nakreśleniu konturów „nowego" modelu socjalizmu. Ten ostatni — zdaniem Schaffa — winien stać się czynnikiem mobilizującym ludzi pracy krajów kapitalistycznych do walki przeciwko systemowi kapitalistycznemu, jak też stać się twórczym wzorem prawdziwie socjalistycznego społeczeństwa, pozbawionego niedostatków właściwych ponoć realnemu socjalizmowi.

Opracowując swoją „cywilizację", „demokratyczną" alternatywę dla realnego socjalizmu Adam Schaff wiąże wszystkie swoje nadzieje z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi Europy Zachodniej. Dochodzi on do wniosku że w ciągu najbliższych 20—30 lat w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych nastąpią zmiany społeczno-polityczne o charakterze socjalistycznym. Uważa on, że automatyzacja produkcji i sfery usług uczyni niemożliwym funkcjonowanie kapitalistycznego sposobu produkcji i oświadcza, że właśnie to daje mu prawo wysunąć dziś tezę „o obumieraniu kapitalizmu w wysoko rozwiniętych krajach kapitalistycznych". Mimo że Schaff mówi przy tym o zaostrzeniu się sprzeczności między siłami produkcyjnymi i stosunkami produkcyjnymi, to jednak sprzeczności te schodzą u niego jakby na drugi plan. Technikę wyrwaną z systemu sił produkcyjnych i stosunków produkcyjnych, jej spontaniczny rozwój, przekształca A. Schaff w zasadę wyjściową przeobrażeń społecznych. Marksizm już dawno dowiódł, a świadczy też o tym całe doświadczenie historyczne, że zmiany w technice i technologii, niezależnie od tego jak bardzo radykalny i rewolucyjny mają charakter, nie pociągają wcale za sobą automatycznych zmian w bazie społecznej, w stosunkach własności, nie stanowią bezpośredniego uwarunkowania dla przeobrażeń socjalistycznych. Adam Schaff nie zauważa, że w istocie powtarza on to, co wiele dziesiątków lat przed nim twierdzili i twierdzą również dzisiaj ideologowie burżuazyjni, prawicowi leaderzy partii reformistycznych.

Adam Schaff wypacza marksistowskie poglądy również w kwestii dojrzałości czynnika subiektywnego, roli miejsca klasy robotniczej, jej partii, ideologii marksistowsko-leninowskiej we współczesnej walce rewolucyjnej o zasadnicze przekształcenia społeczne. Marks i Lenin, oceniając potencjał rewolucyjny klasy robotniczej, wychodzili zawsze z dokładnych, klasowych charakterystyk politycznych. Dla nich było rzeczą oczywistą, że proletariat rozpoczynający swoją rewolucję winien być dostatecznie silny, żeby przejąć władzę w swoje ręce, wziąć na siebie odpowiedzialność za losy ludzkości, przekonać proletariackie warstwy ludności o konieczności przekształceń społecznych oraz zdławić nieunikniony opór eksploatatorów. Rozwiązanie tych zadań, jak pokazuje cały przebieg walki rewolucyjnej, nie zależy prosto i bezpośrednio od liczebności proletariatu, od jego procentowego udziału w społeczeństwie, lecz jest uwarunkowane dojrzałością polityczną i hartem ideowym proletariatu, jego gotowością i zdolnością do walki rewolucyjnej. Właśnie od tego, z punktu widzenia Marksa i Lenina, zależy przede wszystkim dokonanie rewolucji socjalistycznej i stworzenie podstaw nowego społeczeństwa. Schaff odrzuci? w istocie ścisłe klasowe, polityczne i ideowe charakterystyki klasy robotniczej, a zamiast nich posługuje się kategoriami technologicznymi, techniczno-organizacyjnymi itp.

7.

Idąc dalej, Adam Schaff nie opiera się w istocie na konkretnej analizie sił klasowych również w przypadku wyboru dróg i środków walki o zasadnicze przekształcenie społeczne współczesnego społeczeństwa kapitalistycznego. Absolutyzuje on utopijnie pokojowe formy przekształceń społecznych, lekkomyślnie zakłada, że akceptowanie „nowego" „cywilizowanego" modelu socjalizmu będzie następować jako proces zorganizowanego odchodzenia burżuazji, „rozsądnego" oddawania przez nią jednej pozycji po drugiej, dopóki w końcu ostatnia garsteczka monopolistów nie zostanie wyrzucona „za drzwi" itp. Tymczasem, jak uczy doświadczenie historyczne, burżuazja jeśli jej panowanie jest zagrożone, bez wszelkich ceremonii likwiduje wszystkie prawa i wolności i ucieka się do najskrajniejszych, otwarcie siłowych, terrorystycznych metod walki z rewolucją.

Próbując odsłonić zasady budowy swojego „cywilizowanego" modelu socjalizmu Schaff z największą zaciętością występuje przeciwko dyktaturze proletariatu. W duchu burżuazyjnych ideologów, reformistów i rewizjonistów usiłuje on sugerować, że dyktatura proletariatu jest jakoby tożsama z „bezprawiem" i „przemocą", dlatego też nie może ona ponoć być formą kierownictwa w „demokratycznym" społeczeństwie socjalistycznym. Tu znowu powołuje się na Marksa i Engelsa, że oni wcale nie utożsamiali dyktatury proletariatu z przemocą, a uznawali jej konieczność jedynie przez krótki okres przejściowy od kapitalizmu do socjalizmu i zarzuca Leninowi, a szczególnie marksistom-leninistom, że oni jakoby utożsamili dyktaturę proletariatu z niczym nieograniczonym panowaniem biurokratycznego aparatu władzy, występującego jedynie w imieniu proletariatu oraz rozciągnęli jej działanie na całą epokę socjalizmu.

Na przekór starym i nowym falsyfikatorom marksizmu-leninizmu właśnie zasługą W. Lenina jest głębokie uzasadnienie twórczych zadań i funkcji dyktatury proletariatu. Lenin podkreśla, że najgłębszą i stałą funkcją dyktatury proletariatu jest organizacyjna, gospodarcza i kulturalna działalność ludzi pracy, zmierzająca do reorganizacji produkcji, do pokonania sił i tradycji starego społeczeństwa, do zlikwidowania podziału społeczeństwa na klasy i do zbudowania nowego życia. W miarę umacniania się socjalizmu przy przechodzeniu do budowy rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego dyktatura proletariatu wypełniwszy swoje funkcje, przeradza się w państwo ogólnonarodowe. Ta zmiana roli socjalistycznego państwa, przede wszystkim w ZSRR, jest ściśle zapisana w nowej konstytucji ZSRR.

Odrzucając dyktaturę proletariatu Schaff w istocie przenosi do swojego „cywilizowanego" modelu społeczeństwa socjalistycznego mechanizm polityczny formalnej demokracji burżuazyjnej z jej pluralizmem politycznym i ideologicznym, stworzonym przez burżuazję dla swoich własnych potrzeb. „Model" Schaffa sprawia faktycznie wrażenie, iż socjalizm można by jakoby zbudować środkami i metodami burżuazyjnej demokracji „pluralistycznej", że można jakoby pokonać problemy rozwoju ruchu komunistycznego, wszystkie trudności tworzenia socjalizmu za cenę rezygnacji z „radzieckiego modelu" socjalizmu, w wyniku przeciwstawienia strategii i taktyki partii komunistycznych krajów kapitalistycznych Zachodu doświadczeniu walki partii komunistycznych krajów socjalistycznych o zbudowanie i udoskonalenie socjalizmu.

Niezależnie od subiektywnych zamiarów A. Schaffa jego próba „nowego odczytania" historii realnego socjalizmu, jego poszukiwanie modelu „prawdziwego" socjalizmu są na rękę przeciwnikom socjalizmu i przeciwnikom marksizmu. Nieprzypadkowo burżuazja i burżuazyjne środki masowego przekazu dziś tak szeroko propagują jego „idee". Nasz przeciwnik klasowy ochoczo przebaczył A. Schaffowi jego przeszłe „grzechy marksistowskie", ponieważ dzisiaj jego wywody mogą wprowadzić w błąd wypaczyć poglądy określonych warstw robotników, inteligencji i młodzieży.

8.

Polscy naukowcy oceniając poglądy A. Schaffa zaprezentowane przez niego w książce „Ruch komunistyczny na rozdrożu" oraz w niektórych innych pracach i w wystąpieniach publicznych podkreślają, iż uważają koncepcję Schaffa za „szkodliwą dla rozwoju marksizmu i ruchu robotniczego". Właśnie dlatego, stwierdzają oni, jest rzeczą konieczną wystąpić przeciwko niej, tym bardziej, że sam Schaff nieustannie reklamuje swoje poglądy jako wielkie osiągnięcie teoretyczne, jako przejaw antydogmatycznego, prawdziwego marksizmu. Swoimi spekulacjami o „woluntarystycznych" „narodnickich" tradycjach w leninizmie, swoimi nieuzasadnionymi napaściami na realny socjalizm A. Schaff leje wodę na młyn antykomunizmu usiłującego wprowadzić rozłam teoretyczny i polityczny w ruch komunistyczny pod hasłem rezygnacji z leninizmu i umyślnego przeciwstawienia realnie istniejącego społeczeństwa socjalistycznego idealnym „modelom" socjalizmu, przykrojonym na miarę drobnomieszczańskich wyobrażeń.

W rzeczywistości logika walki klasowej i logika życia uczą, iż kto zaczyna od rewizji sprawdzonych przez życie pryncypialnych wniosków marksistowsko-leninowskich, kto chcący lub niechcący oczernia świat realnego socjalizmu budowany heroicznymi wysiłkami milionowych mas ludzi pracy, ten z reguły kończy na przejściu na pozycje otwarcie antymarksistowskie i antykomunistyczne.

(„WOPROSY FIŁOSOFII" kwiecień 1984)

Polak z paszportem

Rozmowa z ppłk mgr. EDMUNDEM OKONIEM — naczelnikiem Wydziału Paszportów Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łodzi.

— Panie pułkowniku, nowa ustawa paszportowa obowiązuje od niedawna i na dobra sprawę przeciętny obywatel nie wie czy jest ona korzystna dla niego czy też nie. Dawniej wystarczyła odpowiednia pieczęć w naszych dowodach osobistych i mogliśmy bez przeszkód wyjeżdżać do krajów socjalistycznych. Teraz potrzebny jest paszport. Po co?

— Postaram się wyjaśnić. Otóż od 1982 r. wyjeżdżać turystycznie za granicę można tylko wtedy, gdy ma się zabezpieczony tam pobyt. Tym zabezpieczeniem może być zaproszenie przysłane z zagranicy bądź wykupienie świadczeń w którymś z biur podróży. A także udział w wycieczce zbiorowej lub wykupienie tzw. voucherów. Dotyczy to wyjazdów zarówno do krajów zachodnich, jak i krajów socjalistycznych.

— Wobec tego, kto dziś może wyjechać za granicę i na jakich zasadach?

— Znowelizowana ustawa o paszportach obowiązuje od 31 marca 1984 r. Ustawa ta w artykule 4 mówi, że każdy obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej ma prawo otrzymać paszport, jeśli przedłoży wymagane dokumenty oraz uiści odpowiednią opłatę. Dokumentami wymaganymi są: wniosek o paszport potwierdzony przez zakład pracy, zaproszenie z zagranicy albo wykupione świadczenia na pobyt za granicą.

— I już paszport mamy w kieszeni?

— W zasadzie tak, ale organ paszportowy może uzależnić wydanie paszportu od dopełnienia przez ubiegającego się o paszport ciążących na nim obowiązków wobec państwa lub jednostki gospodarki uspołecznionej. Jako przykład chcę tu podać taką sytuację: jeśli ktoś prowadzi działalność gospodarczą na własny rachunek winien złożyć zaświadczenie o nieposiadaniu zadłużeń podatkowych. Natomiast osoby przeznaczone do odbycia służby wojskowej muszą przedłożyć zgodę władz wojskowych na wyjazd.

— Jeśli dobrze zrozumiałem nowa ustawa paszportowa przyznaje prawo wyjazdu każdemu obywatelowi PRL, jeśli dopełni odpowiednich formalności. Jednakże, jak uczy doświadczenie, od każdej reguły są wyjątki...

— Takie wyjątki są przewidziane także w omawianej tu ustawie.

— Wobec tego proszę powiedzieć, kto nie może otrzymać paszportu?

— Proszę pana, właściwy organ paszportowy w określonych przypadkach może odstąpić od zasady, że każdy ma prawo otrzymać paszport i odmówić jego wydania. Żeby nie być gołosłownym posłużę się przykładami. Otóż jeśli przeciwko osobie ubiegającej się o paszport toczy się aktualnie postępowanie przygotowawcze, sądowe lub wykonawcze w sprawie karnej o przestępstwo ścigane z oskarżenia publicznego lub w sprawie karnej skarbowej — paszportu nie damy. Nie damy go także, jeśli od warunkowego umorzenia postępowania nie upłynęły jeszcze trzy miesiące od zakończenia okresu próby. Może też być i tak, że ze względu na ochronę i bezpieczeństwo państwa i dobro ogólne urząd paszportów może odmówić wydania paszportu.

— Względy, o których mówi pan pułkownik są przecież oczywiste...

— Ale to nie koniec. Możemy nie wydać paszportu, gdy chodzi o tzw. względy społeczne. Jak to rozumieć? A więc, gdy ktoś, kto chce wyjechać posiada pod opieką osobę, która bez tej opieki byłaby pozbawiona środków utrzymania. Nie wydamy paszportu temu, kto nie posiada zapewnienia, że za granicą będzie miał ochronę prawną i opiekę. Nie otrzyma paszportu i ten, kto nie posiada zabezpieczonych za granicą kosztów pobytu.

— Co to znaczy, że nie posiada za granicą ochrony prawnej i opieki?

— Chodzi tu o sytuację, gdy nie ma stosunków dyplomatycznych i konsularnych pomiędzy Polską Rzecząpospolitą Ludową a państwem, do którego ta osoba zamierza się udać, lub w owym państwie zaistniała aktualnie szczególna sytuacja mogąca zagrozić zdrowiu lub wolności osobistej osobie ubiegającej się o paszport.

— Czy są jeszcze inne przypadki, w których można obywatelowi PRL odmówić wydania paszportu?

— Tak. Wtedy gdy osoba ubiegająca się o paszport nie dopełniła wobec państwa, jednostki gospodarki uspołecznionej lub osoby fizycznej obowiązku wynikającego z ustawy lub orzeczonego przez sąd albo właściwy organ państwowy. Czyli mówiąc prościej, jeśli na przykład ktoś nie opłacił kiedyś cła za przywieziony z zagranicy samochód. Wobec prawa jest zadłużony w stosunku do państwa. I dopóki nie ureguluje ciążących na nim należności, dopóty paszportu nie otrzyma.

— Widzę, że ograniczeń tych jest sporo, choć mają one swoje prawne uzasadnienie.

— Te ograniczenia są konieczne. Nie można przecież wydać paszportu temu kto swoim zachowaniem za granicą naraził na szkodę interesy PRL. Mam na myśli tych wszystkich, którzy zostali zatrzymani za granicą przez tamtejsze organy ścigania za uprawianie nielegalnego handlu, za kradzież, rozbój czy uprawianie nierządu. Tacy ludzie przynoszą nam wstyd, podrywają autorytet, narażają na szwank dobre imię Polaków. I jeszcze jedno: nie damy paszportu temu, kto używał go w innych celach niż ten, dla którego został on wydany.

Tak więc od 31 marca 1984 r. organa paszportowe pracują w oparciu o nową ustawę.

— A jeśli ubiegający się o paszport nie chce zgodzić się z waszą decyzją odmowy, co wtedy?

— Swoją odmowę uzasadniamy pisemnie. Ubiegający się o paszport ma pełne prawo nie zgodzić się z jej postanowieniem i może odwołać się do Biura Paszportów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

— Panie pułkowniku, skoro przebrnęliśmy przez zawiłości dotyczące samego ubiegania się o paszport, chciałbym teraz usłyszeć parę zdań na temat dokumentów, na podstawie których jeździmy za granicę.

— Podstawowym dokumentem przekroczenia granicy jest obecnie paszport. To już sobie powiedzieliśmy. Do europejskich krajów socjalistycznych wydajemy paszporty z ważnością na 5 lat. Uprawniają one do wielokrotnego przekraczania granicy. Paszport taki pozostawiamy w dyspozycji obywatela nie zatrzymując w zamian dowodu osobistego. W okresie ważności tego paszportu obywatel nie ma już obowiązku przed ponownym wyjazdem za granicę zgaszania się do organu paszportów.

Do krajów kapitalistycznych wydajemy paszporty na okres 2 lat uprawniające także do wielokrotnego przekraczania granicy. Paszport ważny na kraje kapitalistyczne podlega jednak zwrotowi do organu paszportowego po powrocie z zagranicy w ciągu tygodnia, a jeżeli wyjazd nie nastąpił — w ciągu 14 dni od dnia upływu terminu jego ważności.

— Wiem także, że nadal można jeździć na dowód osobisty, jak to bywało do 13 grudnia 1981 r.

— Owszem, w niektórych przypadkach do przekroczenia granicy wystarczy dowód osobisty. Wyjazdy turystyczne w oparciu o dowód mogą być tylko w zorganizowanej grupie z pilotem i wspólnym środkiem transportu. Dowód osobisty musi być w takim przypadku zaopatrzony w odpowiedni wpis. Wpisy dokonane przed 13 grudnia 1981 r. podlegają weryfikacji i jest to czynność bezpłatna.

Przekraczanie granicy przez dzieci i młodzież na pobyt wakacyjny i wypoczynkowy do NRD odbywa się w nowej uproszczonej formie. O tym jakie dokumenty obowiązują tych uczestników poinformowani będą organizatorzy.

— Czy zmieniły się opłaty za paszport?

— Nie, pozostały takie same. Wniosek o paszport podlega opłacie 100 złotych. Natomiast opłata od paszportów uprawniających do przekroczenia granicy do kraju socjalistycznego wynosi 600 złotych, a do krajów kapitalistycznych 2 tysiące złotych. Renciści, emeryci i osoby w wieku emerytalnym korzystają z 50 procentowej zniżki. Natomiast młodzież ucząca się korzysta ze zniżki jedynie w czasie wakacji.

— Panie pułkowniku, przed budynkiem Wydziału Paszportów już ustawiają się kolejki. Z każdym dniem te kolejki stają się coraz dłuższe. Nieomylny to znak, że zbliża się sezon wyjazdów zagranicznych. Czy naprawdę łodzianie tak lubią podróżować?

— Raczej tak. Mimo tego, że Łódź jest najmniejszym obszarowo województwem, to w roku ubiegłym plasowaliśmy się na trzecim miejscu w kraju pod względem ilości wyjazdów turystycznych za granicę. Wydaliśmy ponad 100 tysięcy paszportów, czyli co 8 łodzianin był za granicą. W tym roku przewidujemy wzrost wyjazdów. Jak pan sam zauważył, ruch w naszym biurze staje się coraz większy. Szczyt nastąpi w maju. Sądzę, że w tym roku wydamy ponad 150 tysięcy paszportów. A przecież sporo osób wyjedzie na dowody osobiste. Wszystko to wiąże się z faktem, że przecież do lipca ubiegłego roku obowiązywał u nas stan wojenny. Był zawieszony, ale jednak był. Teraz posypią się zaproszenia z zagranicy. Czyli wszystko wraca do normy.

— Czy pańskie biuro jest przygotowane do przyjęcia takiej ilości interesantów?

— Tak, jesteśmy przygotowani do przetrzymania największego naporu interesantów. Należy jednak stwierdzić, że ten rok będzie trudny zarówno dla nas, jak i dla osób ubiegających się o paszporty. Dla nas — bo przybędzie nam pracy, dla interesantów — bo będą dłużej wystawać w kolejkach.

Tu, za pośrednictwem „Odgłosów", chciałbym wszystkim zainteresowanym zagranicznymi wyjazdami dać pewną dobrą radę: korzystajcie z biur turystycznych! Wówczas nie będziecie musieli wystawać w kolejkach przed naszym biurem.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

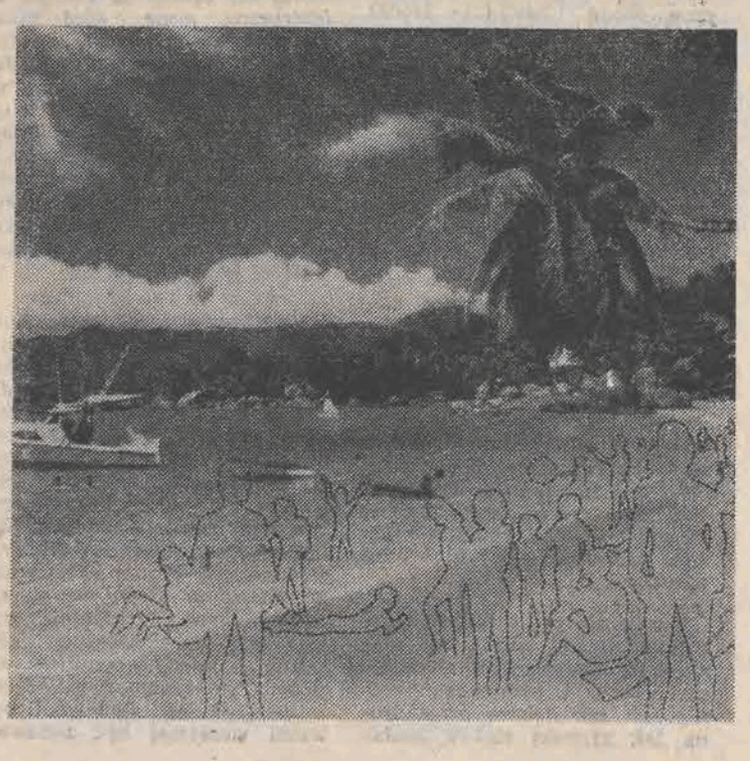

Dokończenie ze strony 1

— *Wzięłam na niedzielę czteroletnią Weronikę, bo matka po nią nie przyszła* — mówi Halina Głowacka. — *Później nie chciała wyjść, błagała żeby nie oddawać jej do mamy. A mamusia, panienka po czterdziestce mieszka w Białej koło Zgierza. W jednej maleńkiej izbie pięcioro zaniedbanych dzieci... Inna matka, pani K. lat 25, ma już czworo. Wszystkie przechodzą przez nasz żłobek. Po świętach trzyletnia Ania wróciła brudna, głodna...*

28 marca 1984 roku do żłobka przysłano następujące pismo:

Ogłoszenie

Przędzalnia Bawełny im. Gen. Waltera informuje, że z dniem 1 września br wygaszona zostaje działalność żłobka. Uprzejmie prosimy rodziców o składanie podań na przejście dzieci do innych placówek wychowawczych na rok szkolny 1984/85".

Komu cudze dzieci?

Stefania Matałowska — kierownik żłobka: — *Byłam zaszokowana. Wiadomość zastała mnie podczas urlopu w Krynicy. Zadzwoniła pracownica przerażona, że nasza placówka ulega rozwiązaniu. Oczywiście przerwałam wypoczynek. A jeszcze w połowie marca, a więc na kilka dni przed wystosowaniem tego nieszczęsnego pisma rozmawiałam z szefem działu socjalnego zakładów Janem Herbaszewskim. Dopominałam się o remont w lipcu. Oczywiście potwierdził że odbędzie się w terminie... Jak mnie potraktowano, moją wieloletnią pracę, placówkę, którą kieruję od dawna, a przede wszystkim te dzieci! Dla nich nasz żłobek to jedyne dobrodziejstwo, mają tu okruchy prawdziwego dzieciństwa.*

Stefania Matałowska zatrudniona jest w tej placówce 27 lat. Pozostały personel to też kadra stabilna, zaangażowana. Na przykład Maria Zuchora, asystentka pielęgniarska, 25 lat pracy, Lucyna Szatkowska asystentka pielęgniarska, 16 lat pracy, Halina Głowacka, asystentka pielęgniarska 12 lat. Właśnie dzięki pomysłowości, ofiarności wszystkich zatrudnionych żłobek jest tak wspaniale wyposażony. Wcale nie za pieniądze zakładu! Tapety, dywany, pianino etc, zarobili sami! W wolne dni organizowano imprezy, bale, a dochód przeznaczono na zakup luksusowych przedmiotów. Zakład, owszem, płaci za opał, energię elektryczną, wodę. Zakupuje środki czystości. Wykonuje prace konserwacyjne. Ostatni poważniejszy remont był pięć lat temu. Pensje pracownicy otrzymują z Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej w Łodzi, także odzież roboczą, a żłobek bieliznę.

— *Przędzalnie nigdy nie miały z nami najmniejszych kłopotów* — mówi Stefania Matałowska. — *Czasem dyrekcja zaszczycała swoją obecnością uroczystości np. „choinkowe". Jestem rozgoryczona, moi ludzie również. Jak można było postąpić w ten sposób? Jesteśmy od lat związani z placówką. Byliśmy potrzebni, gdy tu przebywały dzieci zakładowe. Dzisiaj potraktowano nas jak zbędnych...*

Twierdzę z całą odpowiedzialnością, iż żadna ze znanych mi instytucji wychowawczych tego i podobnego typu nie jest tak dobrze prowadzona jak zgierski żłobek zakładowy Przędzalni Bawełny im. Gen. Waltera. Dzieciaki mają tu wyśmienite warunki i opiekę z prawdziwego zdarzenia. Kierowniczka dosłownie interesowała się zawsze wszystkim, personel obowiązany był meldować o najdrobniejszych niedyspozycjach maluchów. Dzięki wieloletniej dbałości żłobek stanął na tak wysokim poziomie, a wyniki pracy w każdej chwili można było sprawdzić — zdrowe, uśmiechnięte, zadowolone dzieci! Liczy się to tym bardziej, że zdecydowana większość wywodzi się z marginesu społecznego. Pracuje się tutaj także z grupką dzieci upośledzonych. Czyżby żłobek był rzeczywiście niepotrzebny?

Dyrektor naczelny Przędzalni Bawełny im. Gen. Waltera, Halina Żychlińska: — *Nie stać nas na utrzymywanie tylu placówek opiekuńczo-wychowawczych, a mamy ich obecnie pięć. Jeszcze do niedawna posiadaliśmy dwukrotnie więcej. Nasze przedsiębiorstwo powstało w 1964 roku z połączenia pięciu odrębnych zakładów, z których każdy wniósł ze sobą przedszkole i żłobek. Ponieważ zainteresowanie żłobkami malało, pozbywaliśmy się ich sukcesywnie. Ostatni w Łodzi zlikwidowaliśmy w ubiegłym roku. Przed reformą wydatki związane z nimi wliczano w koszty zakładowe dziś poważnie obciążają fundusz socjalny, który wynosi u nas około pięciu i pół miliona złotych rocznie, z tego aż dwa i pół wydajemy na opiekę nad cudzymi dziećmi! Zatrudniamy raptem 2000 załogi i tylko 10 procent ma tam swoje dzieci. Jedynie ci nie protestują przeciwko utrzymywaniu żłobków, przedszkoli, ale zaraz zaczną, gdy ich pociechy wyrosną. To już reguła, mamy doświadczenia wieloletnie, każdy widzi tylko czubek własnego nosa. Reszta załogi wnosi pretensje. Brakuje pieniędzy na wczasy, kolonie, działalność kulturalno-oświatową. Pracownicy domagają się wycieczek, grzybobrań... Nie płacimy ludziom za urlopy „pod gruszą" nawet złotówki. Inne zakłady robią to, bo nie są tak obciążone, chociaż większe np. zgierska „Boruta", olbrzymi „Marchlewski" posiada tylko jedno przedszkole i żłobek! Największy zakład przemysłu bawełnianego w Europie im. Obrońców Pokoju — dwa przedszkola i żłobek! W dzisiejszych trudnych czasach nie możemy sobie pozwolić na wyrzucanie pieniędzy. Chcemy zostawić tylko przedszkole przy ul. Milionowej w Łodzi, pozostałe zdecydowaliśmy przekazać odpowiednim władzom. Kwestię tę przedyskutowano na posiedzeniu Związków Zawodowych i Rady Pracowniczej Przedsiębiorstwa. Jednogłośnie postanowiono odstąpić od ich prowadzenia. Wydatki związane z tymi placówkami wzrastają. Podniosły się opłaty za energię elektryczną, wodę, opał, także niepomiernie wzrosły ceny środków czystości. Przykładowo w roku 1981 wydaliśmy na nie 1 milion 379 tys. zł a w 1983 już dwa i pół miliona. Dopiero od tego roku decyzją prezydenta Łodzi zostaliśmy zwolnieni z podatku od nieruchomości. Jest to jedyna ulga, jaka nam się trafiła. To stanowczo za mało!*

W sprawie przekazania żłobka tygodniowego i przedszkola w Zgierzu Przędzalnie Bawełny im. Gen. Waltera wystosowały pismo do prezydenta Zgierza już 7 lutego 1984. Pozostało bez odpowiedzi. 14 marca 1984 wysłano następne. I znowu milczenie. Czyżby władz Zgierza nie obowiązywały przepisy Kodeksu Postępowania Administracyjnego? Wobec uporczywego chowania głowy w piasek, zdesperowane Przędzalnie wystosowały prowokacyjne „ogłoszenie". Wtedy podniósł się szum. Tym niemniej ci, którzy z racji swoich stanowisk powinni wcześniej być zorientowani, nic o sprawie nie wiedzieli.

Jerzy Nowicki — Inspektor Oświaty i Wychowania w Zgierzu: — *To była jednostronna decyzja Zakładów! Nie możemy „rozdysponować" tych dzieci. W innych placówkach nie ma miejsc!*

A pierwsze kroki, aby pozbyć się „złotówkożernych" instytucji czyniono dawno, także na terenie Łodzi. Wicekurator Oświaty i Wychowania Edmund Wawrzyński zobowiązał się przejąć przedszkola. Wszystkie warunki miały być omówione natychmiast, jeszcze w lutym. Zaczął się maj, a władze oświatowe nie uczyniły w tym kierunku nic. Widać nie są zainteresowane. Miejsc w łódzkich przedszkolach na lekarstwo. Setki dzieci pozostały nie przyjęte. Tak dzieje się od kilku lat. Stosuje się nawet selekcje, specjalne kryteria. Rodzice zrozpaczeni interweniują bez żadnych rezultatów. Bo i z pustego to Salomon też nie naleje. Pozwolić w tej sytuacji na likwidację tak bardzo potrzebnych instytucji?

Jako ewidentny przykład beztroski może posłużyć sprawa przedszkola przy ul. Piotrkowskiej nr 138. Wydział Oświaty Łódź-Śródmieście nie chce go przejąć, gdyż placówka nie posiada wyjścia ewakuacyjnego. Oświata nie będzie się narażać! Wszelkie próby dogadania się, wspólnego usunięcia defektu, spełzły na niczym! Budynek rzeczywiście stary, niezbyt funkcjonalny, ale czy Śródmieście ma widoki na nowe przedszkola? Nie! Chodzi tylko o zepchnięcie odpowiedzialności za administrowanie i pieniądze, których ani jedna, ani druga strona nie mają za wiele. Należałoby dla dobra dzieci i interesu społecznego wykazać trochę dobrej woli!

Czy ktoś może zmusić załogę zakładów do utrzymywania z własnego funduszu socjalnego przedszkola, z którego korzystają nie ich dzieci? Wymyślone, zresztą nie tak dawno, hasło — „wszystkie dzieci są nasze" — nie da się w tym przypadku zastosować. Interesy zakładu i władz oświatowych okazały się sprzeczne, ale rozwiązanie trzeba znaleźć! Chodzi przecież o sprawę niebagatelną — dobro najmłodszych!

Żłobek tygodniowy w Zgierzu zawisł w próżni. Wyraźnie go sobie nie życzy miasto. Prezydent Zgierza milczy uparcie już kilka miesięcy. Czyżby los tych dzieci systematycznie krzywdzonych przez własne rodziny był mu całkowicie obojętny?

Przędzalnie chcą ulgi finansowej, chyba zupełnie słusznie. Życzą sobie być zwolnione od opłat za energię elektryczną i opał. To niezbyt wygórowana cena, by zapewnić godziwe warunki bytowania dzieciom i umożliwić dalszą działalność tej naprawdę wzorowej i ze wszech miar pożytecznej placówki.

Pieniądze na prowadzenie żłobka muszą się znaleźć! Przędzalnie deklarują się jak dawniej zakupywać dla niego środki czystości, wykonywać remonty. W ubiegłym roku zakład wydał na żłobek sześćset tysięcy. Nie jest to wiele. Ale w końcu to sprawa ludzi, że chcą solidniej wypocząć i wydać je na wycieczki, grzybobrania... Nauczyli się myśleć przede wszystkim o sobie.

Władze odpowiedzialne za działalność placówek wychowawczych, obowiązane są spojrzeć na tę sprawę inaczej. Nawet kryzys i ogromna dewaluacja złotówki nie upoważnia do „wylewania dziecka z kąpielą", tym bardziej, że w tym przypadku to nie tylko przysłowie, ale fakt — najprawdziwsze dzieci wyrzucone na bruk, bo na terenie Zgierza podobnej placówki nie ma i akurat żaden żłobek nie zapewni tej grupce potrzebnych do prawidłowego rozwoju warunków. Sprawą także powinien zainteresować się Specjalistyczny Zespół Opieki Zdrowotnej nad Matką i Dzieckiem.

EDWARD BRYL

Jak próbować wyjść z tej „mizerii"

Z dużym zainteresowaniem, a także sympatią i uznaniem dla autora, przeczytałem napisany z pasją i dużą znajomością realiów artykuł J. Stanisława Knypla pt. „Mizeria studenta i asystenta" (Odgłosy Nr 17 z dnia 28.4.1984). Można by było także odnieść ją (tę mizerię) do jak na razie, mizerii samorządnej szkoły wyższej, choć to tylko z pewnością jedno z odniesień, mogące chociaż trochę poprawić lub znacznie pogorszyć ten żałosny stan.

W szczególności zgadzam się z autorem, iż istotną przeszkodę w doborze odpowiednich kandydatów na studentów oraz asystentów odgrywają mechanizmy selekcji negatywnej, także lub głównie natury materialnej i społeczno-obyczajowej. Asystentowi z lat pięćdziesiątych nasuwa się, siłą rzeczy, potrzeba porównań, bynajmniej nie gwoli złagodzenia ostrych ocen autora. Nasz wtedy asystencki status materialny był jeszcze gorszy. Byliśmy bardzo „siermiężni".

Stawaliśmy się, w znacznej części populacji studiujących, inteligentami w pierwszej generacji. Brzmi to patetycznie, ale towarzyszył nam wielki, historycznie uwarunkowany napęd oraz tęsknoty i nadzieje naszych rodzin i środowisk społecznych. Obecnie już od liceów ogólnokształcących widać, iż działanie tych bodźców jest znacznie słabsze. Przestał także działać snobizm na magistra w rodzinie. To co kiedyś dodawało splendoru, obecnie się nie liczy. Częstokroć obserwowany łatwy zarobek, nieproporcjonalny do wiedzy i kwalifikacji, a nawet rzeczywistego wkładu pracy, powoduje rozgoryczenie i nie zachęca do pracy nad sobą.

Nie we wszystkim zgadzam się jednak z autorem i cytowanymi przez niego źródłami. Sądzę, iż krzywa naturalnego rozkładu poziomu inteligencji pozytywnego stosunku do obowiązków, wreszcie oczekiwanego kwantum wiedzy, umiejętności, przynajmniej wśród studentów mojej uczelni — Akademii Medycznej, jest znacznie korzystniejsza. Oczywiście daleko nam, tak studentom, absolwentom jak nauczycielom akademickim do zadowolenia, zwłaszcza jeżeli uwzględnimy imperatyw najtrafniejszego przygotowania do wykonywania zawodu.

A jak z doborem asystentów? Różnie. Z pewnością jednak nie tak jak pisze autor: „...W szranki staje nie cała grupa absolwentów, lecz jej resztki zwane szarym ogonem". To na ogół nie tak, przynajmniej w mojej uczelni, a sądzę, że nie tylko w mojej, choć zdarzają się nierzadko przykłady przyjmowania miernot. Czasem na zasadzie podobieństwa do niektórych angażujących albo pod naciskiem, częściej „z boku" niż „z góry".

Przyjęcie odpowiednich kandydatów to dopiero część sprawy. Najistotniejsze znaczenie ma zespół, do którego trafią oraz oczywiście kompetencja zawodowa, osobowość i umiejętności wychowawcze kierownika — profesora, docenta. Właśnie w obecnych polskich warunkach, charakteryzujących się m. in. niedostatkiem nakładów, zwłaszcza na rozwój zaplecza badawczego, ambitna, zdolna, pełna pasji twórczej kadra jest głównym czynnikiem umożliwiającym liczące się osiągnięcia zawodowe, tak dydaktyczne jak i badawcze. Zaiste gorzkie i żałosne musiały być doświadczenia i obserwacje autora. Mogę z pamięci podać autorowi szereg zespołów w swojej uczelni, gdzie młodzi ludzie mają szansę „spełnienia się".

Sam też mam przyjemność kierować zespołem utalentowanych, ambitnych, twórczych, w większości młodych współpracowników, a przy tym oddanych, kompetentnych, szanowanych i lubianych nauczycieli. Przecież ich też nie omijają powszechne kłopoty życia codziennego. Jestem przekonany, iż podobnie jest i w innych uczelniach. Niestety dotyczy to nie wszystkich zespołów i nie wszystkich młodych ludzi. W tym sęk... W jakim stopniu jest to prawidłowość statystyczna, a w jakim rażące zaniedbanie lub niekompetencja, przynajmniej w odniesieniu do zespołów, w których nawet zdolni absolwenci z czasem tępieją i stają się frustratami. Zdecydowanie więc przeciwstawiam się samobójczemu, szczególnie dla młodych poglądowi autora, choć — trzeba przyznać — dość często spotykanemu, o przeciwstawności, sprzeczności dydaktyki akademickiej i nauki.

Najpierw uściślenie; asystent-stażysta nie musi uprawiać „dydaktycznej orki", gdyż jego pensum roczne wynosi 60 godzin i ma na celu wdrożenie do zawodu. Stopień trudności i odpowiedzialności obowiązków dydaktycznych zespołu jest na ogół zróżnicowany i zadania rozłożyć zwykle można stosownie do kwalifikacji personelu. Nikt przecież nie kwestionuje potrzeby doszkalania przedszkolanek, uniwersyteckiego kształcenia nauczycieli, kształcenia początkowego oraz stawiania coraz większych wymagań nauczycielom licealnym. Czyżby ta prawidłowość nie odnosiła się do asystentów? Czym trafi nauczyciel-asystent do studentów, przecież pomimo „negatywnej selekcji", czasem dociekliwych, przekornych, wymagających? Czyżby tylko sprawdzianem listy, powagą stanowiska, a może arogancją? A przecież pedagodzy piszą i życie uczy o roli wzorców osobowych, o wymaganiu i wyrabianiu, także u studetów, nawyku kształcenia ustawicznego, o twórczym podejściu do uprawianej i nauczanej dyscypliny. Trzeba temu podołać lub chociażby starać się podołać.

Publikacje i doktoraty są jedną z miar dojrzewania. Sądzę, iż są źródłem satysfakcji z pracy, w uczelni wyższej, pewną szansą na ciekawe życie i być może kiedyś na poprawę sytuacji materialnej. Nie są to za mocne argumenty, ale po głębszym namyśle zwykle nie słabną. Zdarzyć się może, iż przejściowo obciążenia dydaktyczne mogą pozostawać w kolizji z programem badań naukowych. Dotyczy to niekiedy tzw. deficytowych specjalności, ale z natury rzeczy nie może być regułą.

Jest to z mojej strony próba przedstawienia nieco innej, pogodniejszej wersji tylko niektórych zagadnień podnoszonych przez autora, którego pazur publicystyczny, trafność wielu obserwacji i zasadność wniosków szczerze podziwiam. Zachęcam go do dalszej penetracji ważnej przecież problematyki życia wyższych uczelni, w tym szczególnie warunków rozwoju młodej kadry. Sądzę, iż nadal należy oczekiwać, publicystycznego i instytucjonalnego natarczywego artykułowania konieczności poprawy statusu nauczyciela akademickiego, szczególnie młodego.

Nie przypominam sobie, aby — stosownie do rangi problemu — przeciwstawiano się zniesieniu przez Zjazd Spółdzielczości Mieszkaniowej prawa najzdolniejszych studentów do przyspieszenia w przyznaniu spółdzielczego mieszkania. Selekcję negatywną asystentów zmniejszyć można dzięki zwiększeniu liczby miejsc w hotelach asystenckich, stworzeniu puli mieszkań rotacyjnych dla młodych małżeństw pracowników nauki itp. Właśnie młodzi takiej pomocy szczególnie potrzebują. Te i inne problemy socjalne winny stać się istotnym zadaniem związków zawodowych oraz radnych — przedstawicieli środowiska akademickiego i młodzieżowego.

Jest to także ważne zadanie dla samorządności uczelnianej i dla uczestniczących w senatach, radach wydziałowych i komisjach przedstawicieli młodych pracowników nauki. Uczestniczący w komisjach kadrowych powinni zabiegać o atrakcyjne stanowiska pracy dla najzdolniejszych absolwentów, a nie przeciwstawiać się rotowaniu przeciętności. Należy przerwać „eleganckie" milczenie w uczelniach, wymijające trudne problemy kadrowe. Z pewnością można liczyć na wielu sojuszników wśród profesury. To przecież nasz wspólny interes.

Samorządność uczelniana nie stała się, zgodnie z intencjami niektórych jej promotorów, alternatywą dla władzy państwowej i socjalistycznego modelu wyższych uczelni, ale nie stanowi jeszcze ożywczej aury, wyzwalającej twórcze inicjatywy. Na razie wiadomo tylko, iż było bardzo dużo głosowań. Można mieć jednak nadzieję, a nawet pewność, bo takie są prawidłowości rozwoju i dążenie myślących, a coraz mniej zacietrzewionych ludzi, iż kolejna kadencja władz uczelni zagęści się od merytorycznych dyskusji i trafnych rozwiązań odnoszących się także do młodej kadry.

To pod rozwagę elektorom i elektom.

JERZY RÓŻNIECKI

Foto: Tomasz Misiak

Piotrkowska, godzina duchów

Dokończenie ze strony 1

butelkę wody, zamiast butelki wódki, ale również stracić portfel, zdrowie i zęby.

Dzięki otwarciu tego sklepu spadły wydatnie w mieście ceny na sprzedawaną pokątnie wódkę i zmniejszyła się pijacka histeria. Nie żyjemy na pustyni. Brawo! Jak ktoś koniecznie musi się napić, odczeka swoje w kolejce, zapłaci przyzwoitą cenę i osiągnie upragniony cel.

Tym niemniej sklep, czy też raczej czekający pod nim ludzie stanowią obrazek tak ciekawy, że warto poświęcić mu trochę miejsca. Jest to bez wątpienia bardzo demokratyczne zbiorowisko, w którym znajdziesz przedstawicieli wszelkich warstw społecznych i zawodów — wytrawnego pijanicę obok studenta, ściochraną życiem prostytutkę obok uczennicy, która skończyła niedawno osiemnaście lat, kierowcę zamiejscowej taksówki obok czcigodnego dyrektora, który chętnie ukryłby się pod ziemią, ale co ma robić — żona posłała go do kolejki, bo przyszli nieoczekiwani goście.

Dyrektor wykręca głowę udając wielkie zainteresowanie *leżącymi* na wystawie towarami, lecz *oto pozdrawia go* z honorami jakiś schludny przechodzień. Dyrektor chętnie posłałby intruza do wszystkich diabłów, intruz nie ustępuje mu jednak specjalnie rangą i pozycją społeczną, obydwaj panowie wdają się więc w serdeczny mniej więcej dialog i już po chwili dyrektor jest zadowolony, że ma towarzystwo i niejakie alibi.

— Po wódeczkę? — pyta intruz.

— Ano — mówi ostrożnie dyrektor — brat przyjechał z Krakowa i trzeba kupić butelkę koniaku.

— Pewnie, że trzeba — przytakuje intruz i jego twarz przybiera nagle wyraz kłamliwego zakłopotania. — Zapomniałem na śmierć, że jutro przychodzi do mnie zięć z córką, też powinienem kupić butelkę, więc jeżeli szanowny pan dyrektor pozwoli, stanę za panem, a jeśli broń Boże ktoś z państwa miałby coś przeciwko temu — tu spojrzał na dwóch ponurych pijaków, którzy trzymali w rękach czarne, podziurawione teczki i trzęśli się na wychudzonych nóżkach z wyczerpania, tuż za plecami dyrektora — to dam panu dyrektorowi pieniądze i...

Zawiesił głos i przestraszył się mocno, nie tyle jednak przestraszyły go ponure twarze pijaków, co znagła zaczerwieniona i gniewna mina dyrektora, który zamierzał wprawdzie kupić alkohol, ale nie w jednej butelce, tylko w pięciu i nie żaden tam koniak tylko czysta.

Biegły w alkowach dyplomacji dyrektor postanowił ustawić intruza na końcu kolejki. Po cholerę ktoś ma wiedzieć, że pije czyściochę i to w takich ilościach. Jutro będzie o tym śpiewało pół miasta.

Uśmiechnął się ubolewając do intruza i powiedział: — Chętnie kupiłbym panu tę butelkę, ale, wie pan... — zerknął na roztrzęsionych pijaczków — ludzie stoją tu na własnych nogach od godziny — wzmocnił głos — i jestem przekonany, że się nie zgodzą.

— Zgodzą się! — beknął usmolony pijaczek.

— Zgadza się pan? — podchwycił intruz skwapliwie.

— Tak — rzekł pijaczek.

A drugi pijaczek beknął z wielką zaprawdę uprzejmością:

— Ludzie pijące muszą sobie pomagać.

— Pomóż mnie, sokoliku — zaskowytała pijaczka, która od dłuższego już czasu krążyła po bramach i restauracjach, napraszając się o kieliszek wódki. W ościennym „Aperitifie" udało jej się wprawdzie podwędzić nie dopity koniak spod nosa jakiegoś zamyślonego obywatela, ale było tego stanowczo za mało. Drżała więc i wpatrując się miłośnie pijaczkowi w oczy skowytała: — Pomóż mnie, zrobię wszystko, co chcesz, pomóż, daj się napić z tej butelki, co ją kupisz, być charakterny, nie daj mnie zginąć, zdechnę jak się nie napiję, uuuu! — zawyła rozpaczliwie, była bowiem w stanie autentycznej alkoholowej depresji i na dobrą sprawę już od dawna powinna leżeć w szpitalu.

Pijaczkowie jednak (roztrzęsieni, ale dalecy tego dnia od delirycznego ataku), czuli się osobami godnymi, dużo lepszymi od tej ściochranej nieszczęśnicy, zaczęli ją więc odpychać:

— Do domu, matka! Do domu!

— My tu z derychturami stoim, nie rób porzunnym ludziom popeliny!

Zacny szef niewielkiego przedsiębiorstwa czuł, że woda podjeżdża mu do gardła. Plama! Gdyby zobaczył go ktoś z zakładu, albo jeszcze gorzej: jakiś zwierzchnik, byłaby afera. Spojrzał intruzowi w oczy i syknął wściekle:

— Nie wywołuj pan zbiegowiska!

— Ja? — zapytał niewinnie intruz, który stał już w najlepsze za plecami dyrektora i posuwał się drobnymi kroczkami do celu.

— Owszem, pan!

— Paszła! — wrzasnął jakiś obywatel na chorą kobietę, która przypomniała sobie o zawodzie uprawianym jeszcze kilka lat temu i próbowała zaofiarować za łyk wódki swoje ciało.

Dyrektor poważnie rozważał możliwość opuszczenia kolejki, która posuwała się z żółwią zaiste powolnością, tymczasem jednak zaistniało kilka okoliczności pozytywnych, odciągających uwagę ludzi od problemów wewnętrznych.

Po pierwsze — przejechał ulicą milicyjny radiowóz. Po drugie — gdzieś zza rogu Andrzeja wyszło dwóch mundurowych.

Magia milicji jest wielka. W kolejce umilkły dyskusje, ludzie wyprostowali się jak na apelu. Paru podążających ulicą osobników z torbami ukryło się w bramach, niebawem jednak, kiedy milicjanci rozpłynęli się w mroku, wyszli z bram i przecinając jezdnię podeszli do kolejki. Baczna obserwacja tych osobników pozwalała ustalić, iż nie byli to ani pijacy, ani wykolejeńcy, lecz modnie ubrani młodzieńcy z tak zwanych dobrych domów. Kierując się nieomylnym węchem jeden z młodzieńców zaczepił niezwłocznie dyrektora.

— Potrzebuje pan może wódkę po cenie? — zapytał miłym, śpiewnym głosikiem, przy czym w jego postawie nie brakowało ukrytej arogancji.

— Po jakiej cenie? — bąknął dyrektor.

— Po takiej jak w sklepie. — Tu młodzieniec spojrzał na wystawę, dając do zrozumienia, że chodzi o ceny obowiązujące w sklepie nocnym.

— Co to za wódka?

— Żyto z Pewexu.

— Ile pan tego ma?

— A ile pan chce?

— Pięć butelek.

— To będzie razem cztery tysiące dwieście pięćdziesiąt złotych — policzył szybko młodzieniec i rozpiął torbę, w której połyskiwały i grzechotały przyjaźnie zgrabne półlitrówki.

Dyrektor zawahał się. W sklepie zapłaciłby wprawdzie pięćset złotych mniej, ale musiałby jeszcze swoje odstać, no i mógłby go ktoś zobaczyć w towarzystwie tego okropnego elementu. Wypadałoby ponadto wziąć koniak, jako że zasunął taką bombę intruzowi w przekonaniu, że ten postoi trochę i odejdzie. Kto mógł przypuszczać, że intruz wmiksuje się bezczelnie do kolejki, aby podglądać, co kupuje ten i ów obywatel. O, jak to się patrzy! Dyrektor wyczuł grubą prowokację. Utwierdził się dodatkowo w tym przekonaniu, kiedy intruz zezując na młodzieńca z torbą, zapytał niewinnie:

— To co, bierze pan, panie dyrektorze?

— Nie — odparł grubiańsko dyrektor.

— No to ja biorę — powiedział intruz, trzymając już jakimś cudem w palcach odliczone pieniądze.

Odszedł z chłopakiem na stronę, a potem obaj znikneli bezpowrotnie za rogiem.

Dyrektor odetchnął. Zapalił papierosa, posunął się do przodu kilka kroczków, lecz nagle kiedy był już blisko okienka, jakiś obwieś zawył ze zgrozą:

— Panowie, kończy się czysta! Mają tylko kolorową i słodką.

Dyrektor otworzył drzwi swojego wiśniowego fiata, który czekał na niego w okolicach zamkniętego już baru Rekord. Ulokował na tylnym siedzeniu dwie butelki angielskiej gorzkiej, dwie butelki jarzębiaku i butelkę pieprzówki, za którą wprost przepadał. Nie jest źle! Ucieszy się żona, kiedy wyciągnę się w łóżku. Pieprzówka zawsze dobrze robi mężczyźnie na wzmocnienie uczuć rodzinnych. Na samą myśl poczuł w sobie zdrową, smaczną krzepę, a los, przypadek czy też może trzeźwe niewieście wyrachowanie wybiegły mu naprzeciw, oto bowiem kiedy ruszał już z miejsca, zobaczył przed sobą na chodniku hoże dziewczę, dające mu jakieś zagadkowe znaki.

Dyrektor, odważny w kontaktach z kobiecą częścią załogi, na ulicy i w ogóle nieznanych lokalach był raczej nieśmiały, bo miał brzuch i sepleniącą wymowę. Jednakże za kierownicą czuł się stosunkowo dobrze. Jednym błyskiem źrenicy ocenił, że dziewczyna nie jest żadną łachudrą i że podjeżdża pod trzydziestkę, co rokowało trzeźwy stosunek do życia.

Otworzył jej zaciekawiony drzwi i ku swojemu niepomiernemu zdziwieniu stwierdził, że dziewczyna gramoli się do środka. Nie prosząc go o nic, ani nie tłumacząc się specjalnie, powiedziała:

— Trzeba uważać.

— Taaa? — zaciągnął uprzejmie dyrektor.

— Tak! — potwierdziła krótko — Dużo milicji i tajniaków kręci się po mieście przed majowym świętem.

— Tego się nie obawiam.

— Jest pan jednym z nich?

— Niezupełnie. A kim jest pani?

— Ja, proszę pana, dorabiam — oświadczyła pogodnie dziewczyna i wykonała taki uśmiech, że dyrektor dosłownie zbaraniał.

Co z tego wynikło, przeczytacie za tydzień.

REMIGIUSZ CAŁOPAŁEK

Śmieci a sprawa polska

MAREK MAMOS

U nas byłby porządek — *mówią Szwedzi* — *gdyby nasze* kobiety były tak gospodarne i oszczędne jak Niemki. One niczego nie wyrzucą. Wszystkie odpadki użyją w domu lub sprzedadzą z zyskiem. Najmniejszy kawałek sznurka schowają, bo może się kiedyś przydać. Niemcy twierdzą znów, że u nich byłoby dopiero bogactwo, gdyby ich kobiety umiały tak gospodarzyć jak Szkotki. Nawet kości z obiadu sprzedadzą w restauracji. Na tych kościach kucharz ugotuje rosół. I nikt nie ma zastrzeżeń do czystości zupy. Jeśli kość sprzedała gospodyni to wystarczy. To jest gwarancja najwyższej czystości. W Szkocji nie ogryza się kości. Są one odkrawane od mięsa. W Polsce oczywiście taka sytuacja jest niemożliwa, bo wiem sami chętnie coś na kościach ugotujemy.

My jednak nie mamy takiego szacunku dla odpadków. W ubiegłym roku w czasie wizytacji jednego z podłódzkich magazynów rolniczych, inspektorzy Najwyższej Izby Kontroli znaleźli kilkaset kilogramów marchwi nadpsutej, ale nadającej się jeszcze na paszę. Sąsiednie państwowe gospodarstwo rolne nie było zainteresowane odkupieniem jej po złotówce za kilogram, bowiem załatwienie formalności oraz transportu byłoby zbyt kłopotliwe. W rezultacie zmarnowaną marchew wyrzucono na śmietnik.

Bardzo rzadko zastanawiamy się nad skutkami nierozważnego postępowania. A jest o co walczyć. W krajach wysoko uprzemysłowionych ze śmieci pochodzi 15 proc. surowców zużywanych przez przemysł, i to surowców rzadkich, trudnych do uzyskania, często importowanych.

Od czasu do czasu i u nas zaczyna się coś zbierać. Na przykład Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki — właściciel kiosków „Ruchu" dwa razy do roku przykazuje swoim pracownikom wystawianie przed budkami pudełek kartonowych na kapsle, na tubki po paście do zębów itp. metalowe drobiazgi. Wbrew opiniom pesymistów tym sposobem ratowanych jest przed wyrzuceniem na śmieci wiele ton metali kolorowych. Są nawet osoby, które specjalnie zbierają w domu kapsle, aby je w czasie akcji za darmo oddać. Żal po prostu wyrzucać. Cóż z tego, jeśli akcja trwa dwa, trzy tygodnie i potem znów nie ma co zrobić z kapslami. Kioski nie są przystosowane do zbierania surowców wtórnych nawet w tak małych ilościach. Brakuje miejsca. Kapsli nie można codziennie odbierać, bo koszty transportu stałyby się wyższe od uzyskanego surowca.

W niektórych domach stoją jeszcze kubły z napisem „suchy chleb". Jest w nich wszystko oprócz czerstwego pieczywa. A przecież nasze społeczeństwo nie jest gorsze od innych. Jest tylko bardziej niecierpliwe. Jeżeli raz czy dwa się nie powiedzie, to większość już twierdzi, że nie warto, że nie można, gdy właśnie trzeba.

Aby wydobyć ze śmietników miliony złotych i dewiz trzeba znaleźć sposób na zbieranie odpadków, dzielenie ich na te, które można jeszcze wykorzystać i te, które już do niczego się nie nadają. Swego czasu, byłe Zjednoczenie Gospodarki Komunalnej zawarło umowy z dozorcami. Rejony Obsługi Mieszkańców wspólnie z Samorządami wydzieliły pomieszczenia przeznaczone do składowania „szlachetniejszych" śmieci. Gospodarze domów dziarsko wzięli się do roboty. Oczywiście tylko teoretycznie. Praktycznie nie udało mi się znaleźć ani jednego dozorcy i ani jednego ROM-u, który byłby zainteresowany sprawą.

W wielu budynkach w Szwecji są w ścianach mieszkań szafki otwierane z dwóch stron — z mieszkania i klatki schodowej. Jeśli w domu jest jakiś kawałek zbędnego papierka to skrupulatna Szwedka wkłada go do tego schowka. Co jakiś czas dozorca obchodzi schowki, zbiera makulaturę, waży, wszystko solennie zapisuje w specjalnym zeszycie i po kilku miesiącach wypłaca parę koron. Szwecja to bardzo biedny kraj. Przez cały rok jest tam zimno, ciemno. Nie ma bogactw naturalnych. Jedynie trochę rudy żelaza, ale co to za bogactwo, skoro produkcja stali w świecie z roku na rok spada. Oni po prostu z tej swojej biedy muszą ścibolić papierek do papierka. My to co innego. Mamy węgiel, miedź, siarkę i inne surowce. Ale mnie się wydaje, że między innymi dzięki swojej manii zbierania Szwed może częściej przyjeżdżać na urlop do Polski, niż Polak do Szwecji.

Przeciętny Polak w naszym kraju zużywa 42 kilogramy papieru rocznie. Z tego do punktów skupu w postaci makulatury wraca około dziesięciu. Mogłoby wracać więcej, gdyby dozorcy opłacało się chodzić od mieszkania do mieszkania i kupować od lokatorów niepotrzebne papiery. Tak jak kiedyś szmot, który zjawiał się na podwórku i krzyczał — „Szmot, szmot, garnki, miski za gałgany sprzedaje". Dzieci urodzone po roku 60-tym już go nie pamiętają.

Jeszcze większy kłopot niż ze skupem jest z przetwórstwem. Polski przemysł brzydzi się makulaturą. Okręgowe Przedsiębiorstwo Surowców Wtórnych w Łodzi skupiło w ubiegłym roku 30 tys. ton makulatury, o 1/4 mniej niż przed kryzysem, lecz i tak nie wiadomo co z nią zrobić. Produkcja papieru spadła o około 200 tys. ton, szczególnie papieru toaletowego, do wytwarzania którego makulatura jest wprost idealna. Ponadto jakimś dziwnym trafem zwiększyły się dostawy celulozy krajowej i importowanej. Magazyny zostały przepełnione. Okresowo wstrzymano nawet w niektórych punktach skup. Ajentom zaczęło brakować pieniędzy. Wzrosło zagrożenie pożarowe. W związku z tym podjęto decyzję o eksporcie, który jednak okazał się nieopłacalny. Nie zlikwidował także nagromadzonych zapasów, bowiem z przewidywanych 80 tys. ton do Austrii, Jugosławii i Włoch sprzedano tylko 26 tys. Mimo wszystko ciekawe, do czego w tych krajach przydaje się makulatura?

Również źle jest ze zbiórką i przetwórstwem złomu. W latach kryzysu spadła produkcja stali, a więc i zainteresowanie złomem. Huty nie chcą gromadzić zapasów złomu na swoich składowiskach. Banki obciążają odsetkami kredyty na finansowanie zapasów. W tych warunkach huty żądają bieżących i rytmicznych dostaw, co jest po prostu nierealne. Wiadomo, jakie kłopoty z wagonami ma PKP, wiadomo ile deficytowej benzyny połykają ciężarówki. Z drugiej strony cena złomu żelaznego jest raczej zniechęcająca do jego zbierania — 90 groszy za kilogram. Komu będzie się chciało fatygować do jedynej w Łodzi składnicy przy Obrońców Stalingradu z kilkudziesięciokilogramową paczką pod pachą.

Guma. Szacuje się, że tylko na terenie województwa miejskiego łódzkiego zapasy odpadów gumowych, w tym głównie opon, sięgają 12 tys. ton, a możliwości ich zagospodarowania wynoszą niewiele ponad 600 ton rocznie. Opracowano już odpowiednie technologie depolimeryzacji i granulowania gumy, ale resort chemii nie wdrożył ich jeszcze, tak, że właściwie jedynym sposobem zmniejszania góry odpadów gumowych jest bieżnikowanie opon. W Stanach Zjednoczonych na bieżnikowanych oponach jeździ 60 procent samochodów, w Republice Federalnej Niemiec 40, w Polsce tylko 12. Nasi kierowcy zajeżdżają opony do tego stopnia, że te nadają się tylko do wyrzucenia. Nie posiadamy, niestety, takiej kultury użytkowania samochodów, takiej ekonomii wykorzystania ogumienia. W Srebrnej koło Łodzi jest punkt wymiany zużytych opon na bieżnikowane, należący do Okręgowego Przedsiębiorstwa Surowców Wtórnych. Okazuje się, że jego stosunkowo niewielka produkcja jest i tak za duża. Kierowcy nie mają przekonania do opon bieżnikowanych.

Najdziwniej jest z butelkami. Z danych oficjalnych wynika, że jest dobrze, gdyż blisko 96 proc. butelek kaucjowanych wraca do przemysłu od obywateli. Ajenci, prowadzący punkty skupu, potwierdzają to z małym zastrzeżeniem, nie od obywateli, tylko ze śmieci. Wszyscy śmieciarze, którzy jeżdżą „puchą" zbierają butelki. Istnieje niepisana umowa między nimi a ajentami, że taki śmieć jest wart 5 złotych.

Jemu się opłaca i ajentowi się opłaca, bo ma wannę, umyje i nie dba o to, że musi grzebać się w śmieciach. Tak jest z butelkami po wódce i winie. Butelki po chemikaliach najgorszy „klajbiarz" nie podniesie. Jeszcze kilka miesięcy temu spółdzielnie produkujące rozpuszczalniki brały je z pocałowaniem ręki. Gdy polepszyła się produkcja butelek nowych to przestali skupować chociaż za nowe płaci się 40 proc. podatku, ale jest to podatek obrotowy, który wchodzi w cenę wyrobu, co kończy wszelką dyskusję.

W połowie maja dwaj ministrowie gospodarki materiałowej oraz handlu wewnętrznego i usług wprowadzili obowiązek skupu opakowań szklanych przez wszystkie sklepy handlu detalicznego. Obywatele pragnąc wypełnić patriotyczny obowiązek oszczędzania, a przy okazji zarobić parę groszy zaczęli dostarczać butelki, słoiki i inne opakowania. Efekt jest taki, że obecnie tylko w „Społem" i PHS zapas butelek wynosi 310 tys. sztuk, co stanowi siedmiokrotny wzrost w porównaniu z zapasami z lat poprzednich. Przemysł nie chce butelek ze skupu, a konkretnie pragnie uniknąć kłopotów z ich transportem i dokładnym myciem. Broni się, żądając dostaw w pojemnikach z tworzyw sztucznych, a nie jak to kiedyś bywało w drewnianych. W związku z tym w wielu sklepach pojawiły się wywieszki — „Butelki przyjmujemy tylko na wymianę".

Szkoda, że obaj ministrowie nie nakazali wykorzystywania zakupionych od ludności butelek.

Listę niemożności i niechęci można jeszcze długo komplętować. Na przykład Bielska „Befama" — dotychczasowy monopolista — nie wyprodukowała w ciągu ostatnich dwóch lat ani jednej maszyny do utylizacji surowców włókienniczych. Prezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej uznał, że wprowadzona w roku 1981 reforma struktur spółdzielni zwalnia go od obowiązku zajmowania się pozyskiwaniem surowców wtórnych od mieszkańców. Brak zainteresowania hut szkła przerobem stłuczki szklanej. Sytuacja jest naprawdę poważna. Musi powstać jakiś makroekonomiczny bilans surowców wtórnych, bo często dlatego, że w jednym miejscu marnieje, w innym brakuje do produkcji. Fachowcy z którymi rozmawiałem mówili, że powinny być stosowane ulgi i preferencje systemowe za wykorzystywanie surowców wtórnych, za intensyfikację zbieractwa. Wielkim przedsiębiorstwom musi się opłacać gromadzenie i przetwarzanie odpadów. Przedsiębiorstwa skupu surowców wtórnych nie mogą pracować na tych samych zasadach co inne. Nie mogą być nastawione na dawanie zysku do budżetu. Wręcz przeciwnie. Czekają na cieplejsze potraktowanie przez banki. Chodzi szczególnie o niskooprocentowane kredyty na rozwój skupu i przetwórstwa. Osiągane zyski pozwalają na inwestycje we własnym zakresie.

Dotychczas namalowany obraz wykorzystania surowców wtórnych byłby nieprawdziwy bez podania kilku pozytywnych zjawisk jakie ostatnio, głównie dzięki reformie gospodarczej, a także niedoborowi „świeżych" surowców można zaobserwować w naszym przemyśle. Istniejący od niedawna problem tworzyw termoplastycznych dzisiaj już nie istnieje. Każdy kilogram jest zagospodarowywany głównie przez rzemieślników. Przedsiębiorstwo Galanteryjno-Odzieżowe „Progal" oraz Rzemieślnicza Spółdzielnia Pracy „Włókno" chętnie wykorzystują odpady produkcyjne z zakładów konfekcyjnych szyjąc z nich ubranka dla dzieci. Utworzone prawie we wszystkich zakładach przemysłu lekkiego oddziały pracy chronionej bazują na własnych surowcach odpadowych.

Spółdzielnia Inwalidów im. H. Sawickiej w Łodzi wykorzystała własne odpady z tektury do produkcji 336 tys. opakowań. Spółdzielnia Inwalidów „Przodownik" w Aleksandrowie wykonała z odpadów produkcyjnych 28 tys. szt. fig dziewczęcych oraz 12 tys. szt. spodenek dziecięcych. Pół tony odpadów ze styrogumu zagospodarowała Spółdzielnia im. H. Hibnera. Nadal jednak stanowczo za dużo się marnuje, szczególnie tych surowców, które mogłyby pochodzić z naszych domów. Zastanawia też fakt, że każda poprawa zaopatrzenia w surowce i materiały zmniejsza natychmiast wykorzystanie surowców odpadowych.

Ustawa o ochronie i kształtowaniu środowiska mówi, że do środowiska można odprowadzać odpady tylko wówczas, gdy brak jest możliwości ich gospodarczego wykorzystania. Aby przepis ten był w pełni wykonywany potrzebne są jeszcze mechanizmy ekonomiczne, których powstawanie zapowiedział minister gospodarki materiałowej. Sprawa jest nadal otwarta.

Centonowa mowa

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Grzegorz Musiał jest autorem dwóch książek, bliźniaczo do siebie podobnych — „Stanu płynnego" i „Czeskiej biżuterii" W tej ostatniej wyznaje: przeczytałem „Dzienniki" Gombrowicza i świat się prawie zawalił. W praktyce oznaczało to podjęcie przez Musiała własnej próby *Dziennika*. Podchwycił bowiem pogląd, iż tylko Dziennik spełnia podstawowy walor tak zwanej dobrej literatury — dostarcza niespodzianki. I właśnie niespodzianka stała się zasadą kompozycyjną tekstów Grzegorza Musiała, które określić można jako rodzaj intelektualnego zapisu przeciwstawiającego się banałowi i nudzie.

„«Wszystko już było» — rzekł Ben Akiba, a za nim powtarza Russel", a za nim powtarza Grzegorz Musiał...

To, co uprawia Grzegorz Musiał nazwać można „centonową mową" („parole a cento"). Niegdyś słowo centon oznaczało odzienie sporządzone ze strzępów. Do literatury przeszło na oznaczenie pewnej całości zrobionej z urywków, fragmentów, zapożyczeń. Wskazuje ono na różnorodność składników w jednym utworze.

Centonowa mowa to swoista mieszanka literacka, bazująca na zapożyczeniach: cytatach i parafrazach, pastiszu i aluzji. Wykorzystywanie we własnym tekście literackim cudzych wypowiedzi oraz zapożyczanie różnorodnych stylów pozwala na znaczną przemienność punktów widzenia, na zdynamizowanie tego wszystkiego, co chce się od siebie — przy pomocy innych — powiedzieć. Mamy tu do czynienia z procesem intertekstualności, to znaczy z łączeniem dość odległych zjawisk literackich. Tak przyrządzona sałatka literacka stanowi przejaw kreacjonizmu, przejaw wyrafinowany, choć nie przez wszystkich — ze względu na dozę samodzielności myślowej — akceptowany. Nie ulega jednak kwestii, iż centonowa mowa eksponuje wyraziście potrzebę dialogu w kulturze.

Dialog, z jakim stykamy się w prozie Grzegorza Musiała poprzez skojarzenia i antynomie próbuje „odgadnąć istotę BYCIA. No dobrze, ale po co?" Tak brzmi najważniejsze pytanie tej prozy. Można by na nie odpowiedzieć zdaniem zawartym w tekście „Stanu płynnego": — „nie wie po co, a jednak robi" i zamknąć w ten sposób sprawę, nie o to chyba wszakże chodzi. Idzie o to, że — jak powiada w swoim „Dzienniku" Mistrz, który inspirował autora „Stanu płynnego" i „Czeskiej biżuterii" — po okresie, w którym „sztuka, filozofia i polityka rozglądały się za człowiekiem integralnym, jednolitym, konkretnym, dosłownym, wzrasta zapotrzebowanie na człowieka nieuchwytnego, będącego grą sprzeczności, fontanną wytryskającą z antynomii, systemem nieskończonej kompensacji..." Idzie o to, iż wszystko jest NIE-DO-OPISANIA. Że istnieją snoby. Niezniszczalne. Zawsze zwycięskie. Że prawdę potrafią zastąpić bezpieczną łatwizną pozorów.

Zestaw lektur, nazwisk, cytatów etc. przywodzi Grzegorza Musiała do wniosku: „Dobieramy słowa i krawaty. Raczej bywamy niż jesteśmy: Jeszcze gorzej niż u Gombrowicza: nie tylko międzyludzkie nami rozporządza, ale również, a raczej przede wszystkim to coś, co odgrywamy wyłącznie przed sobą i tylko dla siebie, to strojenie się przed lustrem już nie cudzych, ale własnych oczu, gdy nikt nas nie podgląda, nikt nie sądzi, a jednak stroimy się w kapelusze i miny" Autor „Czeskiej biżuterii" stara się trochę tych min uchwycić, usiłuje przyjrzeć się człowiekowi w różnych pozach — gdy najpierw skrywa się taki za swym dziełem, potem za swoją miną i wreszcie za zbolałymi wnętrznościami.

Dokuczliwa, natrętna świadomość: „Jestem Zlepkiem Wszystkiego, Uniwersalna Kombinacją wzdłuż, wszerz na skos. Można mnie rozwiązywać jak nieustającą niespodziankę". A więc po prostu przewijające się przez tekst pytanie: kim jestem, kim się nieustannie i na nowo rozpoczynam? I towarzyszący mu, dochodzący jakby spoza tekstu, bo ujęty w nawias, chichot: a jaką tu można dać odpowiedź..., chyba tylko za Mistrzem Gombrowiczem powtórzyć: — Ja, — Ja, — Ja. A potem raz jeszcze zastanowić się, gdzie zaczyna i gdzie kończy się zależność człowieka od człowieka, wzajemne stwarzanie się poprzez formę, formy kształtowanie aż do bezkształtu prowadzące.

Grzegorz Musiał: „Czeska biżuteria". Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1983, str 185, nakład 9 750 + 250 egz., cena zł 80.—

WIERSZE NAGRODZONE I WYRÓŻNIONE W TURNIEJU POETYCKIM „CZERWONY TULIPAN"

Marek Grzegorz Madej

Noc równoczesność

Bezdomny myślałem o kawałku dachu
Jakaś starucha macała różaniec
palcem suchym jak tytoniowy liść

Rósł we mnie głód światło Przedmioty
garbiały i wyzbywały się cienia
gasły w ciemności

W innym punkcie Ziemi
cwaniak napychał brzuch i zliczał pieniądz
królewna milczkiem ukłuła się w palec
a kropla rosy na parkowej ławce
gdybym tylko chciał byłaby perłą

Nawet nocny stróż zapomniał zakasłać

Żona rzeźnika (jej mąż i tygrys
ostrzą nóż i pazur) której śnił się Bóg
i Szatan — bardzo równocześnie
obudziła się z krzykiem i ponownie zasnęła

W taką noc
wszystkie kobiety stają się dalekie i obce
jak promieniotwórcze pierwiastki
albo gwiazdy

Magia ich dezabilów wabi i onieśmiela

Urszula Zajkiewicz

* * *

Budzi mnie ból ze snu, kochany,
taki zwyczajny, ludzki ból.
— To serce brzmi jak dzwon pijany,
to w uderzeniu serca pól.

Ach, próżne słowa, gniew i rozpacz.
I tylko życie takie psie,
a moja droga wciąż samotna,
a szczęście moje — czort wie gdzie.

Budzi mnie strach ze snu, kochany,
i jeszcze długo serce drży:
koperta, adres napisany
„Łowicz, ulica Wiejska trzy".

Znów puste słowa, gniew i rozpacz
I tylko życie takie psie.
I czyjaś łza jak ja samotna
i czyjś znajomy, piękny śpiew.

Budzi mnie gniew ze snu, kochany,
że dosyć łez i próśb już dość,
że Bóg bez serca jest — nieznany,
że Bogu łzy to jak psu kość...

I próżne słowa, gniew i rozpacz.
a tylko życie takie psie.
I moja droga wciąż samotna,
a szczęście moje — czort wie gdzie...

Anna Blumental

* * *

w twoich ramionach
czarną jaskółką
leżę zamknięta
między barkami
w twoich ramionach
cicho kołysząc
słucham jak tańczą
bębnią
tamtamy?
rytmem spokojnym
pulsuje życie
i krew przepływa
ramiona-arka
a ja
— jaskółką
wsłuchaną w ciszę
kołyszę się
o barki wsparta...
wieczór
i spokój
wkrada się w pościel
granatem nocy
wypełnia pokój
na twoich piersiach
zasnęła mocno
błyszcząca źmijka
pomiędzy nami
— spokój?

Jolanta Augustyniak-Kopka

Przeminęło w nas

wszystko mija — jak my — w różne światła wpatrzeni
niebo się obraca — myśli nasze szybciej
i już nie ma pragnień — zmrok znów opadł ciężki
jeszcze się kołysze liść nad wietrzną łąką

jeszcze się przetworzył w zorzę fragment nieba
może warto zatrzymać w biało-czarnej kliszy
naszych twarzy ciepło drżenie rąk niezgrabne
o pomoc o dary napięte w łuk długi

wszystko mija — więc dziwią się tylko pijani
nieprzytomni niedokończeni głodni i rozbici
czas istnieje — to jedna teza bez dowodu
. . . . . .

Nie trzeba bronić tej miłości

13 kwietnia 1784 roku teatr w Mannheim wystawił „Intrygę i miłość" Fryderyka Schillera. Na owe czasy był to z pewnością gest odwagi, chociaż z pozoru sztuka jest zwykłym melodramatem. Ledwie rodząca się miłość zostaje opleciona gęstą, misternie tkaną siecią intryg, w wyniku których umiera, wraz z parą swych wybrańców. Przyznajmy, że niezbyt to oryginalne. Luiza i Ferdynand są niemal repliką Julii i Romea. Wprawdzie przeszkody stojące na drodze do ich szczęścia są nieco innego rodzaju, niż wznoszone przed dwojgiem kochanków z Werony, schemat wszakże jest identyczny, do zakończenia włącznie. A jednak miłość — w przeciwieństwie do wielkiego dramatu Szekspira — schodzi tu na dalszy plan, zaś melodramat przekształca się w ostre skontrastowanie dwóch przeciwstawnych sobie hierarchii wartości. W jednej obowiązują i są przestrzegane normy akceptowane w ogromnej większości systemów etycznych, w drugiej — mówiąc najogólniej i najprościej — rządzą egoizm i prywata, praktyczna realizacja której staje się celem nadrzędnym.

Dziś podjęcie takiego tematu nikogo by nie zaskoczyło ani zdumiało. Literatura — także dramatyczna — ma już ogromny w tej mierze dorobek. Dwieście lat temu sprawa się miała zgoła inaczej. Tym bardziej, że przedmiotem bezkompromisowego ataku były — znów posłużę się daleko idącym, ale poręcznym uproszczeniem — warstwy posiadające. Bogatsi wiedzą i doświadczeniem powiedzielibyśmy przeto, iż owo skontrastowanie postaw moralnych nosi wyraźnie klasowy charakter. W przedostatniej dekadzie osiemnastego stulecia musiało to wzbudzać kontrowersyjne opinie, jak również bulwersować przynajmniej część widowni. Zwłaszcza, że Schiller zdecydowanie przyznaje prymat moralny mieszczaństwu, dopiero przygotowującemu się — i to raczej podświadomie — do odegrania swej roli w biegu dziejów. Na razie burżuazja pilnie strzeże swych prerogatyw w niemal wszystkich dziedzinach. Wielu musiał więc szokować miejski muzykant, stanowiący upostaciowienie wielorakich cnót, usytuowany obok wysoko — pod względem urodzenia i zajmowanego stanowiska — postawionej osobistości, będącej zwykłą szują i łajdakiem. A przy tym obydwie postaci są jedynie egzemplifikacją kręgów, z których się wywodzą. Dlatego właśnie teatr mannheimski musiał się wykazać pewną dozą odwagi, sięgnąwszy po dopiero co powstałą sztukę. W dodatku autora, któremu dwa lata wcześniej zakazano działalności poetyckiej.

13 kwietnia 1984 roku — dokładnie w dwieście lat po prapremierze — „Intrygę i miłość" wystawia łódzki Teatr Powszechny. Sądzę wszakże, iż nie tylko ta okrągła rocznica stała się bodźcem do przypomnienia tej w końcu nie najdoskonalszej sztuki autora „Zbójców" i „Don Karlosa". Teatr Powszechny — bazujący na pozornie eklektycznym repertuarze — ma dość jasno sprecyzowaną linię repertuarową. Jej wyznacznikiem wydają się dwa założenia. Pierwszym jest proponowanie widzowi dzieł o możliwie dużych wartościach literackich (a do takich — mimo zastrzeżeń — należy „Intryga i miłość"), drugim — zaproszenie go do rozmowy na temat racji, postaw, stanowisk. „Intryga i miłość" nie wzbudza — rzecz jasna — niegdysiejszych emocji, ale też nie skierowuje widowni w stronę chłodnej obojętności. I to nie tylko ze względu na zawsze cieszący się wzięciem wątek melodramatyczny. Ten staje się tutaj tylko punktem wyjścia do zadumy nad problemami moralnymi, które mimo upływu dwóch stuleci niewiele straciły ze swej aktualności. Zmieniły się społeczne konfiguracje, inaczej ułożyły się ogólne konteksty, nadal wszakże różnice między funkcjonującymi — nie tylko deklarowanymi — systemami etycznymi stanowią zagadnienie w równej mierze pasjonujące, co niepokojące. Mamy z tym do czynienia na co dzień, a trapiący nas — jak też wiele innych społeczeństw — kryzys moralny spędza sen z oczu zatroskanym o przyszłość ludzkości. Także wręcz powszechnie obserwowane rozmijanie się praktyki z teorią — wspieraną wielekroć niekwestionowanymi autorytetami moralnymi — nie należy do zjawisk, napawających otuchą. Prawie dokładnie tak samo jak dwieście lat temu. Co mogłoby zresztą stanowić temat osobnych rozważań nad kondycją ludzką.

Zbytecznym przeto wydaje mi się uparte bronienie przez **Macieja Korwina** — reżysera spektaklu — wątku nieszczęśliwej miłości dwojga młodych ludzi. Korwin ozdobił przedstawienie — czytanymi przez siebie — fragmentami pierwszego listu św. Pawła do Koryntian, ze znanym wersem „Teraz więc pozostaje wiara, nadzieja, miłość, te trzy: lecz z nich największa jest miłość". Cytaty te sytuują się jednak obok zasadniczego tekstu, właściwie niczego doń nie dodając, ani też nie stanowiąc swoistego kontrapunktu. Wątek uczucia Ferdynanda do Luizy broni się sam, na ile bronić się może, bowiem — jako się rzekło — trudno go zaliczyć do oryginalnych i odkrywczych.

Drobiazg to wszakże, nie mający istotnego wpływu na kształt spektaklu, przygotowanego niezwykle starannie, logicznie skonstruowanego, zwartego, jednorodnego stylistycznie. Zręcznie zaprojektowana przez **Barbarę Ptak** scenografia pozwala na płynne zmiany miejsca akcji, sprzyja potoczystości scenicznej opowieści, nadaniu jej odpowiedniego klimatu i rytmu. Reżyser zresztą starannie dba o współgranie wszystkich tych elementów, czuwając, by tworzyły jednolitą całość.

Konsekwentnie — zgodnie z przyjętą koncepcją — poprowadził również aktorów. Jedynie Kalb **Bronisława Wrocławskiego** niezbyt przystaje do pozostałych postaci. Ten zdolny, mający w swym dorobku znaczące role aktor przerysował swego bohatera, sprawiając wrażenie, że jego rodowód wywodzi z farsy lub groteski. Natomiast **Ewa Sonnenburg** (Luiza) nadmiernie ograniczyła zasób stosowanych przez siebie środków wyrazu, przez co niekiedy zdaje się być o krok od banału. Skutecznie natomiast przed nim broni Ferdynanda **Tadeusz Paradowicz**, mający zadanie niewdzięczne, bowiem rola nie daje wykonawcy nazbyt szerokiego pola do popisu, nadmiernie szeleszcząc papierem. Zresztą wszystkie pozytywne postaci w tej sztuce są zdecydowanie słabiej nakreślone od negatywnych. Mimo to **Mirosław Szonert** potrafił pokazać Millera w sposób interesujący, przydając mu wiele ciepła i należycie motywując jego reakcje, równocześnie zdobywając dla swego bohatera wiele sympatii. Tę ostatnią stara się również pozyskać dla Lady Milford **Gabriela Sarnecka** grająca — w sposób zamierzony, jak mniemam — trochę nerwowo, co uwiarygodnia wewnętrzne pęknięcie postaci, oscylującej między ugruntowującym się cynizmem a resztkami współczucia i zrozumienia dla drugiego człowieka. Nie ma tych problemów **Zbigniew Szczapiński** kreujący Barona von Waltera — skończonego drania, gotowego dla kariery, lub choćby zachowania stanowiska i pozycji, poświęcić absolutnie wszystko. Szczapiński — oszczędnie operując gestem i mimiką, minimalnie modulując głos — tworzy postać wyrazistą, pełną, zaś całkowicie odsłaniając mechanizmy psychiki barona, podsyca świadomie naturalnie budzącą się doń niechęć. Nieco podobnie — acz szczodrzej szafując grubszą kreską — rysuje Wurma **Michał Szewczyk**, zahaczający czasami o stylistykę postaci Molierowskich, co należy traktować raczej jak stwierdzenie faktu, niż zarzut.

Niewielkie role, znajdujące się w długim cieniu pozostałych postaci, ładnie poprowadziły: **Alicja Knast** (żona Millera) oraz **Julitta Sękiewicz** (Zofia, pokojówka lady Milford).

Jako straż książęca wystąpili: **Andrzej Fogiel, Michał Kret**, a ponadto — o czym już była mowa — **Maciej Korwin.**

Podobnie jak wielu innym realizacjom na scenie Teatru Powszechnego, tak i tej wróżę duże powodzenie. Melodramaty zawsze i wszędzie cieszą się zainteresowaniem publiczności. W tym jednak przypadku otrzyma ona coś więcej — asumpt do refleksji, niezbędnej nam wszystkim. Bo nawet jeśli rzeczywiście miłość jest najważniejsza, to przecież nie nią jedną żyje człowiek. Zwłaszcza wówczas, gdy mu przychodzi pokonywać rozliczne kłopoty codzienności. Wtedy na miłość miejsca braknie niemal całkowicie, starcza go natomiast na wiele innych uczuć nie zawsze najszlachetniejszych, by nie powiedzieć dosadniej. A równocześnie tak bardzo jesteśmy skłonni do wygłaszania truizmów na temat konieczności kultywowania zasad moralnych. I niech nas przy tym nie pociesza fakt, że podobnie było także dwieście lat temu, a nawet jeszcze wcześniej. Niezbyt dobrze świadczy o nas to, że Baron von Walter, Kalb i Wurm — chociaż pod innymi nazwiskami — po dzień dzisiejszy chodzą ulicami, całkiem dobrze się mając. „Intryga i miłość" odpowiednio odczytana mówi również o tym.

JERZY M. FIEDOSIEJEW

Teatr Powszechny w Łodzi. **Fryderyk Schiller** — „Intryga i miłość". Na podstawie przekładów **Artura Marii Swinarskiego** i **Michała Budzyńskiego**. Opracowanie tekstu i reżyseria — **Maciej Korwin**, scenografia — **Barbara Ptak**, opracowanie muzyczne — **Bogdan Pawłowski**. Premiera — 13 kwietnia 1984 r.

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

PRZYPOWIEŚĆ O WILKU

Pewien szlachcic na Mazowszu miał taką złośliwą żonę, że był istnym męczennikiem i życie zbrzydło mu na świecie. Razu jednego szlachta z owej wioski złowiła w jamę wilka, który im od lat kilku ciężkie wyrządzał szkody. Zebrani tedy nad wilczym dołem, a zemstą powodowani, radzili, jaką śmiercią ukarać mieli biedne wilczysko. Wtem ozwie się ów szlachcic nieszczęśliwy: „Na co go zabijać? Ożenić go, ożenić!"

Zabawy, gry, zagadki, żarty i przypowieści. Z ust ludu i ze starych książek zebrał Zygmunt Gloger. Warszawa 1900.

NAJPOPULARNIEJSI ŁODZIANIE

W październiku 1923 r. ukazujący się w Łodzi „Express Wieczorny Ilustrowany" ogłosił ankietę „Jakich dwunastu współczesnych łodzian należy uznać za najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych?". Zebrane odpowiedzi pozwoliły na ułożenie listy najpopularniejszych w owym czasie łodzian. Na pierwszym miejscu opublikowanej 19 X 1923 r. listy znalazł się senator RP dr Stefan Kopciński, który uzyskał 3521 głosów, po nim kolejno: Aleksy Rżewski, były prezydent m. Łodzi (3312), Artur Szyk, artysta malarz (3005), starosta łódzki Antoni Remiszewski (2658), lekarz Seweryn Sterling (2089), poeta Julian Tuwim (2008), adwokat Piotr Kon (1925), Stanisław Rapalski, działacz robotniczy i radny miejski (1834), Edward Heiman, przemysłowiec (1785), sportowiec Cyll (1728), konserwator wojewódzki prof. dr Józef Raciborski (1722) i komisarz Rządu Stanisław Iżycki (1695).

PRAWO PIERWSZEŃSTWA

„Robiący stucki Michał Bałucki" (1837—1901) słynął nie tylko jako komediopisarz i nowelista, ale w równej mierze jako uroczy bywalec krakowskich salonów i bohater niezliczonych anegdot, z których jedną ogłosił „Bocian" (1900 nr 3) jeszcze przed tajemniczą, samobójczą śmiercią pisarza:

Na zabawie u państwa... w Krakowie był między innymi gośćmi także i Bałucki, znany z ciętego humoru i dowcipu. Po kolacji zwraca się pani domu do Bałuckiego prosząc, aby powiedział coś dowcipnego. Gdy Bałucki jednak udawał, że tego nie słyszy, rzekła przymilając się:

— No, powiedz-że pan coś dowcipnego, przecież to jest pańskim zawodem.

— Moja pani — odezwał się na to Bałucki — jeżeliśmy się tu po to zeszli, aby się oddawać naszym zawodowym zajęciom, to już zabierajmy się kolejno, według rangi towarzyskiej. Panie pułkowniku — rzecze Bałucki, zwracając się do siedzącego obok pułkownika artylerii — racz pan wystrzelić z armaty, a potem ja powiem coś dowcipnego.

KOBIETA KSIĘGĄ

Nazwał ktoś kobietę „księgą". Jaszcze do tego
Najpiękniejszym egzemplarzem stworzenia całego.
Porównanie to prześliczne — zaprzeczyć się nie da,
Lecz oprawa książki droga i to cała bieda.

„Diabeł", 1888, nr 11

ODPOWIEDŹ POETY

Znany poeta czasów stanisławowskich Franciszek Karpiński (1741—1825), zanim został właścicielem wsi Chorowszczyzna w powiecie wołkowyskim bawił na dworach magnatów litewskich, którzy bezskutecznie usiłowali zaskarbić sobie względy znakomitego pisarza. Jednym z nich był Wincenty Tyszkiewicz, referendarz litewski. Interesującą o rozmowie Karpińskiego z Tyszkiewiczem informację zapisał Józef Ignacy Kraszewski w swoich „Obrazach z życia i podróży" (1842):

Referandarz Tyszkiewicz namawiał Karpińskiego, aby mieszkał przy nim, ofiarując mu dość znaczną pensję. Karpiński nie dawał stanowczej odpowiedzi. Raz poróżnili się o coś i gdy referendarz przy swoim się upierał, rzekł mu Karpiński.

— Ot, widzisz pan, gdybyś mi zapłacił, musiałbym przystać, na co byś mi kazał. Wolę nie mieć twoich pieniędzy, a mieć swoje zdanie!

ŻYCIE CZŁOWIEKA

Urodzenie człowieka jest cudzysłowem (“), młodość wykrzyknikiem (!), małżeństwo łącznikiem (-), wiek podeszły pauzą (—), śmierć punktem (.), a przyszłe życie znakiem zapytania (?).

Humoreski. Przez Teofila Nowosielskiego. Warszawa 1841.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

Widziadło

Nasza kinematografia odnotowuje kolejny w ciągu kilku ostatnich miesięcy debiut fabularny. Po „Akademii pana Kleksa" K. Gradowskiego i „Kartce z podróży" W. Dzikiego na ekranach kin pojawiło się „Widziadło" w reżyserii Marka Nowickiego. Tym razem jest to debiut nieco odmienny, gdyż Nowicki debiutuje „Widziadłem" jako samodzielny reżyser, uprzednio będąc znanym operatorem. Między innymi jest on autorem zdjęć do telewizyjnego serialu „Kariera Nikodema Dyzmy". Ten fakt powoduje, że przy ocenie „Widziadła" należy zawiesić wysoko poprzeczkę przed reżyserem i nie stosować w tym przypadku zwyczajowo przyjmowanej wobec debiutantów taryfy ulgowej.

„Widziadło" jest oparte na motywach powieści Karola Irzykowskiego pt. „Pałuba, czyli sny Marii Dunin". Jak wiadomo Irzykowski należał do światlejszych umysłów swojej epoki. Żarliwy, o niezwykle ciętym piórze, krytyk literacki, zajmował się również (jako jeden z prekursorów obok Leona Trystana, Jalu Kurka i Tadeusza Peipera) teorią filmu w czasach, gdy myśl filmową tworzyli niepraktycy, ale właśnie teoretycy. Swoje poglądy na temat filmu i szerzej rozumianego kina przedstawił w „X Muzie". To on dostrzegł możliwości estetyczne w jarmarcznej rozrywce, która z biegiem lat przemieniła się w sztukę.

Niektóre jego sformułowania dotyczące chociażby czasu w filmie, czy prawa zwierciadła, w którym świat przedstawiony nabiera nowych sensów i znaczeń poprzez zastosowanie optyki nie straciły na aktualności mimo upływu lat. Irzykowski próbował swoich sił także jako pisarz. Owocem tej pracy jest właśnie „Pałuba". Niestety, powieść ta mimo że wykorzystywała prekursorskie odkrycia dotyczące osobowości ludzkiej, oparte na psychoanalizie Freuda, (podobnie, jak w przypadku teorii filmu Irzykowski odwoływał się do filozofii Bergsona) nie zyskała jednak uznania w oczach krytyki i czytelników. W chwili obecnej jest praktycznie powieścią zapomnianą, którą czytają jedynie studenci polonistyki. Skorzystałem z okazji, aby chociaż w paru zdaniach przybliżyć postać autora „Pałuby", na motywach której Nowicki napisał scenariusz „Widziadła".

W warstwie narracyjno-fabularnej materiał „Pałuby" okazał się wdzięczny dla praw kina. Kino, będące w swej materii realistyczne (gdyż wszystko, co przybiera kształt ekranowy jest realistyczne, jeśli nawet będzie to odwracający się trup) lubi stwarzać nastrój odrealniania. Owo odrealnianie można osiągnąć różnymi sposobami. Można odrealnić nawet film współczesny, poprzez stosowanie odpowiedniego oświetlenia, tak jak uczynił to A. Munk w „Człowieku na torze", kreując właśnie za pomocą światła nową rzeczywistość, a można również, jak w przypadku „Widziadła", przekroczyć poziom rzeczywistości poprzez wybór samego tematu, który zdeterminował stosowanie środków stylistycznych użytych do realizacji filmu.

Narracyjnie „Widziadło" zbudowane jest z kilku wątków zazębiających się ze sobą wokół osi, jaką jest główny bohater Piotr Strumieński. To jego przede wszystkim dręczą fantasmagorie związane z osobą pierwszej żony, pięknej rudowłosej Angeliki, będącej malarką wielbiącą kult ciała i miłości. Angelika nawiedza Piotra w czasie snów, pokazując mu się nago, bądź w powiewnych szatach. I w tym miejscu Nowicki popełnił błąd. Poszedł zbyt jednostajnym tropem w przedstawianiu widzeń Piotra. Jeśli „Widziadło" ma być (tak jak jest reklamowane) horrorem, to niewiele ma wspólnego z tym gatunkiem filmowym. Jeden widok trupiej czaszki z rudymi włosami, wściekły pies czy zamknięcie drzwi przez tajemnicze siły, nie są w stanie stworzyć charakterystycznej dla horroru atmosfery. Nowicki chciał osiągnąć efekt tajemniczości przez nagromadzenie rekwizytów w pracowni Angeliki, będącej swoistym sanktuarium, oraz przez ciągłe pokazywanie obłąkanej malarki w powiewnych szatach bądź pędzącej na koniu w „szale uniesień". Zbyt wiele scen, które mają zagęścić wokół Piotra atmosferę fantasmagorii, jest „pustych", nie wnoszących do filmu nic nowego. Daje się zauważyć wyraźnie brak pomysłów na pokazanie świata fantomów, dlatego dramaturgicznie film łamie się w kilku miejscach. Zamiast stopniowo podnosić napięcie, Nowicki jedynie je zaznacza, po czym następuje spadek. Czyli zupełnie odwrotnie niż w horrorze na dobrym poziomie.

Interesująco natomiast Nowicki rozegrał świat dźwięków. Tętent konia czy wyolbrzymiony plusk wody powodują efekt istnienia drugiego świata, odczuwalny dla odbiorcy filmu.

Najwłaściwiej byłoby określić „Widziadło" próbą filmu erotycznego. Właśnie erotyka wyznacza działania filmowych bohaterów, przybiera w „Widziadle" różne formy w zależności od pokazywanego wątku. Erotyka Piotra jest zmysłowa, gdyż fizycznie nie może się on uwolnić od obsesji Angeliki zabraniającej mu spojrzeć na inną kobietę. Miłość Angeliki do Piotra ma podłoże zarówno czysto fizyczne, jak i kulturowe (księga miłości). Na przeciwnym biegunie stoi Mariusz uosabiający prawa natury, dlatego gdy na ekranie pojawiają się sceny zbliżeń damsko-męskich, a dzieje się to w filmie dwa razy, w nich właśnie uczestniczy Mariusz. I wreszcie trzeci typ erotyki, erotyka pierwszych przeżyć. Reprezentuje ją Pawełek, kilkunastoletni syn Strumieńskiego, wchodzący w świat dorosłych mężczyzn, doznający pierwszych nie uświadomionych odczuć i rodzenia się pociągu erotycznego do obłąkanej dziewczyny. W doskonały sposób stan umysłu dziewczyny oddał podłożony głos Igi Cembrzyńskiej.

Niewątpliwym plusem dla Nowickiego jako reżysera filmu okazał się dobór aktorów. Szczególnie jeśli chodzi o role kobiece, gdyż Roman Wilhelmi jak zwykle jest w świetnej formie. Właśnie kobiety: Dorota Kwiatkowska, Marzena Trybała, Hanna Mikuć są główną ozdobą i atrakcją filmu. Każda w inny sposób prezentuje swą kobiecość. Angelika jest demoniczna i zmysłowa, Dorota najbardziej realna, a Paulina tajemnicza, nie wypowiadająca ani jednego słowa, aż do ostatnich scen filmu. Byłoby przesadą pisanie wyłącznie o kobiecości wypływającej z psychiki odtwarzanych postaci, chociaż nie należy o tym zapominać. Trójka pań przede wszystkim doskonale funkcjonuje na ekranie w swej fizycznej postaci, czyli nago, przykuwając uwagę widowni, a w szczególności przeważającej na seansach męskiej jej części.

Wspomniałem już, w jaki sposób Nowicki chciał osiągnąć atmosferę tajemniczości — poprzez nagromadzenie rekwizytów, i właśnie plastyka jest mocną stroną „Widziadła", tym bardziej, że akcja filmu rozgrywa się pod koniec dziewiętnastego wieku, a więc w czasie panowania w sztuce i architekturze secesji, charakteryzującej się rozwojem sztuk zdobniczych, dążących do stylizacji, co dawało tutaj duże możliwości.

Ciekawie także poradził sobie Nowicki wraz z operatorem Witoldem Sobocińskim z szukaniem obrazowych ekwiwalentów do oddania atmosfery dwóch światów. W momencie, gdy Piotr nie przeżywa duchowych wizji obraz jest olśnny, kamera dochodzi wolno do filmowanego obiektu, natomiast, gdy Angelika ucieka lub pędzi na koniu obraz jest rozedrgany i pulsujący, przez co sprawia wrażenie nerwowości i złamania pozornego spokoju.

W sumie „Widziadło" można uznać za średni produkt naszej kinematografii. Obok słabszych partii filmu są w nim (jakby powiedzieli znani recenzenci nie istniejącej już audycji „60 minut na godzinę") dobre „momenty".

WALDEMAR BĘDZIŃSKI

Z półki recenzenta

WIERSZE GICGIERA

Bardzo starannie edytorsko wydało Wydawnictwo Łódzkie wiersze Tadeusza Gicgiera pt. „Przypowieść o podróży". Jest to obszerny wybór, właściwie przegląd całego dotychczasowego dorobku poetyckiego tego autora związanego od lat z Łodzią. Sporo więc jest utworów powstałych w ciągu trzydziestoletniej twórczości Gicgiera, ale także jest wiele wierszy napisanych nie tak znów dawno, wierszy refleksyjno-lirycznych, pełnych zadumy nad człowiekiem, nad jego stosunkiem do świata odczuwanego jako niepodzielna, skończona całość.

Tadeusz Gicgier: Przypowieść o podróży. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 230. Cena 60 zł.

OGRODY NASZYCH MATEK

Książek Wiesława Jażdżyńskiego nie trzeba zachwalać. Mają one swoich zagorzałych czytelników i szybko znikają z półek księgarskich. Dziś chcę zasygnalizować kolejną powieść tego autora pt. „Ogrody naszych matek" opowiadającą o przedziwnych i mocno pogmatwanych losach pewnego rodu od początku naszego wieku do zakończenia drugiej wojny światowej. Lecz bohaterką powieści jest matka, strażniczka tradycji rodzinnych i narodowych, która w książce urasta do Matki-Symbolu tego wszystkiego, co określamy pojęciem „polskość".

Wiesław Jażdżyński: Ogrody naszych matek. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 370. Cena 100 zł.

O KRYZYSIE (NIEUDANIE)

Wydawca, reklamując tę książkę napisał, że ta powieść jest „próbą analizy postaw ludzi wchodzących w samodzielne życie wobec wydarzeń 1980—81 oraz narastającego kryzysu". Otóż jest to cenzurka wystawiona na wyrost. Bohaterowie książki, to przecież ludzie mający grubo ponad dwadzieścia lat, a sprawy dramatyczne ze wspomnianych wydarzeń nie są żadną ilustracją tych lat, bowiem czytelnik niewiele może się z książki o nich dowiedzieć.

W sumie należy stwierdzić, że autor posiada sprawność pióra, umiejętność obserwacji, nawet pomysł całości nie był najgorszy, tylko tak się składa, iż po przeczytaniu książki stawia się sobie pytanie: po co ona została napisana?

Jacek Krakowski: Autopsja czyli dziennik kryzysu. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 144. Cena 50 zł.

GOŚCIE HOTELU DU PARC

Spółka autorska Karol Obidniak i Józef Wędrychowski napisali tę sztukę dość dawno. Była grana w teatrach Łodzi, Kielc, Nowej Huty i Jeleniej Góry. Treścią jej są dzieje uczniów i profesorów polskiego Liceum i Gimnazjum im. Cypriana Norwida z Villard de Lans we Francji w czasie okupacji hitlerowskiej. Główną tezą utworu jest pokazanie, jak ludzie tamtego okrutnego czasu walczyli we francuskim Ruchu Oporu żyjąc świadomością, że walczą o życie w pokoju.

Sztuka ma ponadto dodatkową wymowę: Klaus Barbie, kat Lyonu sześciu uczniów ze wspomnianego gimnazjum kazał stracić bez sądu. Dziś Barbie przebywa w więzieniu francuskim i czeka na sąd.

Karol Obidniak, Józef Wędrychowski: Goście Hotelu du Parc. Wyd. Łódzkie 1983. Str. 66. Cena 40 zł.

TO CI KWIATKI!

Adam Ochocki, wieloletni redaktor „Karuzeli", wydał zbiór swoich tekstów z różnych lat, pod wspólnym tytułem: „To ci kwiatki!". I choć osobiście nie przepadam za tego typu humorem, lojalnie stwierdzam, że książka może się podobać. Przede wszystkim autor nie sili się na żadne ukryte podteksty, nie zanudza dociekaniami filozoficznymi, nie zmusza do refleksji i zadumy nad losami Ojczyzny i Narodu. Po prostu i zwyczajnie bawi i śmieszy czasem do łez.

Adam Ochocki: To ci kwiatki! Wyd. Łódzkie 1984. Str. 196. Cena 80 zł.

DZIENNIKI ZAWIEYSKIEGO

Pojawił się pierwszy tom z serii dzieł Jerzego Zawieyskiego: „Kartki z dziennika 1955—1969". Są to niemal codzienne zapiski dotyczące pracy twórczej, pracy nad wystawianiem własnych dramatów, notatek sporządzonych z rozmów z kardynałem Wyszyńskim, z Władysławem Gomułką, Józefem Cyrankiewiczem...

Jest więc dziennik Zawieyskiego nie tylko przyczynkiem do kroniki politycznej ważnego okresu w dziejach PRL, lecz także refleksją historyczną, stosunkiem twórcy-katolika do rzeczywistości socjalistycznej.

Jerzy Zawieyski: Kartki z dziennika 1955—1969. PAX 1983. Str. 356. Cena 400 zł.

WIESŁAW NOWICKI

List z Wybrzeża

Gdyńskie Wieczory Baletowe

Niezwykle uroczyście był obchodzony w tym roku w Gdyni Międzynarodowy Dzień Tańca. To święto, na stałe wprowadzone do naszego kalendarza kulturalnego przez Międzynarodowy Instytut Teatralny, zgromadziło na scenie kierowanej przez Jerzego Gruzę czołówkę polskiego baletu.

Wieczór rozpoczął Polski Teatr Tańca Conrada Drzewieckiego, który zaprezentował piękny i wzruszający spektakl baletowy „Ad matrem" do muzyki Henryka Mikołaja Góreckiego. Sprawność i dyscyplina zawodowa poznańskich tancerzy są godne podziwu. Przez prawie pięćdziesiąt minut na scenie jest cały zespół Conrada Drzewieckiego, nie ma tutaj głównych ról, wszyscy tancerze wykonują etiudy baletowe, które dopiero jako całość tworzą wrażenie, budzą nastrój i sugestię teatralną. Niezwykłą scenografię do tego widowiska zaprojektował Krzysztof Pankiewicz — scena oddzielona jest od widowni cienkim tiulem, na który co chwila padają różne obrazy, wyświetlane z projektora. Za tą delikatną kurtynką widzimy tancerzy, którzy wśród zmieniających się barw wyśpiewują ruchem swoich ciał pieśń o matce. Cały spektakl sprawia wrażenie snu, jakże przejmującego w swoim wyrazie.

Teatr Conrada Drzewieckiego rozpoczął Gdyński Wieczór Baletowy — już drugą tego typu imprezę, która ma za zadanie przybliżyć publiczności sztukę tańca, a jednocześnie — stanowić okazję do prezentacji najciekawszych zjawisk i twórców w naszym balecie. Organizatorzy zamierzają także przedstawić publiczności młodych tancerzy, którzy dopiero rozpoczynają swoje kariery.

Trzy lata temu z inicjatywy właśnie Conrada Drzewieckiego ustanowiony został medal imienia wielkiego naszego tancerza Leona Wójcikowskiego (1399—1975), solisty baletu Diagilewa, artysty, który rozsławił polską sztukę tańca w świecie. To zaszczytne wyróżnienie przyznaje kolegium redakcyjne pisma „Taniec". Jest to nagroda dla młodych artystów, tych, którzy w sztuce baletowej „rokują największe nadzieje". Pierwszym laureatem medalu im. Wójcikowskiego był solista Opery Bałtyckiej Andrzej Marek Stasiewicz, następnie nagrodzono Leszka Mazonia z Teatru Wielkiego w Warszawie, a teraz kolegium „Tańca" wyróżniło tegoroczną absolwentkę Szkoły Baletowej w Gdańsku — Katarzynę Gdaniec.

Na scenie Teatru Muzycznego zobaczyliśmy wszystkich laureatów tej nagrody. Największe brawa zebrała Katarzyna Gdaniec, która zapowiada się na tancerkę wielkiej klasy i jeżeli nie będą jej prześladować kontuzje, to może być o niej głośno w Europie.

Gdyńskie spotkanie prowadziła wielce zasłużona dla polskiej sztuki baletowej Janina Jarzynówna-Sobczak. W dziejach gdańskiego teatru jej działalność stanowi osobny rozdział — pamiętamy jej wspaniałe widowiska baletowe z lat sześćdziesiątych, prezentowane na scenie Opery Bałtyckiej. Wówczas Gdańsk był stolicą polskiego tańca. Niestety, w tej chwili po tamtych latach pozostały już tylko wspomnienia — Opera Bałtycka ma bardzo dobrych tancerzy, ale nie ma baletu.

Przyznam się, że byłem szczerze wzruszony, gdy na scenie Teatru Muzycznego spotkali się Janina Jarzynówna-Sobczak i Conrad Drzewiecki — dwie epoki w dziejach polskiego tańca. Drzewiecki w pewnym sensie jest kontynuatorem pracy gdańskiej artystki. Zrealizował to, o czym ona marzyła przez całe lata — samodzielny Teatr Tańca. I pomyśleć sobie, że przed laty była szansa, by w Gdańsku stworzyć podobną placówkę. Na dodatek Janina Jarzynówna-Sobczak obok sprawnego zespołu miała jeszcze tak wybitne indywidualności jak Alicja Boniuszko i Kazimierz Wrzosek, których nie ma Drzewiecki. Cóż, szansa została bezpowrotnie stracona. Nie pierwszy i nie ostatni raz...

Tymczasem mamy Gdyńskie Wieczory Baletowe, organizowane wspólnie przez Teatr Muzyczny i Gdańską Szkołę Baletową. Uczelnia ta, prowadzona przez Bronisława Prądzyńskiego, wysuwa się na czoło polskich szkół tego typu. Jej absolwentami są nie tylko Gdaniec i Stasiewicz, ale także utalentowany Mirosław Żukowski. Może właśnie w jej murach nastąpi odrodzenie gdańskiej sztuki tańca. Oby...

WIESŁAW NOWICKI

NR 20 (1364) XXVII 19 MAJA 1984 R.

Chleb podany na kiju...

Dokończenie ze strony 1

wiedzieliśmy, że gramy dla widzów, którzy często nie zdążyli zdjąć kombinezonów i wyczesać bawełnianego puchu z włosów. Szekspirowskim brokatom ani naszym nozdrzom nie przeszkadzał zapach potu. Jakaż to była wspaniała publiczność! Wierzyła nam, jak samym sobie. Płakała z nami i śmiała się z nami.

— I dla łódzkiej publiczności zdecydował się pan pozostać w tym mieście?

— Tak, zaprzestałem myślenia o dalszej wędrówce „rzemiennym dyszlem". Uznaliśmy z żoną i synami, że nadszedł czas, aby wysiąść z cygańskiego taboru Tespisa i zamieszkać tu na stałe.

— Nie żałował pan później tej decyzji?

— No cóż, było jak w życiu, bo spełniło się w Łodzi wiele dobrego, ale i złego, szczególnie wtedy, gdy po 20 latach pracy znalazłem się nagle w „stajni Augiasza", którą jeden, jedyny tarpan potrafił tak gruntownie zapaskudzić, a innym obrzydzić życie, że ratując się przed zapaścią psychiczną, ruszyłem w przysłowiową „Polskę".

— A jednak, pisało i mówiło się o pana pracy w teatrach Gorzowa Wielkopolskiego i Kalisza. Co dały panu te wędrówki?

— Podróże kształcą.

— Owszem, ale pan po swoich wojażach podobno wycofał się z prac aktorskich, reżyserskich, scenograficznych w teatrach terenowych?

— Taka jest moja ostateczna decyzja. Tylko bardzo wytrwali walczą o prawdziwy teatr, chociaż stają się Don Kichotami, którzy w swoim świętym uporze biorą fikcję za pozytywną rzeczywistość. Tych nie zraża indolencja kierownika artystycznego, nieprzemyślane wolty młodych, niedoświadczonych dyrektorów, nie wiadomo przez kogo proponowanych i „lekko" zatwierdzanych. Każda, super dobra kondycja psychofizyczna „nietutejszego aktora", musi runąć w gruzy. Tak. Podróże kształcą, chociaż często drogo kosztują.

— Powrócił pan do Łodzi, ale nie widać pana na scenie Teatru Powszechnego, po której chodził przez ponad 20 lat?

— Pracowałem również w łódzkim Teatrze im. S. Jaracza. Wspomnianych przez pana teatrów już nie ma, pozostały tylko stare nazwy. Myślę, że nie bardzo przystawałbym już do tej nowej rzeczywistości w nowych teatrach.

— Dlaczego?

— Przez kilka miesięcy zwodzono mnie współpracą, aż w końcu oświadczono, że chyba nie będę pasował do tego poziomu, jaki jest zaplanowany do 2000 roku.

— ?

— Dyrektor wołał: „Dyrekcję za konia". Konia nie dostał, ale czekała na niego taczka i worek po mące. Tak mówili wtajemniczeni.

— Ale dyrektor teatru zmienił się i teatr też jakby odmieniony?

— Owszem i to mnie cieszy. Teatr Powszechny jest oczkiem w głowie dzielnicy, w której działa, ma swoich kibiców, a to zobowiązuje...

— Nie widać pańskiego imienia i nazwiska w obsadach nowych premier?

— Co nie wynika z faktu, że chałturzę i nie mam czasu na teatr. Owszem pracuję w filmie i TV, ale na pracę w teatrze zawsze znalazłbym czas. Bo tylko teatr jest dla aktorów żywiołem i ciszą. Kochamy go i nie zejdziemy ze sceny tylko dlatego, że jesteśmy nie dokarmieni, nie ubrani i nie dokształceni, bo i na to również są potrzebne pieniądze i wolny czas. Oto nasza kwadratura koła.

— Ależ jest pan pazerny na pracę, na pokazywanie się tam i tu, przecież pan już nie musi, bo i tak przeszedł do historii teatru i filmu?

— Widzę, że drażni pana obcowanie nie z jakąś tam wielkością, gwiazdą, z którymi często pan rozmawia, ale po prostu z prozaicznością. Co do moich skłonności do ekshibicjonizmu, to muszę pana zmartwić — one są konieczne dla utrzymania mnie przy życiu fizycznym i na scenie. Obnażając swoje postaci — obnażam i siebie. Nawet moje cienie na taśmie filmowej nie robią nic innego — jak obnażają się. Starzejmy się. Co po nas zostanie? Może to ostatnie zdjęcie zanotowane na taśmie filmowej. To wszystko. Nie wspominam o scenie — bo tam tylko błysk. Ludzie stworzeni na scenie umierają razem z opuszczeniem kurtyny. Afisze, programy — to makulatura.

— Czyżby stąd czerpała swoje źródło pańska niechęć do sceny?

— Przecież pan wie, że każdy aktor po długim życiu chciałby zasnąć na scenie.

— Chce pan umrzeć grając na scenie?

— Chciałbym się usamodzielnić, przestać być pionkiem na szachownicy ludzi, którym często sztuka grania w szachy znana jest z opowieści. Pragnę stworzyć program, z którym mógłbym objechać całą Polskę.

— Ma pan już gotowy pomysł?

— Chyba tak. Są tylko trudności z uzupełnieniem obsady. Myślę, że chętnych znajdę.

— Kogo pan zagra?

— Chcę stworzyć postać Melchiora Wańkowicza w spektaklu pt. „Wańkowicz krzepi". Widowisko jest już przeze mnie opracowane i przeszło ogniową próbę w Gorzowie Wielkopolskim z wynikiem bardzo dobrym.

— Skąd pomysł na zagranie Wańkowicza?

— W czasie, kiedy jeszcze żył mistrz Wańkowicz, będąc na wakacjach na Helu i wchodząc pewnego dnia na plażę usłyszałem głośne wołanie: „Panie Wańkowicz, na litość boską, niech pan zakryje głowę — straszne słońce". Natychmiast nakryłem rozwiane włosy chusteczką do nosa i udałem się w przeciwny kąt plaży.

— Wcześniej wcielał się pan w postać Księcia Radziwiłła w programie estradowym dla amerykańskiej Polonii „Wieczerza u Księcia Radziwiłła-Panie Kochanku"?

— Z rozrzewnieniem patrzyłem jak reagują ci ludzie na nasz program — jak na haust świeżego powietrza, jak na zapach polskich łąk, na dźwięk janczarów kuligu jadącego na pasterkę. 44 razy od Toronto w Kanadzie przez 38 miast Stanów Zjednoczonych — aż do Chicago — budziliśmy śmiech i łzy.

— A hymn narodowy?

— O hymn prosili najmłodsi, często bardzo łamaną polszczyzną. Pamiętam małą, rudą i piegowatą dziewczynkę, która weszła na scenę z widowni trzymając okładkę od zeszytu, na której miała wypisany tekst prośby, zdołała wykrztusić: „Szpewać — Polska nie zginęła". I to był dzień, kiedy po raz pierwszy zaśpiewaliśmy Dąbrowskiego. Od tej pory śpiewaliśmy hymn do końca naszego tournée.

— To właśnie na drugiej półkuli przeżył pan pięćdziesięciolecie pracy artystycznej?

— Nawet trzy razy. W Chicago, w Nowym Jorku, w New Jersey. Podczas uroczystości pięćdziesięciolecia w Chicago poznałem Annę Jantar, na krótko przed jej tragiczną śmiercią. Na zakończenie trudnego wojażu po Stanach Zjednoczonych udekorowano mnie Złotym Medalem 200-lecia Stanów Zjednoczonych za szerzenie kultury polskiej w Ameryce. Medal odebrałem w konsulacie generalnym w Nowym Jorku z rąk burmistrza tego miasta, w obecności delegacji aktorów z teatrów na Broadwayu. Był to piękny wieczór.

— Po powrocie do Polski planowany był pana jubileusz w roli Goyi w sztuce „Gdy rozum śpi" w reż. Henryka Tomaszewskiego, na scenie Teatru im. S. Jaracza. Pomysł świetny, a w rezultacie?

— Heca z Goyem była snobistycznym pomysłem dyrektora tego teatru. Później zrozumiałem, że niby dlaczego właśnie ja miałbym grać w tym teatrze wiodące role, skoro był tam zespół znakomitych aktorów? Tyle, że trzy sceny tego teatru jak trzy wiatraki miela powietrze. Na workach z przeróżnym złotym ziarnem siedzi kompania wspaniałych majstrów i czeladników i co? Cisza! Młynarz nie siedzi — młynarz się rusza. Robi co może i gdzie może — byle nie u siebie, zdobywając, jak czeladnicy twierdzę, półdewizy dla swojego wyrozumiałego miasta, licząc na to, że gałązka rozmarynu zastąpi gałązkę lauru.

— A Teatr Powszechny?

— Wierzę, że ci aktorzy, którzy trafili do tego teatru zyskają miłość i właściwą opiekę artystyczną. Wierzę, że z tego „radosnego zbiegowiska" wyklują się może nawet lepsi od tych, którzy stąd odeszli. Proces ten będzie długi, ale widzowie Teatru Powszechnego są cierpliwi. Ostatnie premiery napawają dużym optymizmem. Teatr nabiera kształtu, jeden, jedyny w tym mieście, a są cztery. Obecna dyrekcja była świadkiem dawnych, dobrych czasów tego teatru (dyrekcja Romana Sykały) i myślę, że już wkrótce wynagrodzi swoim widzom ów utracony czas. Wierzę też, że praca w tym teatrze nie będzie przypominała żywota historiona karmionego chlebem podanym na kiju — czyli rolami „przebierańców".

— Zadziwia pan wszystkich swoją żywotnością, temperamentem, pomysłowością, nie powtarzając się nigdy w swoich rolach czyli po prostu nie bywa pan przebierańcem.

— Bo nie gram Hamleta. Aktor nie chce się powtarzać. Umarłbym ze wstydu, gdybym w którejś z postaci tworzonej przez siebie był tylko sobą. Ale też nie można nazwać nieporozumieniem tego, gdy Gustaw Holoubek grający Napoleona — zmuszałby Napoleona do tego, żeby był Gustawem Holoubkiem. Ale takie kreacje są akceptowane przez publiczność.

— To dobrze czy źle?

— Uważam, że źle..., ale proszę przekonać tego drugiego, że ja mam rację. Jest rzeczą pewną, że widowni wystarczy najczęściej sam aktor, jeżeli jest aktorem dobrym i lubianym.

— A recenzenci?

— Tu „reszta jest milczeniem". Gotów jestem zdjąć kapelusz z głowy i przed tymi, którzy kopiują siebie tyle razy, że robią to już świetnie. Przykładem takiego aktora niech będzie Ladisław Chudik. Właśnie grałem w czeskim filmie „Wędrówki Jana Amosa" w reż. Otokara Vavry. Uroczy kolega Chudik (doktor Sowa z serialu „Szpital na peryferiach") był taki sam jak Jan Amos, zmienił się tylko wyglądem, nie usiłując wprowadzić w siebie innego człowieka, czyli Jana Amosa.

— Pan jest nie tylko aktorem, ale i dramaturgiem, autorem własnych pamiętników?

— Piszę, piszę, a żona przepisuje na czysto. Właśnie postawiła cyfrę 10747.

— Czyżby w pamiętnikach sięgnął pan już w przyszłość, a więc do roku dwutysięcznego?

— Jestem dopiero na etapie swojej służby wojskowej, a więc w roku 1932.

— A sztuki teatralne?

— Jest ich sporo. Opracowanych mam 17, w opracowaniu trzy. Jedną z nich pt. „Koń trojański zdycha" wystawiłem na scenie Teatru im. W. Bogusławskiego w Kaliszu. Natomiast fragmenty pamiętnika z okresu, gdy prowadziłem Teatr Frontowy 8 Dywizji Piechoty II Armii WP, a później Teatr II Armii — są drukowane w „Ziemi Kaliskiej" i „Tygodniku Siedleckim", gdzie zdobyłem I nagrodę biorąc udział w konkursie „Z ziemi Siedleckiej do Czeskiej". Przede mną ocean zdarzeń. Oby tylko zdążyć.

— I dalej czeka pan na Godota czyli na swój polski jubileusz 55-lecia pracy w teatrze?

— Czekanie jest podobno matką nadziei, a nadzieja matką głupich. W ten sposób można dojść do ściany i tak do niej doszedłem. W łódzkiej stajni Augiasza nie chciałem świętować. W Gorzowie i Kaliszu skończyło się na dobrych chęciach z obu stron. W tej sytuacji jest już tylko fabryka koszul „Wólczanka". Myślę, że tylko ona może mnie usatysfakcjonować takim świętem.

— Skąd taka myśl?

— Otóż, po wielu latach pracy w teatrze Łodzi zdarzyło się, że zauważono mnie i... postanowiono odznaczyć zaszczytną Honorową Odznaką m. Łodzi. Nòtabl, wręczający mi tę odznakę, patrząc mi głęboko w oczy powiedział: „Obywatelu! Za uczciwą służbę wartownicza w fabryce „Wólczanka" jesteście odznaczeni Honorową Odznaką itd. Odznakę przyjąłem, fundowanego wina nie piłem. Gafa — gafą, a współżycie z fabryką zostało nawiązane i właśnie ta symbioza zobowiązuje obie strony.

— Czy naprawdę owym Godotem mogłaby być „Wólczanka"?

— Wcale bym się nie obraził, wprost przeciwnie, byłby to widoczny dowód współżycia świata pracy z teatrem.

— Jako motto do naszej rozmowy zaproponował pan tekst o chlebie podanym na kiju, czyżby i panu to się przytrafiło i w ogóle skąd u pana, aktora z ogromnym dorobkiem, taka smętna i gorzka refleksja w jubileuszowym roku jego pracy?

— Ostatnio do polskiego teatru wdarły się pewne nieprawidłowości, które śmiało można nazwać nieprawościami. Bo czy można mieć dobre samopoczucie po tylu latach pracy, gdy ma się świadomość, że znakomita praca Teatru Powszechnego w Łodzi mogą zmącić takie perturbacje, jakie teatr przeżył w czasach urzędowania dyr. Romana Kłosowskiego. W tym czasie powróciłem ze Stanów Zjednoczonych, skąd przywiozłem kamień w kształcie siekierki znaleziony na placu ćwiczeń Fortu „Błękitny bizon" pod Buffallo, z którego chciałem zrobić tomahawk, bo te sprzedawane w USA były zbyt tandetne. Dla przewiercenia twardego drzewa „Tai", które również przywiozłem z USA dla zmontowania tomahawka, poszedłem do warsztatów technicznych Teatru Powszechnego, gdzie majster podjął się bezinteresownie wykonania tej pracy. Na stercie starych opon, przykrytych porwanym kocem zauważyłem trzy małe kociątka, pozbawione matki i wychowywane na mleku podawanym smoczkiem i pipetą przez teatralnych rzemieślników. Wyszedłem z warsztatu i spojrzałem na gmach teatru i pomyślałem, że przecież w tych murach nie tak dawno działy się rzeczy brzydkie, nie mające nic wspólnego z humanitarną postawą majstra i czeladników.

— Teraz chyba nie grozi panu tak jak poprzednio długie oczekiwanie na swój aktorski benefis i po kilkuletnich perturbacjach znowu będzie pan grał na łódzkiej scenie. Wypada mi tylko pogratulować odporności psychicznej w walce o swoje i podziękować w imieniu miłośników pana talentu, że nie uciekł pan z Łodzi!

— A ja osobiście wierzę w Teatr Powszechny, który odradza się jak feniks z popiołów. Przykładem niech będzie znakomita sztuka „Zwodnica". W jubileuszowej roli chciałbym wystąpić w równie dobrym spektaklu.

— I tego panu życzę!

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Zdjęcia: Józef Wojciech Krens

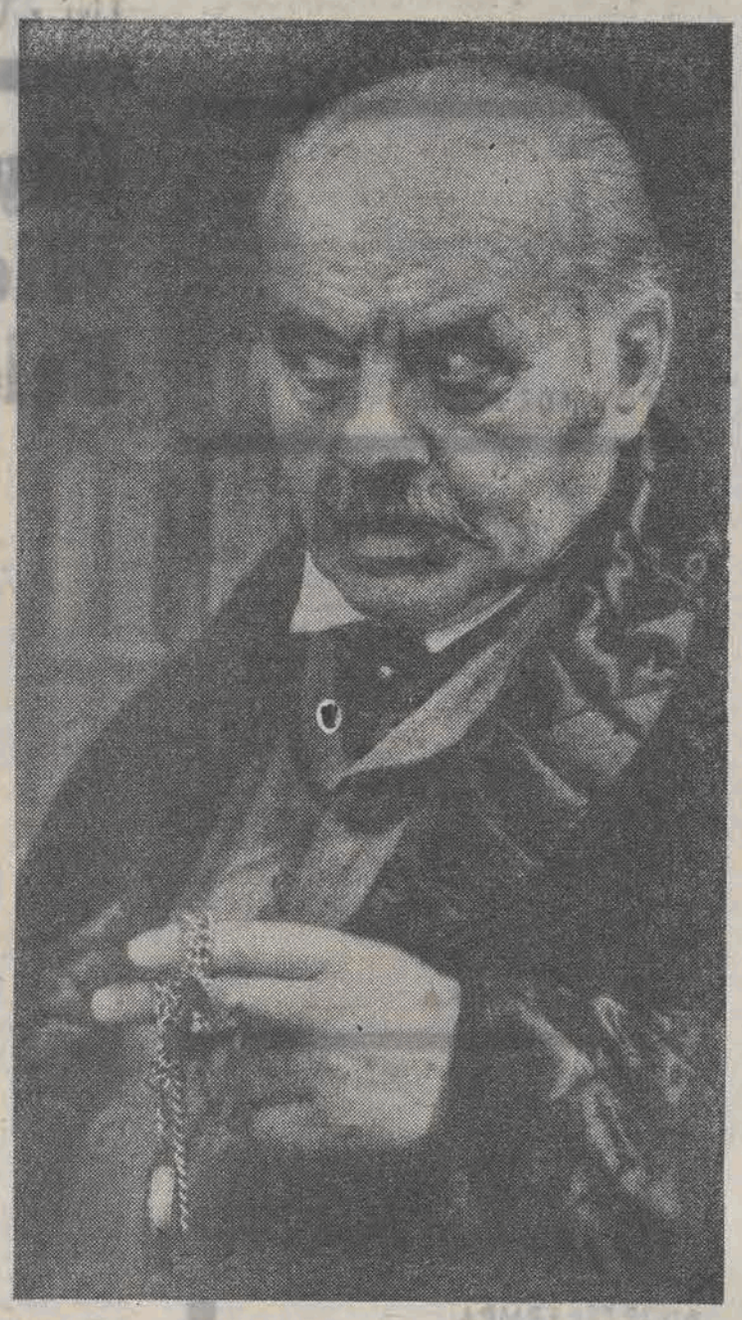

Polemiki • Listy • Opinie

PECHOWE DZIECIĘ

„Spółdzielnię, jak zresztą każde inne przedsiębiorstwo, należy traktować jako pewien system. Spółdzielnia jako system działa w określonym otoczeniu. W znaczeniu spółdzielni mieszkaniowej otoczeniem jest rynek mieszkańców. I tak z jednej strony spółdzielnia mieszkaniowa otrzymuje strumień czynszów i dotacji, z drugiej — spółdzielnia ma zapewnić ciepło w mieszkaniach, ciepłą i zimną wodę, czystośc, zieleń, prawidłowe funkcjonowanie urządzeń technicznych — słowem to wszystko, co jest niezbędne do właściwego tj. spokojnego i kulturalnego odpoczynku mieszkańców dla regeneracji sił do pracy".

I takie zadanie ma spełniać Retkinia — „wielka sypialnia" Łodzi, w której mieszka aktualnie około 80 tysięcy osób. Ale życie jest kapryśne i płata figle i to wcale nie takie błahe. Może się o tym przekonać Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Polesie", która, można by powiedzieć, poczęła to pechowe dziecię.

A zaczęło się wszystko od tego, że brakowało mieszkań. Ludzie szturmowali o klucze do własnego „M" Trzeba było zbudować szybko duże i nowoczesne osiedle żeby zaspokoić, a przynajmniej zmniejszyć głód mieszkaniowy. Budowano więc Retkinię bardzo szybko — no i bardzo źle. Stare przysłowie mówi, że co nagle to po diable. Zabrakło u wykonawcy precyzji, rozwagi i czasu. Zaś efekty są takie, że mnożą się awarie ciepłownicze, gazowe i wodne. Ludzie klną na wodę w piwnicach, przemarznięte ściany, przeciekające dachy, pękające panele itd. Tylko że każdy z nich w chwili otrzymania klucza nie pomyślał ani przez chwilę, że takie mogą być uroki mieszkania w nowym osiedlu, budowanym na chybcika.

Prawda to stara, że jak ktoś uzyska jedną rzecz, to wyciąga rękę po następną. Dostałeś mieszkanie — żądasz sklepów, usług, szkół, przedszkoli, żłobków — i masz rację. Ale rację mają i ci, którzy twierdzą, że gdyby równocześnie budowano sklepy, szkoły, żłobki, tym samym budowano by mniej mieszkań i może w ogóle byś tu nie mieszkał. Natomiast dzisiejsza rzeczywistość na Retkini jest taka, że ten kto ma samochód — szturmuje o garaż, a ten kto nie posiada czterech kółek — żąda wyprowadzenia samochodów z uliczek i placów Retkini. Każdy walczy jak lew o likwidację śmietnika spod jego bloku, o kwietniki, balkony, drzewa, place zabaw — słowem o wszystko.

Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa już pogodziła się z ciągłą pracą nad usuwaniem skutków przeszłości. Ale według słów dyrektora Z. Florka: — *To nie jest praca a raczej ciągła walka. Cały dramat zaczyna się w różnych zależnościach i powiązaniach — laskawy wykonawca budowlany, Zakład Sieci Cieplnej, Przedsiębiorstwo Wodociągów i Kanalizacji Okręgu Łódzkiego, Zakład Energetyczny, Zakłady Gazownicze, MPO i wiele innych instytucji powiązanych z produktem finalnym, jaki tworzy RSM „Polesie". Nie chcę przeprowadzać krytyki bo nie o to chodzi, ale uważam, że istotną rzeczą jest szacunek dla własnych postanowień statutowych, dla własnego zakresu obowiązków i odpowiedzialności. Wreszcie, jaki jest kosztorys pracy tych instytucji? Nastąpił poważny wzrost cen budownictwa i usług. Jest to zupełna prawidłowość ekonomiczna, bo przecież cena zawiera koszt produkcji i zysk. Tylko jedno zastrzeżenie. Czy w kosztach tych przestrzegana jest zasada — racjonalne zużycie materiałów, usług i robocizny? A więc rachunek jest prosty. W kosztach znajdują się kwoty wynikające z nieudolności, niedowładu, niskiej wydajności, marnotrawstwa, a więc oczywistych strat. A może działają mechanizmy antyefektywnościowe?*

— Retkinię budowano i buduje się wiele lat — ciągnie dalej Z. Florek — nie oznacza to wcale, że tyle lat musi trwać likwidacja powstałych wad. Robimy gigantyczną robotę, ale nie można ominąć stwierdzenia, iż mamy gigantyczne kłopoty. Ponosimy też ciągłe porażki, w większości nie z naszej winy. Stara prawda: łatwiej jest dzielić mieszkaniami, a o wiele trudniej eksploatować tę prowizorkę.

Stan technicznych zasobów na Retkini posiada poważne schorzenia. Problem istotny dla Retkini to PANELE. Żeliwo, niestety, nie jest rozdysponowane proporcjonalnie do ilości budynków. I jest tak, że taki sam przydział żeliwa dostaje instytucja z 30 budynkami z grzejnikami panelowymi i RSM „Polesie" z 260 budynkami, w których na progu tegorocznej zimy pękło 9 tysięcy paneli Przy ogólnym braku fachowców, Spółdzielnia angazuje 45 instalatorów. Wydawałoby się to rozrzutnością w gospodarce kadrami, ale czyż ma ona inne wyjście, kiedy urywają się telefony zgłaszające awarie, a ludziom woda zalewa mieszkania. W ocenie Zarządu Spółdzielni jest to klęska dla 80-tysięcznego osiedla. To przez panele jest zaniedbana cała instalacja centralnego ogrzewania w starszych osiedlach, gdzie urządzenia tracą okres gwarancji, gdzie trzeba wymienić całe wysłużone piony i poziomy sieci. Sporo kłopotów sprawiają też węzły cieplne, będące prowizorką. Spółdzielnia wysyła pisma w tej sprawie do Centralnego Związku, do ministra Kukuryki i posła Zbigniewa Zielińskiego. Jak się okazuje, bez skutków.

Z puli Centralnego Związku jesienią 1983 roku RSM „Polesie" zdołała uzyskać 2 tysiące m² z których w praktyce dostała 300 m². Okazało się, że rzeczywiście rozdzielnik ten skierowano do Łodzi, ale ulokowano go w „Fakorze", z produkcji której korzysta wielu kontrahentów. Przy okazji trzeba zaznaczyć, że 500 m² wystarcza na 1 klatkę budynku średniowysokiego. O ironio losu! Przecież to właśnie RSM „Polesie" z Osiedlem Młodych udzieliła „Fakorze" pożyczki na rozruch. Może w dobie reformy gospodarczej „Fakora" zapomniała o pojęciu wdzięczności? Nie powinna jednak zapomnieć o zasadach gry rynkowej i tak szybko zapominać o pomocy swoich kontrahentów w ciężkich chwilach, bo kiedyś tej pomocy może nie uzyskać.

Trudnym problemem i bolesnym jest gaz, który, niestety, już wiąże się z ofiarami śmiertelnymi. Szkoda tylko, że musiało dojść aż do takiej tragedii, żeby przestano opieszale traktować zgłoszenia pracowników administracji i mieszkańców Retkini przez pracowników Gazowni. Jak się okazuje problem gazu nie wypłynął dopiero wraz z wybuchem Zarząd Spółdzielni znacznie wcześniej sugerował pilność wyprowadzenia na zewnątrz budynków reduktorów gazowych wprowadzenia zasuw odcinających dopływ gazu. Problem materiałowy nie istniał, zleceniobiorca miał się znaleźć Podobno zabrakło tylko chęci Mazowieckich Zakładów Gazowych Widziano pilną potrzebę przeprowadzenia inwentaryzacji całej sieci gazowej dla prawidłowego oznakowania zaworów i urządzeń Kierowano liczną korespondencję, piętnującą brak operatywności i szybkich działań pracowników Gazowni. Niestety, była załatwiana opieszale, tak jak i ustne meldunki o awariach. Czy koniecznie trzeba było retkińskiej tragedii i zarządzenia prezydenta, żeby to wszystko można było zmienić?

Spółdzielnia ma też kłopoty spowodowane dążnością wykonawcy budowlanego do szybkości i oszczędności(?) A jak się to robiło? Oczywiście upraszczając założenia technologiczne Gruni to inwencja twórcza! Kto wie, czy nie uznano tych uproszczeń za wnioski racjonalizatorskie. I tak nie stosowano drenaży opaskowych. Za to dziś trzeba odwodnić piwnice w 116 budynkach. Panom budowlanym nie chciało się kłaść papy pod obróbki blacharskie co powoduje przy zamarznięciu rynien zalewanie mieszkań na ostatnim piętrze. Naprawa tego pochłania miliony złotych oraz dziesiątki ton ocynkowanej deficytowej blachy oraz spoiwa. Uproszczono wentylacje grawitacyjna Ze względu na złe ocieplenie stropów, trzeba docieplać dachy płytami pilśniowymi i ponownie kryć. I gdzie tu ekonomika? Ktoś powie: „Przecież chcieli dobrze". Ale dobrze, to nie znaczy partaczyć robotę.

Przychodzi podsumować tę wyliczankę, ale nie będę się silić na to. Wnioski powinny nasunąć się same. I tylko przytoczę kilka słów dyrektora Z. Florka, które można uznać za memento w całej tej sprawie: — *Doszliśmy już do granicy społecznej tolerancji, do granicy społecznej świadomości. A granicy społecznej tolerancji i aprobaty przekroczyć nam nie wolno. Stan taki wymaga szczegółowej analizy defektów i długotrwałej, uporczywej pracy. I to nie tylko w RSM „Polesie", ale w powiązaniu z instytucjami współdziałającymi, każdy na własnym podwórku. Bowiem na produkt finalny mają wpływ tak budowlani jak i ciepłownicy, gazownicy, wodociągi, a nawet ci, którzy oczyszczają osiedle Retkinia.*

EWA LACHOWSKA

JESZCZE RAZ SPRAWY OSIEDLA „CHOJNY-ZATORZE"

Od lutego do grudnia 1983 roku na łamach „Odgłosów" ukazało się kilka artykułów krytycznych, dotyczących nowego osiedla „Chojny-Zatorze" w Łodzi. W większości przypadków nie znalazły one pozytywnego oddźwięku w załatwieniu spraw i problemów dotyczących poprawy warunków mieszkalno-bytowych mieszkańców tego osiedla. W związku z powyższym postanowiłem interweniować pisemnie w Ministerstwie Administracji i Gospodarki Przestrzennej. Wysłałem odpisy owych artykułów. Sprawa została skierowana do kompleksowego rozpatrzenia przez Prezydenta Miasta Łodzi w dniu 13 lutego 1983 r.

Wyjaśnianie trwało dość długo, bowiem do maja 1984 r. Spodziewałem się komisyjnego zbadania sprawy na miejscu z udziałem zainteresowanych czynników, w tym samorządu mieszkańców, od którego w większości przypadków wynikały poruszane problemy i sprawy do załatwienia. Niestety, stało się inaczej. Pokutuje utarty styl i zwyczaj załatwiania wszelkich skarg zza urzędniczego biurka na podstawie pism, opinii zainteresowanych w sprawie jednostek gospodarki państwowej i spółdzielczej. Rzecz jasna, żadna instytucja nie będzie siebie pognębiać, przyznawać się otwarcie do błędów.

Przecierałem oczy ze zdumienia czytając pismo wyjaśniające UMŁ — podpisane przez mgr Eugeniusza Święciaka, zastępcę dyrektora z Biura Organizacyjno-Prawnego UMŁ. Pozwolę sobie zacytować jego fragment:

„W publikowanych w „Odgłosach" artykułach Obywatela wiele spostrzeżeń dot. funkcjonowania administracji państwowej jest słusznych. Jednak z wieloma nie można się zgodzić i są one przynajmniej dyskusyjne".

Jeśli tak, to podyskutujmy sobie, bowiem poruszane sprawy i problemy są nadal aktualne i na czasie.

Na podstawie uzyskanej opinii z Wydziału Handlu oraz Wydziału Przemysłu i Usług UMŁ wynika, że faktycznie potrzeby są znacznie większe. Nasze poglądy są zbieżne.

W swoich artykułach nie negowałem i nie neguję nadal adaptacji parterów bundynków mieszkalnych na cele usługowo-handlowe. Natomiast wydaje mi się nieco dziwne postępowanie odpowiedzialnych jednostek gospodarczych za usytuowanie na przestrzeni zaledwie kilkuset metrów aż trzech sklepów z artykułami gospodarstwa domowego przy rażącym braku sklepów z artykułami pierwszej potrzeby, a do takich zaliczamy sklepy spożywcze nabiałowe, rybne, piekarnicze i warzywno-owocowe, których to sklepów faktycznie nie ma za wiele na osiedlu, o czym świadczą tasiemcowe kolejki przed sklepami.

Niezwykle cenię sobie konkrety i fakty. Może zacznę od sklepu WSOP. W wyjaśnieniu czytam, że powyższy sklep został już otwarty w dniu 26 marca br. Byłaby to niechlubna rocznica ale nie jest. Kolejne wprowadzenie w błąd UMŁ przez zainteresowane jednostki z całą pewnością przedłożone jedynie na papierze. W rzeczywistości bowiem, sklep po dokonanym „generalnym remoncie", wstawieniu wybitych szyb, częściowym zdewastowaniu wnętrz, jak dotychczas nie został otwarty.

I tu pozwolę sobie na maleńką dygresję. W piśmie otrzymanym z Wydziału Przemysłu i Usług UMŁ czytamy, jakoby w porozumieniu z samorządem mieszkańców postanowiono zmienić decyzję na zaplanowane usługi rtv. Pismo z dnia 21 marca 1984 r. Ldz. p. III-7611/6/84, skierowane do Prezesa MUSI w Łodzi ul. Traugutta 4. Na powyższe zareagował samorząd mieszkańców na piśmie z dnia 26 kwietnia 1984 r. Ldz. SM-I-23/84, prosząc o wyjaśnienie sprawy. Nikogo nie trzeba przekonywać, co jest bardziej potrzebne dla mieszkańców osiedla. Rzeczywiście w tej sytuacji akurat brakuje mieszkańcom zakładu fotooptyki, aby móc uwidocznić na kliszy puste pomieszczenia przeznaczone na usługi i handel od roku w bl. 210, 29 i 30.

Nie mogę jakoś się zgodzić z wyjaśnieniem jakoby opóźnienia wynikające z terminowego oddawania do użytku pomieszczeń przeznaczonych na usługi i handel wynikały li tylko z faktu ich adaptacji. Inwestor, wykonawca i przyszły użytkownik obiektu wiedzą o tym dużo wcześniej i uzgadniają drobne przeróbki, korygują wzajemne plany, a jeżeli akurat jest odwrotnie, to bardzo źle świadczy o wzajemnych stosunkach. Zmiana użytkownika w obiekcie WSOP nie wymagała dodatkowych uzgodnień, bowiem dyrekcja WSOP przystała na zlecenia uzgodnione dużo wcześniej pomiędzy wykonawcą a przyszłym użytkownikiem i za tym przemawiają dokumenty. Pomieszczenie sklepu „Otex" stało puste od kwietnia do września 1983 r. i absolutnie nic się tam nie działo wewnątrz, co mogą potwierdzić mieszkańcy bl. 248 oraz członkowie RO uczestniczący na posiedzeniu w czerwcu 1983 roku w obecności zastępcy naczelnika Dzielnicy Łódź-Górna.

Tak to wygląda w świetle przytoczonych faktów, możliwych do sprawdzenia na miejscu. Brak dostatecznej ilości sieci handlowo-usługowej — w czym się absolutnie zgadzamy — wydaje mi się delikatnie mówiąc karygodnym niedbalstwem, wynikającym ze zbyt ślamazarnego oddawania do użytku nowych placówek handlowo-usługowych w osiedlu.Doskonale zdaję sobie sprawę z wynikających trudności finansowo-gospodarczych w budowaniu dużych pawilonów usługowo-handlowych, ale nie mogę jakoś zrozumieć, dlaczego w takim razie nie szanujemy włożonej pracy w istniejące obiekty adaptowane. Ten istniejący ogólny bałagan kosztuje nie tylko poszczególne jednostki gospodarcze, ale nas wszystkich. Chociażby sprawa uruchomienia targowiska na osiedlu, która się ciągnie od wielu lat w nieskończoność i jakoś nie wychodzi.

W odniesieniu do spraw kultury i sztuki. W rzeczy samej faktycznie pisałem, że klub nie był zaplanowany, lecz adaptowany z pomieszczeń przeznaczonych na placówkę handlową. Nawet laik może przekonać się o tym na miejscu, przebywając w klubie SM-„Chojny. Pomimo wynikających trudności, działalność klubu rozwija się pomyślnie o czym również pisałem.

Sytuacja w dziedzinie oświaty i wychowania na osiedlu Chojny rzeczywiście jest trudna i z tym się wszyscy zgadzamy. Ale też w tym zakresie uczyniono bodaj najwięcej co było możliwe.

W dalszym ciągu nie mogę sobie jakoś wytłumaczyć mając na uwadze budowę nowej szkoły począwszy od fundamentów w przeciągu zaledwie pół roku, dlaczego usuwanie niektórych drobnych usterek w obiektach usługowo-handlowych trwa całymi miesiącami, ba, nawet latami. To mnie irytuje chyba najbardziej ze wszystkiego, a sądzę, że nie tylko mnie, lecz ogół mieszkańców Osiedla Chojny-Zatorze.

Następna sprawa, którą poruszałem dotyczyła komunikacji zewnętrznej i wewnętrznej na osiedlu. Temat rzeka. Wystarczy przytoczyć trzykrotną zmianę terminów oddania do użytku tzw. obwodnicy, budowy dróg lokalnych, parkingów i chodników, nieczynnych od nowa studzienek kanalizacyjnych, burzowych, właściwego oznakowania jezdni, placów zabaw dla dzieci, szkół itp.

Nie rozchodzi się tu akurat o wielkie nakłady finansowe, zmianę generalną komunikacji miejskiej, lecz o drobne rzeczy i sprawy które utrudniają mieszkańcom życie. Klasycznym przykładem niech będzie ul. Mieszczańska, Socjalna i Powszechna. Rozpoczęto budowę chodników, parkingów, lecz jej nie dokończono. Na ulicy Mieszczańskiej od samego początku istnienia, tj. od dwóch lat trwa przepychanka pomiędzy pieszymi a zmotoryzowanymi. O tym wszystkim pisał jeden z mieszkańców osiedla na łamach „GR" 14.03.br. A więc nie rozchodzi się o nowe linie komunikacyjne, na które obecnie nas nie stać, a jedynie udoskonalenie tego, co posiadamy, dostosowanie do wymogów i potrzeb mieszkańców, co jest oczywiste i zrozumiałe.

Utrzymanie czystości i porządku na osiedlu pogarsza fakt niedokończenia uporządkowania terenu w tej części osiedla, której budowa właściwie została już ukończona, za wyjątkiem obiektów towarzyszących. Krajobraz iście księżycowy, jak pisał „GR" 21 lutego ub. roku i obecnie absolutnie nic się nie zmieniło

Ani mnie, ani mieszkańców nie satysfakcjonuje zwalnianie „gospodarzy domów", zapisywanie po brzegi zeszytów kontrolnych, wysyłanie pism i pisemek. Natomiast interesuje nas praca tychże „gospodarzy", za co oni właściwie pobierają spółdzielcze pieniążki.

Całość poruszanych spraw i problemów, zamieszczonych na łamach czasopism w dalszym ciągu nie trafia pod właściwy adres. I tu tkwi sedno całej sprawy. Niekiedy bywają to drobne problemy i sprawy, które można by załatwić od ręki, a ciągną się one w nieskończoność. Irytują i denerwują mieszkańców. Powstają nikomu niepotrzebne zatargi pomiędzy mieszkańcami a administracją, których z całą pewnością uniknęlibyśmy, posiadając chociaż odrobinę dobrej woli, właściwego zrozumienia i podejścia z obu stron. Wystarczy uważnie przejrzeć protokoły ze spotkań środowiskowych mieszkańców, posiedzeń rady osiedla. W sposób poważny i rozważny ustosunkować się do zgłaszanych wniosków i postulatów mieszkańców. Dotrzymać wypowiedzianych publicznie przyrzeczeń i zapewnień odnośnie poprawy warunków mieszkalno-bytowych na osiedlu. Tych spraw, nurtujących problemów, w żaden sposób nie da się ukryć, odwlec.

Jeszcze rok temu uczestnicząc w corocznych spotkaniach grup spółdzielczych mogłem zauważyć dość sporą grupę zainteresowanych osób. Natomiast w tym roku frekwencja wyraźnie zmalała. Na 800 członków zaledwie przybyło 12-tu, w innych grupach można byłoby co najwyżej doliczyć się 30-tu członków. Ludzie niechętnie uczestniczą w zebraniach, z których właściwie nic nie wynika. Protokoły oraz zawarte w nich wnioski i postulaty z lat ubiegłych, chociażby z dnia 14 czerwca, 23 listopada oraz z tego roku, z dnia 17 stycznia i 6 marca — zostały nie tknięte i leżą gdzieś na dnie przepastnej szuflady w biurku.

WŁADYSŁAW BISZEWSKI

WOKÓŁ SPORU O „TRUDNE POWROTY"

Zapewne rozmija się z dobrym obyczajem zabieranie głosu w toczącym się sporze przez kogoś, kto nie zna wszystkich jego elementów. Nie powinienem więc mieszać się do jakże ostrej wymiany zdań na łamach „Odgłosów" pomiędzy Włodzimierzem Krzemińskim a Józefem Spychalskim, ponieważ nie przeczytałem powieści „Trudne powroty" napisanej przez tego ostatniego.

Zdecydowałem się jednak wtrącić swoje trzy grosze do istoty spornej kwestii, której meritum można wyłuskać zarówno z polemiki obu adwersarzy, jak i z recenzji Juliusza Cyperlinga. Chodzi mianowicie o to, czy przedstawione przez autora książki zachowanie Niemców wobec Polaków w czasie ostatniej wojny (a ściślej — na obszarze „Reichu") można uznać za prawdziwe w sensie historycznym, czyli nacechowane literacką typowością. Bo może, jak to sugeruje W. Krzemiński mamy tu do czynienia z wypaczonym obrazem tamtych czasów, które już coraz mniej nas pamięta?

Oczywiście, ilu ludzi, tyle życiorysów, a więc i wspomnień, toteż to co tu przekazuję zaczerpnąłem wyłącznie ze swoich doświadczeń i obserwacji z pobytu na przymusowych robotach w Niemczech. Dla ścisłości wyjaśnię (o czym się chyba nigdzie, jeśli się nie mylę, nie wspominało, że na roboty zgłaszali się z początkiem okupacji, bardzo zresztą nieliczni, Polacy dobrowolnie, a owi ochotnicy rekrutowali się bodaj głównie z tych, co przed wojną wyjeżdżali sezonowo „na saksy". Obie te kategorie, łącznie z dość liczną grupą polskich jeńców wojennych, zwalnianych ze Stalagów (żołnierskich obozów jenieckich), stanowiły wspólnie jednolitą masę o zbliżonych warunkach bytowania i identycznej sytuacji „prawnej" — jeśli wolno w ogóle użyć tego określenia.

Otóż przede wszystkim nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że względnie życzliwe traktowanie Polaków przez Niemców było w Rzeszy nieporównanie częstsze niż na terenach okupowanych, ponieważ inna po prostu — bardziej rzeczowa i umotywowana ekonomicznie — była polityka hitlerowskiego państwa w stosunku do zatrudnionych w Rzeszy (nie piszę o więźniach obozów koncentracyjnych!), niż wobec społeczności polskiej na ziemiach polskich, wobec której stosowano program eksterminacyjny. Do robotników polskich w Rzeszy odnoszono się jak do żywego inwentarza, który trzeba było jako tako żywić, żeby mieć z niego spodziewany pożytek.

Ponadto niemieccy nadzorcy czy bezpośredni pracodawcy Polaków pracujących w Rzeszy różnili się często dość znacznie od tego awanturniczego i przestępczego, a w najlepszym razie sfanatyzowanego elementu, jaki przeważał wśród Niemców nasyłanych na tereny okupowane. Nie było tu (w Generalnym Gubernatorstwie, czy np. Warthelandzie) z reguły żadnych kontaktów typu towarzyskiego, co zdarzało się w pracy u chłopa (Bauera) czy prywatnego rzemieślnika w Niemczech, którym przydzielano polskich robotników.

Ale i tam człowiek z naszytą na klapie literą „P" odczuwał na ulicy czy w tramwaju odmienne reakcje pokoleniowe — często obojętne lub zakłopotane ze strony ludzi starszych, a częściej drwiące i pogardliwe lub jawnie wrogie ze strony niemieckiej młodzieży, silniej zainfekowanej faszyzmem. Gorzej też na ogół odnosili się do Polaków niemieccy urzędnicy i inni ludzie nadzorujący (należący chyba z reguły do hitlerowskiego „Arbeitsfrontu"), niż robotnicy fabryczni, w czym nic dziwnego, jeśli się uwzględni silne jednak w klasie robotniczej wpływy zdelegalizowanych partii lewicowych o antyfaszystowskiej przecież orientacji lub wyraźnie internacjonalistycznej ideologii.

Kilkakrotnie doświadczyłem objawów sympatii czy, ukradkiem wyrażanych słów otuchy i nawet solidarności, z towarzyszącym temu poufnym wyjaśnieniem: „Bo ja jestem czerwony, rozumiesz...". Ci ludzie ukrywali poglądy przed swoimi rodakami, zdawali sobie jednak sprawę, że Polak z pewnością nie sypnie ich przed kimkolwiek.

Nie mam więc zastrzeżeń do przedstawianych przez J. Spychalskiego przypadków życzliwego odnoszenia się pojedynczych Niemców do Polaków, ale podzielałbym zarzuty W. Krzemińskiego, jeśli autor powieści istotnie dopuścił się rażącego zachwiania proporcji, czyli wypaczenia obrazu, który w całości nie był niestety różowy, czego nie powinniśmy zapominać, m. in. po to, by z doświadczeń wojenno-okupacyjnej przeszłości wyciągać właściwe ideowo-polityczne konsekwencje. Obaj uczestnicy sporu przechodzą jakby do porządku nad oczywistą dla mnie prawdą, że zdarzające się przychylne nastawienie Niemców do Polaków było z reguły uwarunkowane ideologicznie, przede wszystkim światopoglądem komunistycznym lub motywacją chrześcijańską.

Ostatnich kilka lat, które tak intensywnie przeżywaliśmy w Polsce, powinno nas pobudzać do refleksji, że żaden naród nie jest ideowo-politycznym monolitem, w czym ani my, ani Niemcy nie stanowimy wyjątku.

JERZY KWIECIŃSKI

Teraz jestem tylko kibicem

Rozmowa z MIECZYSŁAWEM NOWICKIM — olimpijczykiem, byłym reprezentantem Polski, kolarzem „Włókniarza" Łódź.

— Rozpoczął się XXXVII Wyścig Pokoju. Co pan sądzi o szansach naszej drużyny?

— Jeszcze jest za wcześnie na jakiekolwiek opinie.

— Czy pana zdaniem jest to impreza licząca się w kolarskim i sportowym świecie?

— Na to pytanie nie można odpowiedzieć jednoznacznie. Różnie bowiem z tym bywało. Dawniej, kiedy jeszcze startował Stanisław Królak, a i później, kiedy zagraniczne ekipy składały się z dobrych zawodników, którzy odnosili sukcesy w Wyścigu Pokoju, a następnie — po jakimś czasie i innych sukcesach — przechodzili na zawodowstwo i tam potwierdzali swoją klasę, Wyścig Pokoju liczył się chyba bardziej.

— A teraz?

— Teraz, to właściwie jest wyścig czterech ekip: Związku Radzieckiego, Polski, NRD i Czechosłowacji. Przez cały czas walka toczy się między nimi. Oczywiście, bywa i tak, że zawodnicy innych drużyn wygrywają ten czy inny etap, ale to nie zmienia faktu, że rywalizują między sobą przede wszystkim te cztery ekipy.

— Czy zdaniem pana zainteresowanie kibiców Wyścigiem Pokoju ciągle jest takie samo?

— Nie. Jest różne w różnych okresach. Teraz chyba mniejsze.

— Dlaczego?

— Nasza ekipa kolarska przyzwyczaiła swego czasu kibiców do sukcesów. Później ich zabrakło. A jak nie ma zwycięstw, to kibic się zniechęca.

— Trudno jednak odmówić wpływu Wyścigu Pokoju na rozwój polskiego kolarstwa. Henryk Łasak był nawet zdania, że gdyby nie było Wyścigu Pokoju, to nie mielibyśmy w ogóle kolarstwa w Polsce.

— Trudno z tym się nie zgodzić. Ale też proszę pamiętać, że opinia Henryka Łasaka odnosi się do innych czasów, a inne są dziś. Kolarstwo jest trudnym sportem, wymagającym dobrego sprzętu, o który nie jest łatwo, sportem kosztownym, bo kolarz musi dobrze zjeść, aby mieć siły, niezbędna jest mu na przykład czekolada albo cukier w kostkach, a i z tym nie jest łatwo. Więc jeśli nawet Wyścig Pokoju wywiera wpływ na młodzież, to ten wpływ jest dziś ograniczony przez warunki życia.

— Startował pan nie tylko w Wyścigu Pokoju, ale i w innych wyścigach w Europie i Ameryce. Ma pan więc skalę porównawczą. Czy to jest trudny wyścig?

— Moim zdaniem jest to wyścig łatwy. Trasa jest tak dobrana, aby wyścig prowadził po dobrych drogach, góry też są nie tak znów trudne i wysokie. Po czterech dniach jazdy jest dzień odpoczynku, a w innych wyścigach wieloetapowych w ogóle jest tylko jeden dzień odpoczynku.

— Czy tegoroczna trasa jest też zdaniem pana łatwa?

— Sądzę, że tak. I właściwie cały wyścig może przez to rozegrać się na kilku pierwszych etapach. Jest to w ogóle wyścig dla szybkich kolarzy. Tacy, którzy rozkręcają się w górach, na trudnych i skomplikowanych etapach, mało będą mieli do powiedzenia. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Kiedyś atrakcją Wyścigu Pokoju były ucieczki. Dziś to się prawie w ogóle nie zdarza. Dlaczego? Dlaczego na przykład nasi zawodnicy nie potrafią inicjować ucieczek i skutecznie przeprowadzać ich do końca?

— Szansę ma tylko taka ucieczka, w której znajdą się kolarze głównych rywali i to we właściwej proporcji. Wtedy wszyscy uczestnicy ucieczki mogą podjąć walkę, bo są nią w jednakowy sposób zainteresowani. Kiedy jednak ucieknie grupa kolarzy inaczej dobrana, kiedy proporcje będą na czyjąś niekorzyść, taka ucieczka nie ma szans i ci, którzy są w gorszej sytuacji będą pracowali na niekorzyść swoich rywali i pomagali doganiającym.

— Sądzi więc pan, że to nie tyle, sprawa umiejętności, a raczej sprawa układu sił, czyli tego, że głównie rywalizują między sobą cztery drużyny? No, dobrze, a wobec tego, dlaczego nasi zawodnicy nie potrafią finiszować? Tego mi już pan nie wytłumaczy sprawami taktyki.

— Nie mam nawet takiego zamiaru. W moim przekonaniu bierze się to między innymi z tego, że została przerwana ciągłość między starszymi, dobrze wyszkolonymi zawodnikami, a ich następcami. Młodzi nie bardzo dziś mają od kogo się uczyć, kogo naśladować. Poza tym ekipa musi jechać na kogoś, pracować na konto lidera. Tymczasem ekipę najczęściej tworzą indywidualiści, którzy dbają tylko o swoje interesy. A w takim wyścigu trzeba czasem dokonać natychmiastowego wyboru: jechać po sukces własny czy pomóc liderowi wygrać cały wyścig. Do mnie niektórzy moi znajomi mają pretensje, mówią: — jeździłeś w Wyścigu Pokoju, a nigdy nie stanąłeś na podium.

— W którym to roku oddał pan rower Ryszardowi Szurkowskiemu, kiedy miał defekt roweru?

— To było w 1975 roku.

— Dostał pan wtedy od katowickiego „Sportu" Kryształowe Koło. Za wyniki i postawę.

— Kto dziś o tym pamięta.

— Ponownie dostał pan Kryształowe Koło w następnym roku. Ale skoro już o tym mowa, to przypomnijmy — szczególnie młodym Czytelnikom — jakie pan miał sukcesy i które z nich pan najbardziej sobie ceni?

— Bez wątpienia olimpijskie i w mistrzostwach świata. W Monachium na torze zająłem czwarte miejsce. W Montrealu — już jako szosowiec — zdobyłem srebrny medal z drużyną i brązowy indywidualnie. W 1975 roku złoty medal też z drużyną na mistrzostwach świata w Belgii i brązowy w 1977 na mistrzostwach świata w Wenezueli za wyścig drużynowy.

Byłem kilkakrotnie mistrzem Polski. Wygrałem wieloetapowe wyścigi: Bałtycki Wyścig Przyjaźni, Dookoła Szkocji i Dookoła Nadrenii.

W 1976 roku zostałem łodzianinem roku w plebiscycie „Odgłosów".

— W 1975 roku miał pan na krótko brązowy medal na mistrzostwach świata w Belgii, ale go panu odebrano. Dlaczego?

— Było bardzo gorąco. Kto nie ścigał się na rowerze, ten nie wie jak smakuje szklanka wody na setnym kilometrze. Wziąłem bidon z wodą poza strefą buforową. Wszyscy brali, ale sędzia akurat mnie zauważył i straciłem medal.

— Po 1977 roku zniknął pan jakoś z szosy.

— Niezupełnie. W 1978 roku pojechałem na wyścig Dwie Kalifornie. W Meksyku potrącił mnie samochód i miałem złamane żebra. W 6 tygodni po wypadku startowałem w wyścigu Dookoła Austrii i wygrałem nawet dwa etapy. Ale już w 1977 roku dowiedziałem się z gazety, że trener Zbigniew Rusin nie widzi mnie w drużynie reprezentacyjnej.

— Co się stało?

— Tego dokładnie nikt nie wie, a ci co wiedzą, wolą nie mówić. Było to jesienią 1977 roku. Szykowało się zgrupowanie w Krynicy. Żona była wówczas w ciąży i dostaliśmy nowe mieszkanie. Umówiłem się z trenerem Rusinem, że do Krynicy raczej nie pojadę i będę się sam przygotowywał. Zbigniew Rusin powiedział: — to wpadnij na dwa, trzy dni na obóz. Nie bardzo widziałem sens takiego wyjazdu i nie pojechałem. No i zrezygnowano ze mnie. Uważam, że w 1978 roku byłem jeszcze w dobrej formie i mógłbym mieć sukcesy. Ale zaraz po wypadku w Meksyku proponowano mi najtrudniejsze imprezy. Nie było to w porządku.

— Wtedy skończył pan z kolarstwem?

— Nie. Jeździłem jeszcze przez trzy lata we „Włókniarzu", trochę jeździłem na torze. Z Janem Kudrą — jako trenerem — pojechałem na wyścig w górnych Pirenejach. Wygrałem nocne kryterium i na tym skończyłem swoją karierę. Dostałem piękne kwiaty — a było to o drugiej godzinie w nocy — i dałem je Jankowi Kudrze, bo bardzo go cenię. Zawsze był dla mnie wzorem sportowca.

— Nie myślał pan o zawodowstwie?

— Sądzę, że byłoby to możliwe po zdobyciu medali olimpijskich. Ale wówczas kolarzom nie pozwalano wyjeżdżać. Nie wyrażano więc zgody i tak jakoś minęło. Ryszard Szurkowski nawet próbował, ale bez rezultatów.

— Czy jako kadra byliście zgranym zespołem?

— Różnie z tym bywało, jak to w zespole. Ale raczej tak.

— A jednak w 1974 roku Janusz Kowalski zaskoczył Szurkowskiego i zdobył mistrzostwo świata, czego mu Szurkowski nie mógł ponoć zapomnieć.

— Było tak. Ale już następnym razem Tadek Mytnik, który był prawą ręką Szurkowskiego, skutecznie go zablokował i nic już nie mógł zrobić. Janusz Kowalski był zawodnikiem bardziej myślącym o sobie niż o kolegach i zespole.

— W waszych czasach nie słychać było o różnych aferach handlowych. To w kolarstwie przyszło dopiero później.

— Byłoby nam zwyczajnie wstyd. A i prezes Włodzimierz Gołębiewski szczególną uwagę zwracał właśnie na te sprawy. Wiele nam mówił o godności reprezentanta Polski. Prezes Gołębiewski bardzo dbał o to, żebyśmy mieli jak najwięcej kontaktów z innymi drużynami, z innymi zawodnikami. Dla kolarzy taka zagraniczna konfrontacja jest przecież bardzo pożyteczna. Dbaliśmy więc o to, aby ani krajowi, ani jemu nie przynieść wstydu.

Ale były i inne sprawy, o

Łódzcy kolarze i łódzkie etapy w Wyścigu Pokoju

W tym roku, po 3-letniej przerwie, po raz dwudziesty Wyścig Pokoju zawita do Łodzi.

W 1946 r. dziennikarze „Głosu Ludu" (dziś „Trybuna Ludu") i „Rudeho Prava" postanowili zorganizować wielki wyścig kolarski, odbywający się na terytoriach dwóch sąsiadujących ze sobą krajów. Po wielu rozmowach i rozważeniu wszystkich za i przeciw,

W 1948 R. WYSTARTOWALI

kolarze z Warszawy do Pragi oraz z Pragi do Warszawy. Trasa pierwszego z nich wynosiła 859 km i podzielona była na 5 etapów, a drugiego 1104 km i 7 etapów. Wyścig nie nazywał się Wyścigiem Pokoju (nazwę taką otrzymał dopiero w 1950 r.) i rozpoczął się 1.V.1948 r. zarówno w Warszawie, jak i w Pradze.

Na trasach obu wyścigów nie zabrakło łodzian. W Wyścigu Warszawa-Praga w I drużynie Polski wystartował Lucjan Pietraszewski (Partyzant—Łódź), a w II drużynie: Czyż (ŁKS), Grzelak (Partyzant) i Wojcieszek (Zjednoczenie-Łódź). Indywidualnie jechał Stolarczyk z Rudy Pabianickiej. Wówczas nie było ograniczeń i każdy kraj mógł wystawić tyle drużyn ile tylko chciał. Można było także startować indywidualnie. Na trasę z Pragi do Warszawy wyruszył w barwach I drużyny Teofil Sałyga (Partyzant), a w barwach II drużyny — Jankowski (Odzież). Indywidualnie pojechali Gabrych (Odzież) i Leśkiewicz (Odzież). Nie tylko szerokim udziałem kolarzy Łódź zaznaczyła swoją obecność w tym I Wyścigu. To właśnie nasze miasto miało zaszczyt być pierwszym miastem etapowym Wyścigu Warszawa — Praga.

1.V. 1948 r. z Warszawy do Łodzi wyruszyło 65 kolarzy z 10 drużyn. Meta znajdowała się na ul. Piotrkowskiej przed redakcją „Głosu Robotniczego". Zawodnicy wjeżdżali do Łodzi od strony Piotrkowa. Do mety zmierzali ulicą Rzgowską przez Plac Leonarda (dziś Plac Niepodległości — przyp. W. L.) i ulicą Piotrkowską. Etap wygrał Czechosłowak Vesely i zdobył nagrodę prezydenta m. Łodzi H. Stawińskiego, przeznaczoną dla zwycięzcy etapu — 5-lampowy aparat radiowy firmy „Aga". Puchar „Głosu Robotniczego" dla najlepszego łodzianina na mecie przypadł w udziale Grzelakowi, który zajął 6-19 m.

A oto jak opisywał red. Królewski z „Głosu Robotniczego" ostatnie kilometry I etapu: „Od Rzgowa szosa zaczyna roić się kibicami łódzkimi. Pełno spotykamy aut i motocykli, ale tym razem wszystko stoi po bokach i nie utrudnia jazdy zawodnikom. Publiczności coraz więcej. Gęste jej szpalery wyciągają się w kilometry. Z daleka dostrzegamy kominy Łodzi. Jest godzina 16.05... Wpadamy w ul. Piotrkowską. Jak okiem sięgnąć morze głów. Ale jezdnia jest wolna. To nas nieco pokrzepia na duchu. Czerwony nasz wóz szybko podąża na metę. Piotrkowska jest tak przeludniona, że nie orientujemy się nawet jakie mijamy przecznice. Tłum na chodnikach, w oknach, na balkonach, a nawet na słupach od przewodów elektrycznych... O godz. 16.15 rozległ się sygnał: „jadą". Wśród tłumu przeszedł prąd. Czarne szpalery widzów zafalowały, wystąpiły z brzegów chodników. Z daleka dostrzegamy czerwoną koszulkę, która nas peszy. Pietraszewski jechał przecież w biało-czerwonej (kilka kilometrów przed metą był na czele — przyp. W. L.). Za chwilę białą taśmę mety przecina przednie koło Czecha Vesely...".

Zainteresowanie wyścigiem w Łodzi jak też i w innych miastach było ogromne i przerosło najśmielsze nawet oczekiwanie organizatorów. Jako ciekawostkę podam, że kolarze zostali zakwaterowani w Łodzi w hotelach: Grand, Savoy i Polonia, a posiłki jedli w „Malinowej".

Pietraszewskiemu nie udało się wprawdzie wygrać w rodzinnym mieście, ale za to zwyciężył na III etapie Wrocław — J. Góra. Na tym samym etapie inny łodzianin Czyż złamał rękę, ale wystartował do następnego etapu z ręką w gipsie. Jego bohaterską jazdę przerwał dopiero upadek na V etapie i kontuzja drugiej ręki. Twardzi to byli ludzie ci kolarze. Najlepiej świadczą o tym słowa kolegi Pietraszewskiego z drużyny Wójcika: „Jeszcze chciałem dwa słowa poświęcić Pietraszewskiemu, bo to był wielki kolarz. Też rwał się do akcji, niczego się nie bał. Raz mnie mocno zadziwił. Wywrócił się i mocno pokaleczył. Patrzę, a on tę ranę naciera... płaskiem! I myśli pan, że coś mu się stało? Nie, przyszło. Tak, tak, lalusie nie mieli wtedy co robić na szosie" („P.S." nr 75 z 13.IV.1984 r.).

Wyścig zakończył się w Pradze 5.V.1948 r. Pietraszewski zajął 11 miejsce. „Żebym miał trochę szczęścia — żalił się Pietrek — wyścig mógłbym wygrać, gdyż miałem „kompresję". Ale cóż... W ostatnim etapie miałem 5 gum. Gdyby chociaż trzy — to jeszcze mógłbym go może wygrać..." („G.R." z 6.V 1948 r.).

Cztery dni później zakończył się Wyścig Praga — Warszawa. Tutaj łodzianom wiodło się znacznie gorzej, a jadący w I drużynie Sałyga nie ukończył go.

W 1949 R. ZREZYGNOWANO

z rozgrywek dwóch równoległych wyścigów i kolarze wystartowali z Pragi do Warszawy. Polacy wystawili trzy zespoły, w których nie zabrakło łódzkich kolarzy, choć startujących wówczas w barwach warszawskiej Gwardii. I tak w I drużynie pojechał Pietraszewski, w II — Sałyga i Czyż, a w III — Leśkiewicz. Kolarze startowali na rowerach „Bałtyk" z fabryki w Wirku.

8.V.1949 r. w Łodzi kończył się VII (przedostatni) etap z Wrocławia długości 212 km. Kolarze jechali ulicami Pabianicką, Piotrkowską, Nowotki i 19 Stycznia do mety na stadionie w Helenowie. Zwyciężył ponownie Vesely (CSRS). Pietraszewski był czwarty, a Sałyga czternasty.

Sprawozdawca „GR" relacjonował: „W Helenowie dawno nie oglądaliśmy już takich tłumów i takiego entuzjazmu. Stadion wprost huczał od braw i od krzyków dopingujących każdego z przybyłych na tor zawodników, a niemal już szalał, gdy przy wjeździe ukazała się biało-czerwona koszulka Polaka".

Ostatni etap Wyścigu z Łodzi do Warszawy przebiegał pod znakiem doskonałej jazdy łódzkich kolarzy: Pietraszewskiego, który był pierwszy na mecie i Sałygi, który był trzeci. W całym Wyścigu Pietraszewski zajął 7 miejsce, a Sałyga — 9.

Od 1950 r. każdy kraj mógł wystawić tylko jedną drużynę. Mimo tego ograniczenia w 6-osobowej reprezentacji Polski znalazło się dwóch łodzian: Sałyga (Gwardia) i Gabrych (ŁKS).

W Łodzi kończył się II etap po raz pierwszy na stadionie ŁKS

1 MAJA 1950 R. PIERWSZY LINIĘ METY

na łódzkim stadionie minął 20-letni rodak z zespołu Polonii Francuskiej — Bronisław Klabiński. Szósty był Sałyga, piętnasty Gabrych. Kryształowy puchar „GR" dla zwycięskiego zespołu w Łodzi zdobyła Polonia Francuska.

A tak wyglądał sam finisz: „... na ostatniej prostej Klabiński naciska jeszcze mocniej pedały i mija wśród frenetycznych oklasków wysokiego Duńczyka (Emborga — przyp. WL). Z klatek unosi się w przestworza 1500 ptaków — zwiastunów pokoju. Publiczność z entuzjazmem bije brawa i nie dostrzega, że na bieżnię wpadają już inni... jako szósty łodzianin Sałyga witany żywo przez swoich ziomków".

W tych latach panował miły zwyczaj fundowania nagród dla kolarzy przez władze miasta i zakłady pracy. I tak w 1950 r. KŁ PZPR ufundował statuetkę żubra z brązu, wojewoda Szymanek — srebrną papierośnicę, prezydent Minor — zegarek „Doxa", KW PZPR — 6-lampowy radioodbiornik „Aga". Łódzkie zakłady pracy przeznaczyły na nagrody dla poszczególnych drużyn m.in.: 6 kuponów popeliny dla Anglików, 6 kompletów obrusów z serwetkami dla Duńczyków, mapniki generalskie, 6 teczek skórzanych, kożuszek i parę rękawic dla Francuzów (szczególne względy mieli widać Francuzi w naszym mieście), 6 pidżam dla kolarzy NRD, 6 teczek dla Polonii Francuskiej, chustki i portfele dla Rumunów, 6 płaszczy gumowych i krawatów dla Węgrów. Jakże śmiesznie wyglądają te nagrody w porównaniu z dzisiejszymi, wyrażającymi się raczej w szeleszczących banknotach.

W ogólnej klasyfikacji Wyścigu Gabrych zajął 18 m. i był drugim z Polaków. Sałyga był 26.

ROK 1951. IV WYŚCIG POKOJU.

W reprezentacji Polski po raz trzeci znalazł się 33-letni szofer z Łodzi Pietraszewski (ŁKS — Włókniarz). Kolarz tyle błyskotliwy, co i pechowy. Na VII etapie, dzień przed przyjazdem do Łodzi, choroba żołądka wykluczyła go z szeregów startujących. 8.V.1951 r. wobec 30 tys. widzów zgromadzonych na stadionie ŁKS, zwyciężył Ružička z CSRS, który trasę z Wrocławia do Łodzi pokonał w 6:53,03. Drużynowo wygrali także Czechosłowacy. Popularność Wyścigu była już tak duża w naszym mieście, że nawet nieustannie padający deszcz nie odstraszył tysięcy ludzi, witających gorąco i serdecznie kolarzy. Nowością było zrzucanie nad stadionem z samolotu kolorowych wstęg z umieszczonymi w nich komunikatami z trasy etapu.

W 1952 R. PO RAZ PIERWSZY

trasa Wyścigu przebiegała przez Berlin. Tak o tym fakcie pisał „GR": „WP" to wyraz międzynarodowej solidarności i przyjaźni, jakie łączą ludzi pracy na całym świecie. Fakt, że w tym roku w gronie organizatorów tej imprezy znaleźli się przedstawiciele NRD, że trasa wyścigu przebiegać będzie przez zaprzyjaźniony z nami kraj leżący na zachód od granicy nad Odrą i Nysą, jest świadectwem nowej, ścisłej więzi, łączącej narody polski i czechosłowacki z odrodzonym narodem niemieckim...".

Po raz pierwszy zabrakło na trasie Wyścigu Pokoju kolarzy łódzkich, ale łodzianie oglądali zawodników na mecie II etapu Warszawa — Łódź w dniu 1 maja 1952 r. 45 tys. widzów na rozbudowanym i powiększonym stadionie ŁKS (5 razy tyle było na ulicach), miało możność podziwiać czwarty już triumf kolarza CSRS w naszym mieście. Po Veselnym i Ružičce zwyciężył 29-letni elektromechanik z Litvinowa — Stanisław Svoboda, a drużynowo jego koledzy. W nagrodę za zwycięstwo otrzymał aparat fotograficzny i makatę. Redakcja „GR", ufundowała nagrodę (aparat radiowy) dla najmłodszego kolarza. Zdobył ją 18-letni Holender Van Ingen. Warto jeszcze wspomnieć, że Wyścig Pokoju doczekał się swojej piosenki. Powstała ona 23.IV. 1952 r. i wykonywana była przez chór Polskiego Radia. Autorami jej byli Alfred Gradstein — muzyka i Wojciech Lipniacki — słowa.

W 1953 R. ŁODZIANIE ODNIEŚLI SUKCES

na długo przed rozpoczęciem kolejnego VI Wyścigu Pokoju. Otóż projektodawcą plakatu W.P. był łódzki artysta-grafik Paweł Świątkowski. W reprezentacji znalazł się Ulik (Gwardia Ł.), a rezerwowym był Liszkiewicz (Gwardia Ł.).

Niestety Ulik nie był przygotowany do tak trudnej imprezy i wycofał się na 80 km górskiego VI etapu Bad Schandau — Lipsk (187 km).

13.V.1953 R. ODBYŁ SIĘ XI ETAP

Stalinogród (dziś Katowice) — Łódź (206 km). W dniu tym w „GR" ukazało się ogłoszenie tej treści: „Łodzianie dekorujcie okna Waszych mieszkań na przyjazd kolarzy, uczestników VI WP Praga — Berlin — Warszawa".

Bohaterem etapu był Stanisław Królak, który jeszcze 10 m przed metą na stadionie ŁKS prowadził. Obejrzał się jednak do tyłu, zachwiał i upadł. Z rowerem w ręku dobiegł do mety, ale zajął jedynie 3 miejsce. Zwyciężył Pawlisiak z Polonii Francuskiej.

Wielką popularnością cieszyły się wśród łodzian meldunki z tras etapów, nadawane przez głośniki umieszczone przed redakcją „GR". Dziennikarz tej gazety red. Stefan Marski tak o tym pisał: „Gdy z głośników rozlegały się dźwięki muzyki — zapowiedź, że wkrótce nadane zostaną meldunki — przechodnie zatrzymywali się na trotuarach, a młodzież ławą zalegała chodnik. Jak wielkie jest zainteresowanie wyścigiem świadczy fakt, że przed głośnikiem zatrzymywały się nawet taksówki, a kierowcy i pasażerowie z pośpiechem otwierali drzwi, aby usłyszeć choć strzępki meldunków".

W 1954 ROKU

po raz pierwszy wystartowali kolarze ZSRR. Do reprezentacji Polski nie zakwalifikował się żaden kolarz łódzki. Stan taki będzie trwał aż do 1958 r. Dnia 3.V 1954 r kończył się w Łodzi II etap Warszawa — Łódź (125 km). Wreszcie doczekaliśmy się wspaniałego zwycięstwa kolarzy polskich. Wygrał jadący w żółtej koszulce lidera — Wilczewski, a drugim był mały Grabowski, pupil całej Łodzi. Jak wielką popularnością cieszył się Eli-

których nie wszyscy wiedzą. Dostawaliśmy trochę pieniędzy, jak to w sporcie. Kupowaliśmy za nie różne części zapasowe. Kiedyś musieliśmy kupić nawet koszulki i dresy, żeby przyzwoicie wyglądać na wyścigu, bo to w co nas zaopatrzono było o wiele gorsze, a koszulki wręcz utrudniały jazdę.

Dzieliliśmy się też nagrodami. Pracowaliśmy wszyscy na lidera, więc każdy dostawał proporcjonalnie do swego wkładu pracy i wysiłku.

— A jakich trenerów najbardziej ceniliście?

— Wie pani, to jest dość skomplikowana sprawa. Właściwie dobrze by było, aby trener też trochę pomęczył się na rowerze, żeby wiedział jak smakuje woda, gdy się ziądzie z roweru. Ale to nie może być reguła. Feliks Stamm nie był bokserem, a był doskonałym trenerem. Ale on był też znakomitym wychowawcą. Wiedział, co siedzi w człowieku i umiał to wykorzystać. Więc chyba trener musi być dobrym wychowawcą, a nie tylko mieć dużą wiedzę fachową.

Mieliśmy takiego szefa wyszkolenia, a na krótko trenera, który nazywał się Wojciech Walkiewicz. Też nie był kolarzem i jakoś go nie bardzo lubiliśmy. Na zgrupowaniu czepiał się, jak ktoś miał dłuższe włosy. Baliśmy się go. Ale teraz, już z perspektywy, jak się spotkamy i rozmawiamy o dawnych czasach, to cenimy go bardzo. Miał twardą rękę. I to chyba musi być też cechą dobrego trenera.

— Nie mówi pan nic o Zbigniewie Rusinie. Był też pana trenerem. Postać w sporcie bardzo kontrowersyjna.

— Wolałbym na ten temat się nie wypowiadać.

— A pan sam nie myślał o tym, aby zostać trenerem?

— Nie, to by nie było dobre.

— Dlaczego Zawodnicy często zostają trenerami.

— Ale też i na nich inaczej patrzą. Oczekuje się od nich natychmiastowych i dobrych wyników. Oczekuje się sukcesów. A na to przecież trzeba czasu, trzeba pracy.

Gdyby jednak zwrócono się do mnie o pomoc, to chętnie pojechałbym na dwa, trzy tygodnie na zgrupowanie i podzielił się swoimi doświadczeniami. Jakoś nikt o tym nie myśli. Nie było takich propozycji.

— Co porabiają pana koledzy, Janusz Kowalski, Stanisław Szozda, Ryszard Szurkowski, Tadeusz Mytnik? Spotykacie się?

— Czasami. Z Ryśkiem spotykam się dość często. Byliśmy razem na balu sportowców. Ale nie wiem na przykład, co porabia Janusz Kowalski. Wiem tylko, że mieszka w Poznaniu. Staszek Szozda pokazywał się w telewizji, próbował pomagać przy którymś wyścigu, miał kwiaciarnię. Teraz jakoś zniknął. Ryszard Szurkowski jest w warszawskim „Polonezie". Broni pracy magisterskiej we Wrocławiu. Zaproponowano mu, żeby pomagał szkolić juniorów, ale mu odradzałem. Uważam, że ma nazwisko, pozycję, doświadczenie, wiedzę. Moim zdaniem szkoda go dla juniorów.

— Dlaczego, Grzegorz Lato na przykład marzy o tym, aby uczyć młodych?

— To trochę inna sprawa. Uważam, że Ryszard Szurkowski powinien być trenerem reprezentacji.

— Pewnie takiej propozycji nie otrzymał.

— Nic o tym nie wiem, aby otrzymał.

— Nie wspomniał pan nic o Tadeuszu Mytniku.

— On jeszcze trochę jeździ. Słyszałem, że startował w tegorocznym kryterium MON przed Wyścigiem Pokoju.

— Nie żal panu kolarstwa?

— I tak, i nie. Tak, bo wiele lat spędziłem na rowerze. Najpierw na torze, później na szosie. Mógłbym jeszcze ze dwa, trzy lata być przydatny. No, ale stało się.

A nie dlatego, że moje rozstanie z kolarstwem nie było przyjemne. Najpierw z kadrą, o czym już mówiłem. Później z „Włókniarzem". Grożono mi nawet sądem. Domagano się zwrotu sprzętu, który zużyłem w czasie swojej sportowej kariery. Jakby sprzęt ten nie niszczył się i nie podlegał kasacji. Zresztą sprzęt dostawałem z PZKol, a nie z „Włókniarza". Bałbym się nawet taki zniszczony sprzęt komuś dać. Mogłoby się to skończyć tragicznie.

— Jeździ pan czasem na rowerze?

— Czasami sobie siadam na rower i jadę te parędziesiąt kilometrów. W niedzielę oczywiście. Rzadko mi się to zdarza. Jak moi dwaj chłopcy podrosną, to może będziemy jeździli razem.

— Chciałby pan żeby byli kolarzami?

— Czy ja wiem? Byłem niedawno u lekarza, bolało mnie kolano. Lekarz mnie zbadał i pyta, co ja robiłem, że mam stawy jak siedemdziesięcioletni starzec. Ale sport powinni uprawiać

— Co panu dał sport?

— Pozwolił poznać świat i wielu różnych ludzi. Przede wszystkim jednak nauczył odporności, umiejętności przyjmowania porażek, których życie nam nie szczędzi.

— Zmieńmy na chwilę temat. Dlaczego, pana zdaniem, Andrzej Ruciński uparł się, aby kadra kolarzy jeździła na krajowych „Rometach" zamiast na zagranicznych rowerach, które leżą w magazynach?

— Jeśli chodzi o wagę, to „Romety" nie są złymi rowerami. Są one zresztą montowane z zagranicznych części. Również rama jest robiona z zagranicznych rur. Ale montaż odbywa się w dość kiepskich warunkach, nieprecyzyjnie.

Mogę też domyślać się, że Andrzej Ruciński obawia się, że w przypadku skorzystania z zagranicznego sprzętu narazi się „Rometowi", a ten zaprzestanie produkowania rowerów dla kadry. Wtedy sytuacja byłaby trudna, a nawet beznadziejna, bo — jak wiadomo — nie mamy dewiz na kupno rowerów za granicą. A są one bardzo drogie. Nie mamy też dewiz na kupno części zamiennych, a rowery wyczynowe szybko się niszczą i wymagają ciągłej wymiany części. W takiej sytuacji korzystne jest mieć krajowego wytwórcę.

— I jeszcze pytanie o ekipę NRD. Co jest podstawą sukcesów tej drużyny, bo to, że jest lepsza od naszej nie ulega najmniejszej wątliwości.

— O dwie klasy chyba. A co jest przyczyną? Praca nad doskonaleniem sprzętu. To przecież w NRD wymyślono rowery do jazdy indywidualnej na czas. Dalej — reżim i dyscyplina. Dobra organizacja szkolenia i pracy. No i medycyna sportowa. Trenowaliśmy kiedyś w Bułgarii, obok trenowali kolarze z NRD. Dowiedzieliśmy się od nich, że codziennie wyniki badania krwi były przekazywane do Lipska i rano wracały z Lipska konkretne wskazania, jak postępować z każdym kolarzem. U nas takie rzeczy robi się na wyczucie. Od tego czasu metody w szkoleniu w NRD bez wątpienia posunęły się naprzód.

— Czym się pan teraz zajmuje?

— Zajmuję się produkcją wykładzin podłogowych z PCV. Robimy to razem z Józefem Staroniem, kolarzem z lat sześćdziesiątych. Wiele jemu zawdzięczam.

A wie pani, że Józek Staroń wybiera się do Gryfina na dwuetapowy wyścig old boyów? Najpierw zarzekał się, że już nigdy nie wsiądzie na rower, aż go nagle wzięło. Zresztą namówiłem go do tego, bo się wahał. A pewnie pani nie wie, że odbywają się nawet mistrzostwa świata dla old boyów. Teraz będą w Austrii.

— A może i pan wystartuje kiedyś jako old boy?

— Czy ja wiem? Nawet o tym nie myślę. Ale chyba nie.

— Pożyjemy, zobaczymy.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

■

---

giusz Grabowski, najlepiej niech świadczy fakt, że cały stadion po zakończeniu etapu skandował: „Elek! Elek!", a nie „Mietek!" (imię zwycięzcy Wilczewskiego).

Tak ostatnie metry etapu relacjonował sprawozdawca „GR": „Pierwszy wpadł Wilczewski. W ciągu kilkunastu sekund można było ogłuchnąć i na wieki stracić głos. W fantastycznym uniesieniu krzyczeli wszyscy i nikt nikogo nie słyszał. A Mietek jechał na metę ze swobodą dojrzałego mistrza. Za nim pedałował mikroskopijny Elek. Tak wygrali oni etap".

Organizacja etapów w Łodzi była zawsze wzorowa. Nic dziwnego tedy, że Łódź zdobyła sztandar przechodni za najlepszą organizację, ufundowany przez Lipsk.

W 1955 R.

kończył się w naszym mieście XII etap Stalinogród — Łódź (205 km). Na powitanie kolarzy red. L. Szumlewski i R. Machnikowski (słowa) oraz A. Lustig (muzyka) napisali specjalną piosenkę. Etap wygrał słynny G.A. Schur (NRD). Trzeci był Królak.

„Łódź w rywalizacji międzyetapowej jest nie do pobicia" — taka była opinia gości zagranicznych, obserwujących Wyścig Pokoju. I jeszcze jedna opinia zagranicznego dziennikarza (obie pochodzą z „GR"), „nie było ulic. Nie było domów. Byli tylko... łodzianie, witający uczestników WP tak jak to... tylko chyba w Łodzi możliwe. Po prostu — po łódzku...".

W 1956 R.

Wyścig Pokoju osiągnął apogeum swojej popularności. Wystartowały 24 drużyny i 141 kolarzy. Rekord nie pobity do dnia dzisiejszego. W Łodzi na mecie II etapu z Warszawy (3.V. 1956 r.) ponownie wygrał płowowłosy kolarz, jadący w wielkich, rogowych, ciemnych okularach — G.A. Schur z NRD. Mimo padającego deszczu zgromadziło się na ulicach blisko ćwierć miliona łodzian.

DNIA 14.V.1957 R.

Łodzianie podziwiali długi, 20-kilometrowy, brawurowy finisz Belga Proosta, zwycięzcy etapu Katowice — Łódź (215 km.), odbierającego po drodze huragany oklasków za swoją wspaniałą klasę. Najlepszy z Polaków — Paradowski zajął 3 miejsce. W Łodzi znów padał deszcz, ale ciekawa rzecz, na kolarzy nie spadła nawet kropla. Wraz z wjazdem zawodników do miasta deszcz ustał jak na zamówienie.

Po kilku latach przerwy,

W 1958 R.

znów pojawił się łódzki kolarz w drużynie na Wyścig Pokoju. Był nim 24-letni Jerzy Jankowski (Gwardia-Łódź). Zajmował jednak dalekie miejsca na etapach, a w ogólnej klasyfikacji uplasował się na 37 miejscu, ze stratą 1 godz. 11 minut do zwycięzcy Holendra — Damena. II etap Warszawa — Łódź (140 km w dniu 3.V. 1958 r. wygrał kolarz radziecki Kapitonow, a Łódź jak zwykle podbiła gościnnością serca wszystkich uczestników WP.

W 1959 R.

w dn. 15.V. rozegrano XII etap Siewierz — Łódź (171 km), składający się z dwóch podetapów. Najpierw rozegrano jazdę indywidualną na czas do Częstochowy, a po krótkim odpoczynku kolarze wyruszyli do Łodzi. Był to spokojny i przyjacielski etap. Na metę wpadli wszyscy razem, zmęczeni przedpołudniową jazdą na czas. Zwyciężył Włoch Venturelli.

W 1960 R.

Łódź jest miastem etapowym po raz ostatni przed 4-letnią przerwą, podczas której kolarze omijali nasze miasto ze względu na zła nawierzchnię ulic i bardziej urozmaicone trasy wyścigów.

8.V. 1960 r. etap Katowice — Łódź (208 km) wygrał 26-letni dekarz z Lipska — Adler. Piąte miejsce zajął nowy ulubieniec publiczności — Gazda. Niemiec Adler za zwycięstwo w Łodzi otrzymał telewizor i aparat fotograficzny. Drugi na mecie, jego rodak Ekstein — lodówkę i kilim ludowy. Gazda — radioodbiornik i kupon materiału. A co w 1960 r. jedli kolarze w Łodzi na kolację? Proszę, oto menu: dwie porcje masła, szczupak faszerowany, sałatki mięsne, śledź w oliwie, rzodkiew i mizeria, stek cielęcy z jajkiem, woda sodowa, kawa.

W 1962 r. zadebiutował w reprezentacji Polski 25-letni łodzianin

JAN KUDRA

(Społem-Łódź), jeden z najwybitniejszych kolarzy polskich w historii i rekordzista wśród łódzkich kolarzy pod względem startów w Wyścigu Pokoju (5 startów). W roku debiutu Kudra zajął 13 m. (drugie z Polaków). Ale rok później był już najlepszym z polskich kolarzy i zajął 7 miejsce. W 1964 r. został wybrany kapitanem drużyny i nie zawiódł jej zaufania. Na mecie wyścigu był ponownie najlepszym z Polaków i zajął 4 miejsce. W tym też roku w Łodzi kończył się II etap — jazda drużynowa na czas z Sochaczewa do Łodzi (84 km). Wygrali zawodnicy NRD, Polacy na 5 miejscu. W 1965 r. kolarze znów ominęli Łódź, by powrócić do niej w roku następnym. Kudra zajął na mecie Wyścigu doskonałe 3 miejsce. W 1966 r. Jan Kudra wystartował po raz ostatni w swej karierze w Wyścigu Pokoju. Nigdy dotychczas nie udało mu się wygrać etapu, co było jego marzeniem. I właśnie to marzenie ziściło się podczas ostatniego jego startu. Kudra wygrał IV etap Hradec Kralove — Brno (147 km). Na mecie Wyścigu w Berlinie jeszcze raz okazał się najlepszym z Polaków. Zajął 7 miejsce.

VIII etap Katowice — Łódź długości 205 km wygrał 27-letni kolarz z NRD — Hoffmann i zespół Danii. Najlepszy z Polaków Zieliński był dziesiąty.

LATA 1967—1972

były „chudymi" latami dla łódzkiego kolarstwa. Ani jeden zawodnik z okręgu łódzkiego nie uczestniczył w Wyścigu Pokoju w tych latach, a i trasa Wyścigu rzadko przebiegała przez nasze miasto. W 1969 r. Wyścig rozegrano wyjątkowo na trasie Warszawa — Berlin ze względu na wydarzenia, jakie miały miejsce w CSRS, w 1968 r. W Łodzi kończył się wówczas II etap z Warszawy długości 158 km. Okazał się on bardzo szczęśliwy dla polskich kolarzy. Zwyciężył po samotnej 8-kilometrowej ucieczce Ryszard Szurkowski, mimo że przebił gumę. Łodzianie nie wiedzieli jeszcze wtedy, że następnym razem będą witać kolarzy dopiero za 6 lat.

W 1973 R.

pojawił się wreszcie w reprezentacji łodzianin Mieczysław Nowicki (Włókniarz-Łódź). Jego specjalnością jako byłego torowca była jazda indywidualna na czas. W łącznej klasyfikacji Wyścigu zajął dobre 10 miejsce, ale był dopiero piąty z Polaków. Nic dziwnego zresztą, skoro najgorszy z naszych zawodników był na 12 miejscu. Mieliśmy wówczas wspaniałą drużynę. Wyścig wygrał przecież Szurkowski przed Szozdą, a drużynowo triumfowali także Polacy.

Wyścig Pokoju w latach 70-tych nie cieszył się już taką popularnością, jak w latach 50-tych i 60-tych. Stał się w zasadzie mistrzostwami krajów socjalistycznych, gdyż tylko one traktowały go poważnie. Pozostałe kraje przysyłały raczej drugi lub trzeci „garnitur" swoich kolarzy. Atrakcyjniejsze nagrody w innych wyścigach na Zachodzie i mniej zawiły regulamin zrobiły swoje.

W 1975 R.

Wyścig zawitał ponownie do Łodzi. 21.V. 1975 r. etap Konin — Łódź (112 km) wygrał na stadionie ŁKS reprezentant Polski Stanisław Boniecki. Nowicki startujący po raz drugi w barwach Polski zajął na mecie Wyścigu dopiero 55 miejsce, ale zasłynął tym, że na VIII etapie oddał bez wahania swój rower Szurkowskiemu (wygrał ten etap jak i cały Wyścig), przez co stracił przeszło 14 minut i pogrzebał swoje szanse na lepszą lokatę.

ROK PÓŹNIEJ

na trasę majowego Wyścigu wyruszyło dwóch łodzian: po raz trzeci Nowicki i po raz pierwszy Tadeusz Zawada (Tramwajarz-Łódź). W łącznej klasyfikacji Nowicki był 8 a Zawada 33.

W 1977 r. w dniu Zwycięstwa rozegrano II etap Warszawa — Łódź (133 km). Meta znajdowała się tym razem nie na stadionie ŁKS, lecz na ul. Promińskiego. Zwyciężył kolarz radziecki Awierin, mimo że jeszcze 100 m przed metą prowadził całą stawkę Czesław Lang.

KRZYSZTOF SUJKA

(Społem-Łódź) był piętnastym łódzkim kolarzem i jak na razie ostatnim, jaki pojawił się na trasach Wyścigu Pokoju. Jest on rekordzistą wśród łodzian pod względem ilości zwycięstw etapowych, a pod względem ilości startów ustępuje jedynie Kudrze. Sujka zadebiutował w 1978 r. i był to debiut bardzo udany. Wygrał ostatni etap dookoła Warszawy, oraz klasyfikację górską Wyścigu. W łącznej klasyfikacji okazał się najlepszym z Polaków, zajmując 9 miejsce. Rok później było jeszcze lepiej. Sujka nie tylko potwierdził swoje umiejętności jazdy w górach, zajmując 4 miejsce wśród najlepszych „górali" Wyścigu, ale także udowodnił, że jest mistrzem rozgrywki finiszowej na ulicy. Wygrał dwa etapy pod rząd: IX z Opatowa do Warszawy (206 km) i X — kryterium uliczne w Szczecinie (58 km). A na XI etapie zajął 2 miejsce. W klasyfikacji indywidualnej Wyścigu ponownie był najlepszym z Polaków i zajął 3 miejsce. W 1980 r. Krzysztof Sujka znów wygrał dwa etapy, w tym jeden kończący się na stadionie. Łącznie w Wyścigu Pokoju odniósł 5 zwycięstw etapowych, a w 1980 r. był jeszcze raz najlepszym z Polaków, zajmując 7 miejsce w klasyfikacji generalnej.

W 1981 R.

po 4 latach przerwy, Łódź mogła ponownie podziwiać kolarzy i to w dodatku aż, na dwóch etapach. 20.V. 1981 r. rozegrano bowiem etap Opole — Łódź (183 km), a następnego dnia jazdę indywidualną na czas w Al. Włókniarzy. Meta pierwszego z tych etapów znajdowała się w Al. Politechniki przed Pałacem Sportowym. Zwyciężył Zagredtinow (ZSRR). Czwarty był Sujka, choć 400 m przed metą jeszcze prowadził. Zarzucano naszym kolarzom, że nie chcą wygrywać etapów, ze względu na niskie nagrody. W wywiadzie udzielonym red. Wójcickiemu z „GR" Sujka powiedział: „Pan wie dobrze w jakiej wysokości nagrody otrzymują zwycięzcy mniejszych wyścigów, a najlepszy na danym etapie w wyścigu (z Polaków — przyp. W. L.) nagradzany jest sumą 4 tys. zł. Ale zapewniam pana, że gdyby nagrodę za wygranie etapu stanowił tylko symboliczny wieniec laurowy, to też nie ma takiego kolarza w peletonie, który nie chciałby zwyciężyć. A przecież my też jesteśmy kolarzami".

Na mecie jednak nikt do Sujki nie miał pretensji. Nazajutrz jazdę indywidualną na czas wygrał Ludwig (NRD) przed Jankiewiczem, ale drużynowo zwyciężyli Polacy. Na mecie Wyścigu Sujka nie był tym razem najlepszym z Polaków. W ostatnim swoim starcie zajął 16 miejsce.

W tym roku Wyścig Pokoju przebiegać będzie znów przez Łódź, gdzie jak wskazują poprzednie lata, cieszy się on niezmiennie dużą popularnością. Kolarze, którzy będą przejeżdżać ulicami naszego miasta, mogą zawsze liczyć na gorące i serdeczne powitanie. Szkoda tylko, że na trasie tegorocznego Wyścigu nie będziemy oklaskiwać żadnego kolarza rodem z Łodzi.

ZWYCIĘZCY ETAPÓW W ŁODZI

Rok:	Indywidualnie:	Drużynowo:
1948	Vesely (CSRS)	CSRS
1949	Vesely (CSRS)	Rumunia
1950	B. Klabiński (Polonia Franc.)	Polonia Francuska
1951	Ružička (CSRS)	CSRS
1952	Svoboda (CSRS)	CSRS
1953	Pawlisiak (Polonia Franc.)	Polonia Francuska
1954	Wilczewski (Polska)	Polska
1955	Schur (NRD)	NRD
1956	Schur (NRD)	NRD
1957	Proost (Belgia)	Belgia
1958	Kapitonow (ZSRR)	ZSRR
1959	Venturelli (Włochy)	NRD
1960	Adler (NRD)	NRD
1966	Hoffmann (NRD)	Dania
1969	Szurkowski (Polska)	Polska
1975	Boniecki (Polska)	Hiszpania
1977	Awierin (ZSRR)	ZSRR
1981	Zagredtinow (ZSRR)	Rumunia
	Ludwig (NRD)	Polska

WITOLD LEWANDOWSKI ■

W kręgu fantastyki

ANDRZEJ MERCIK

Zamach stanu 2

U Wintera Dregner zastał dwóch mężczyzn: Jeden nazywał się Stevens i był specjalistą w zakresie techniki komputerowej, w drugim zaś ratownik z najwyższym zdumieniem rozpoznał inspektora policji, Karmana; tego samego, który tropił go po całej Europie, a w końcu aresztował. Wieczór w towarzystwie policjanta wydał się Dregnerowi tak niemiła perspektywa że prawnik musiał użyć całej swej elokwencji, zanim usadowił ich w fotelach naprzeciw siebie. W końcu ratownik musiał przyznać, że jego niechęć do Karmana jest niczym nie uzasadniona. Inspektor nie wyrządził mu żadnej krzywdy, a jego zeznania przed sądem bez wątpienia wpłynęły na złagodzenie wyroku.

Atmosfera, z początku napięta przy szóstej butelce tokaju rozluźniła się trochę. Przedyskutowali wyniki ostatniej olimpiady, rolę kobiet w długodystansowych lotach kosmicznych — w tej materii dosyć poważnie różnili się poglądami — aż skończyli na komputeryzacji życia społeczeństwa.

— Wiesz, Seb — Stevens konfidencjonalnie szepnął do Dregnera — to całe śledzenie społeczeństwa przez komputerowy system ewidencji i przewidywanie przyszłych zdarzeń jest zwykłą bzdurą.

Ratownik wytrzeszczył na niego oczy.

— Co ty pleciesz? Przecież KOSEW istnieje.

— Oczywiście, że istnieje — zgodził się inżynier. — Ale na podstawie posiadanych informacji może jedynie przewidywać trendy rozwoju społecznego. Natomiast nie jest w stanie określić szczegółowego przebiegu następstw drobnych zdarzeń, które często mogą mieć decydujący wpływ na ogólnospołeczne procesy. Pomyśl tylko, jak potoczyłyby się losy świata, gdyby Mahometowi nie powiodła się ucieczka z Mekki do Medyny. A przecież jej powodzenie zależało od wielu drobnych czynników. Gdyby któryś z nich zawiódł; gdyby na przykład prorokowi zabrakło wody na pustyni, być może, Arabowie pozbawieni duchowego przywódcy przyjęliby chrześcijaństwo. A jak powitaliby Azteków hiszpańskich konkwistadorów, gdyby nie wierzyli w przybycie białego brodatego boga zza morza? Przecież w takim przypadku przywieziono by Corteza do Tenochtitlanu w charakterze ofiary: wyrwano by mu serce na ołtarzu boga słońca. Ale KOSEW, gdyby wówczas istniał jakim cudem mógłby przewidzieć, że legenda o dobrym białym bogu może doprowadzić wielomilionowe państwo do zguby?

— No, KOSEW mógłby postąpić inaczej. Aby uratować państwo Azteków, wystarczyło izolować Corteza i jego wyprawa nie doszłaby do skutku.

Stevens uśmiechnął się triumfująco.

— Odsłoniłeś drugą stronę medalu. Izolacja Corteza niczego by nie zmieniła, bo przecież takich jak on, ogarniętych żądzą złota konkwistadorów było tysiące; ktoś by go zastąpił. Los państw indiańskich został przesądzony w momencie, kiedy Kolumb odkrył Nowy Świat. Podam ci inny przykład: Czy sądzisz, że gdyby Mikołaj Kopernik, a nie jego brat, zaraził się tradem w Italii, to do dzisiaj myślelibyśmy, iż Ziemia leży w centrum Wszechświata? Nie, mój drogi, tę prawdę ogłosiłby ktoś inny.

— Stev, do czego ty zmierzasz? — zapytał Dregner, czując, że nie tylko wino, ale również słowa inżyniera wprowadzają mu zamęt w głowie.

— Próbuję ci wykazać, że społeczeństwem można sterować tylko w ograniczonym zakresie, i tylko na poziomie działań strategicznych. Gdyby w średniowieczu umiejętnie blokowano wszystkie pomysły wypraw na Atlantyk, być może, państwa Indian uniknęłyby całkowitej zagłady. Natomiast ingerencja w szczegóły jest nieskuteczna z dwóch przyczyn. Po pierwsze: nie wiadomo, jaki szczegół ostatecznie okaże się najważniejszym ogniwem w łańcuchu przyczynowo-skutkowym i nie sposób tego przewidzieć. A po drugie: dziewięćdziesiąt dziewięć procent szczegółów, które wydają się istotne dla danego procesu społecznego, w gruncie rzeczy jest bez znaczenia i nie mogą one zmienić ogólnego trendu rozwojowego.

Dregner spojrzał na twarze Wintera i Karmana, przysłuchujących się w milczeniu całej rozmowie i nagle pojął, dlaczego prawnik zaproponował mu to spotkanie.

— Czy chcecie mnie przekonać, że w Rządzie Światowym zasiadają durnie, którzy nie rozumieją, że wszystkie decyzje o izolacji są bezsensowne, bo mają jedynie przypadkowy, a więc zarówno dobry jak i zły wpływ na rozwój społeczeństwa?

— Gorzej Seb — spokojnie odparł Winter. — My chcemy cię przekonać, że Rząd Światowy doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Zdjął ze stołu napoczętą butelkę wina i podał wszystkim wysokie szklanki napełnione zielonkawym płynem.

— Wypijcie to. Te dyskusje musimy zakończyć na trzeźwo.

Dregner machinalnie opróżnił szklankę i po chwili poczuł, że otępiające działanie alkoholu ustępuje.

— Przez parę lat zbieraliśmy informacje, aż stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość, że KOSEW wybiera ludzi do izolacji na zasadzie przypadku. Przypadkowy jest również czas odosobnienia. Steruje tym wszystkim generator liczb losowych.

— Ale KOSEW rzeczywiście zawiera kompleksową wiedzę o całym społeczeństwie — wtrącił Dregner.

— Przy podejmowaniu decyzji gospodarczych ta wiedza jest wykorzystywana lecz nie ma to nic wspólnego z izolacją obywateli.

— Więc po co utworzono tę fikcję...?

— To nie jest żadna fikcja — Winter przerwał ratownikowi. — Tym sposobem Rząd Światowy trzyma w ryzach całą ludzkość. Zwróć uwagę, że rząd nie ma opozycji. No bo kto zaryzykuje taką działalność jeżeli wie że KOSEW może uznać go za szkodnika i wsadzić do ośrodka odosobnienia na czas nieokreślony?

W dodatku, podszywając się pod KOSEW, można bez sądu zamykać wszystkich niepraworny śl nych. Wystarczy nacisnąć kilka klawiszy na pulpicie operacyjnym. Żaden rząd dobrowolnie nie zrezygnuje z takiego instrumentu władzy.

— Dlatego trzeba mu go odebrać siłą — dokończył Karman.

— Co zamierzacie uczynić? — zapytał Dregner; w głowie mu szumiało, ale już nie od alkoholu.

— Trzeba zniszczyć ten moduł systemu komputerowego, który wydaje decyzje o izolacji.

— A czy przewidzieliście reakcje społeczeństwa?

— Człowieku, prawie cała ludzkość tylko o tym marzy! Przecież widmo izolacji wisi nad każdym. Ciebie dotychczas interesowały jedynie doniesienia o katastrofach, ale porozmawiaj z ludźmi, poczytaj trochę, wsłuchaj się uważnie w audycje telewizyjne, a pozbędziesz się wątpliwości.

— My nie jesteśmy sami — dodał inspektor. — Stoimy na czele organizacji liczącej parę tysięcy osób ze wszystkich kontynentów.

— I nie boicie się, że was zdradzę?

— Sprawa jest poważna, Seb. Gdybyś próbował nas zdradzić — zginiesz.

*

Dregner z wypchanym marynarskim workiem na ramieniu ze zniecierpliwieniem obserwował tłum zapełniający peron podziemnej stacji metra. Lekarze odebrali mu klasę, Bregstein nie załatwił mu — szczerze mówiąc, nie mógł mu załatwić — żadnej pożądnej pracy i rozgoryczony ratownik pojechał w końcu do Wintera. Plan wysadzenia peryferyjnego modułu KOSEW-u był oczywiście do niczego i Dregner, skoro już zdecydował się na ten karkołomny wyczyn, musiał opracować go od nowa. Tylko jeden punkt w tym planie był niejasny. Ratownik nie wiedział — bo nie znalazł tego w zdobytych przez Stevensa częściowych schematach KOSEW-u — czy w szybie wentylacyjnym, którym miał się przedostać do komory z procesorem i pamięcią operacyjną, powietrze przepływa w górę, czy w dół. W drugim przypadku akcja skazana była na niepowodzenie, gdyż Dregner nie dałby rady wspiąć się pionową waską rurą w górę pod silny prąd powietrza. Tu musiał liczyć na szczęśliwy traf.

Ale właśnie wyłonił się nowy problem. Dregner nie mógł bez zwrócenia uwagi podróżnych wskoczyć do tunelu metra, dlatego Karman miał na drugim krańcu peronu zorganizować zamieszanie i przyciągnąć wzrok ludzi w tamtą stronę, ale spóźniał się z niewiadomych przyczyn. Ratownik musiał przepuścić już dwa pociągi i kiedy wściekły zamierzał wracać do konspiracyjnego mieszkania, tuż przed odjazdem trzeciego pociągu, w oddali usłyszał brzęk tłuczonego szkła i dzikie wrzaski: to inspektor zaczął działać. Podróżni zwrócili głowy w kierunku narastającego zbiegowiska, pociąg ruszył i po kilku sekundach zniknął w mrocznej czeluści tunelu, a ratownik skoczył na tory zaraz za ostatnim wagonem. Miał cztery minuty na pokonanie paruset metrów i otwarcie pokrywy kanału odwadniającego. Gdyby nie zdążył, wykryłoby go radarowe oko następnego pociągu.

Pokrywa była ciężka, ale przy pomocy lewarka podważył ją jakoś i wsunął się przez metrowej głębokości studzienkę do poziomego kanału wypełnionego cuchnącą wodą. Zatrzasnął pokrywę, kiedy po szynach łomotały już koła następnego pociągu. Odczekał, aż po wysiłku oddech i serce powróci do normalnego rytmu i ruszył w drogę.

Niemal przez godzinę kluczył niskimi betonowymi sztolniami po pas w wodzie, płosząc światłem latarki stada szczurów, zanim dotarł do żelbetowej ściany podziemnej części gmachu KOSEW-u. Miała grubość pięciu metrów i o sforsowaniu jej nie mógł nawet marzyć. Musiał wryć się w grunt niżej, w pobliże zbiorników z ciekłym helem; tam w jednym miejscu za półmetrową zaledwie warstwą betonu biegł szyb wentylacyjny. Na zakręcie kanału nawiercił sufit, założył kilka ładunków wybuchowych i odpalił je. Zawał odciął dopływ wody i dno kanału szybko się osuszyło. Przy okazji Dregner odciął sobie drogę powrotu, ale to ryzyko uwzględnił w planie. Dwoma następnymi mikrowybuchami wyrył w ziemi dziurę na swój wzrost i echosondą znalazł w betonowym bloku cieńszą warstwę, za którą znajdował się szyb.

Na stoperze sprawdził czas; mieścił się w zaplanowanym limicie ale od tego momentu liczyły się sekundy. Wyjął z worka skafander z termostatem i ubrał go. Jeżeli trafił na dobry szyb, krążące w nim powietrze po przepłynięciu w pobliżu zbiorników z helem miało antarktyczną temperaturę. Sprawdził szczelność skafandra, potem wywiercił otwory w ścianie i założył ładunki. Lodowaty strumień powietrza, który buchnął z wyrwy, momentalnie utworzył na ścianach kanału warstwę szronu. Dregner odetchnął z ulgą, ale jednocześnie uświadomił sobie, że kilkanaście kondygnacji wyżej instalacja alarmowa postawiła na nogi całą obsługę KOSEW-u. Przeciął laserem wystające pręty zbrojenia i z granatem w kieszeni wszedł do szybu.

W parę minut później było po wszystkim. Zanim ktokolwiek z obsługi zorientował się, o co chodzi, Dregner wrzucił przez otwór wentylacyjny granat do komory procesora i moduł KOSEW-u wydający decyzje o izolacji ludzi przestał działać. Na dół ratownik nie musiał już schodzić. W połowie drogi zastał otwartą klapę otworu, przez który automaty remontowe wchodziły do szybu, tylko że zamiast automatu zobaczył mundur strażnika KOSEW-u i wycelowany w siebie pistolet laserowy. To też uwzględnił w swoim planie.

*

Dregner w mokrym śmierdzącym kanałem kombinezonie usiadł w fotelu naprzeciw Bartela, Przewodniczącego Rządu Światowego. Stary dyplomata otworzył mahoniową kasetkę z papierosami i podsunął ją ratownikowi. Zapalili obaj i obserwowali się w milczeniu. Dregner wiedział, że ten spokój jest pozorny. Był pewien, iż w prokuraturze przygotowują już akt oskarżenia przeciwko niemu, ale liczył na to, że Winter też przystąpił do akcji; miał odpowiednio urobić opinię publiczną, aby społeczeństwo stanęło po stronie ratownika i tym sposobem uchronić go przed wyrokiem. Ale była to płonna nadzieja. Zanim skończyli palić, do gabinetu, w asyście agentów z oddziału bezpieczeństwa publicznego, wkroczyli jego wspólnicy: Winter, Stevens i Karman. Bartel wskazał im fotele, odprawił agentów ruchem ręki, a kiedy zostali sami, powiedział:

— Pozwolicie panowie, że zanim przejmiecie na swoje barki najpoważniejsze na świecie obowiązki, porozmawiamy sobie przez chwilę.

Zamachowcy wymienili zdumione spojrzenia, a przewodniczący, jakby tego nie zauważając, mówił dalej:

— Mniej więcej pół wieku temu, kiedy wreszcie udało się zjednoczyć cały świat, powstał KOSEW, a w dziesięć lat później sprzężono go z wszystkimi innymi podsystemami ewidencyjnymi i wtedy narodziła się koncepcja przewidywania wpływu poszczególnych obywateli na losy społeczeństwa. To była epoka wiary we wszechmoc matematyki. Socjologowie i ekonomiści mieli wątpliwości, czy rzeczywiście wszystko można obliczyć, ale z matematykami trudno dyskutować. Wytaczają zaraz ciężką artylerię równań a przy tej potędze przeciętny człowiek czuje się marnym pyłem, więc matematycy postawili na swoim. Okazało się, że mieli racje, ale tylko częściowo bo takiego komputera, który zdołałby wykonać wszystkie obliczenia według ich życzeń jeszcze nie zbudowano i prawdopodobnie nigdy to nie nastąpi. Podobno w tej materii istnieje nawet ścisły dowód, ale matematycy nie chcą się do tego przyznać. Tak więc cała koncepcja izolacji ludzi potencjalnie szkodliwych dla społeczeństwa okazała się niewypałem. Zdecydowano się jednak utrzymać tę fikcję. Człowiek jest nieodłączną cząstką przyrody ożywionej, a podstawową zasadą jej istnienia jest walka o byt. Póki świat był podzielony, najpierw na państwa, potem na obozy, tragiczny element wojny towarzyszył ludzkości i w pewnym sensie stanowił siłę napędową cywilizacji i chronił ją przed marazmem. Ale kiedy pokonaliśmy ten etap i na świecie zapanował wreszcie spokój i dobrobyt, wyłoniła się groźba zastoju i rozprężenia społeczeństwa. Obserwowano już to zjawisko dawniej w wysoko rozwiniętych krajach. W ogólnym dobrobycie chleb przestaje smakować. Ludzie szukają czegoś innego, na przykład narkotyków. Przestają pracować i myśleć, bo ten wysiłek wydaje się zbędny. A co może stanowić doping dla naszego społeczeństwa, pozbawionego elementu walki o przetrwanie? Podbój kosmosu...? Ale przecież przeciętnego człowieka co najwyżej interesuje wycieczka na Księżyc. Gwiazdy są abstrakcyjnymi punkcikami na niebie i poza grupką zapaleńców nikogo nie obchodzą. Dlatego utrzymano koncepcję izolacji; nie jako optymalne rozwiązanie, lecz jako zło konieczne. Ten element niepewności, towarzyszący każdemu człowiekowi od urodzenia, stanowi dla naszego społeczeństwa surogat dawnych niebezpieczeństw i walki o byt. Nie twierdzę, że jest to dobre rozwiązanie, ale lepszego jeszcze nikt nie wymyślił. Owszem, są inne koncepcje, lecz nie gwarantują wyników, a eksperymentować na społeczeństwie nie wolno, bo to byłaby zbrodnia.

— A nie sądzi pan, że izolowanie niewinnych ludzi na całe lata też jest zbrodnią? — zjadliwie zapytał Winter.

— A spotkał pan kogoś, kto byłby izolowany dłużej niż przez trzy tygodnie? — odpowiedział pytaniem Bartel.

Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie.

— Sam kazałem podtrzymywać pogłoski o wieloletnich odosobnieniach — rzekł przewodniczący — ale KOSEW miał programowe ograniczenie czasu izolacji do dwudziestu jeden dni. Możecie to sobie sprawdzić w dokumentacji. Wysłanie kogoś na — przymusowe wprawdzie — trzytygodniowe wczasy w luksusowych warunkach chyba nie jest zbrodnią?

— Ale dlaczego po izolacji człowiek nie mógł wrócić na swoje stanowisko, dlaczego musiał mieć złamaną karierę?! — wybuchnął Dregner; czuł się okropnie i gdyby potrafił, własnymi rękami naprawiłby ten cholerny KOSEW.

Bartel zasępił się.

— Ma pan rację — powiedział ze smutkiem. — To był paskudny element naszej gry, ale nie mogliśmy go wyeliminować, bo wtedy całość byłaby uszyta zbyt grubymi ściegami. Na usprawiedliwienie mam też liczby: w ciągu roku — znów wbrew pogłoskom — nakaz izolacji otrzymało zaledwie tysiąc pięćset osób. Tysiąc pięćset na dziesięć miliardów — przyznacie panowie, że to niewiele.

— Cóż, być może, popełniliśmy błąd niszcząc ten sporny moduł KOSEW-u — rzekł Karman.

— Nie przekonał mnie pan całkowicie. Nie wiem, czy teraz, kiedy ten surogat walki o byt przestał istnieć, trudniej będzie utrzymać rozwój cywilizacji. W każdym razie gotów jestem ponieść konsekwencje zamachu, w którym czynnie uczestniczyłem.

— O tak, konsekwencje ponieście wszyscy, chociaż inne niż się spodziewacie — powiedział Bartel spoglądając na zegarek. — Zaraz się dowiecie, co was czeka.

Włączył telewizor. Na ekranie pojawiła się twarz spikera; mówił pełnym napięcia głosem:

— ... Rząd Światowy podał się do dymisji, a kierownictwo Tymczasowej Rady objęli: Jakob Winter, Mikołaj Karman, John Stevens i Sebastian Dregner...

Były Przewodniczący Rządu Światowego zgasił ekran. Winter zbladł jak ściana.

— Co to ma znaczyć? — zapytał słabym głosem.

— Utworzyliście, panowie, Tymczasową Radę; jej zadaniem jest przygotowanie wyborów do Rządu Światowego, który będzie kierował ludzkością w nowych warunkach. Macie oczywiście olbrzymie szanse wygrania tych wyborów i wejścia do Prezydium Rządu. Czeka was sporo problemów, więc proponuję abyście bez zwłoki przystąpili do ich rozwiązywania. Ja odchodzę na emeryturę: będę łowił ryby w Bajkale, może napisze pamiętniki. Zapewne nie będziecie teraz mieli zbyt wiele wolnego czasu, ale jeśli uda się wam chociaż na dzień uciec przed obowiązkami, zapraszam do siebie na weekend. Życzę pomyślnych rządów.

Bartel skłonił się z szacunkiem przed członkami Tymczasowej Rady i wyszedł z gabinetu.

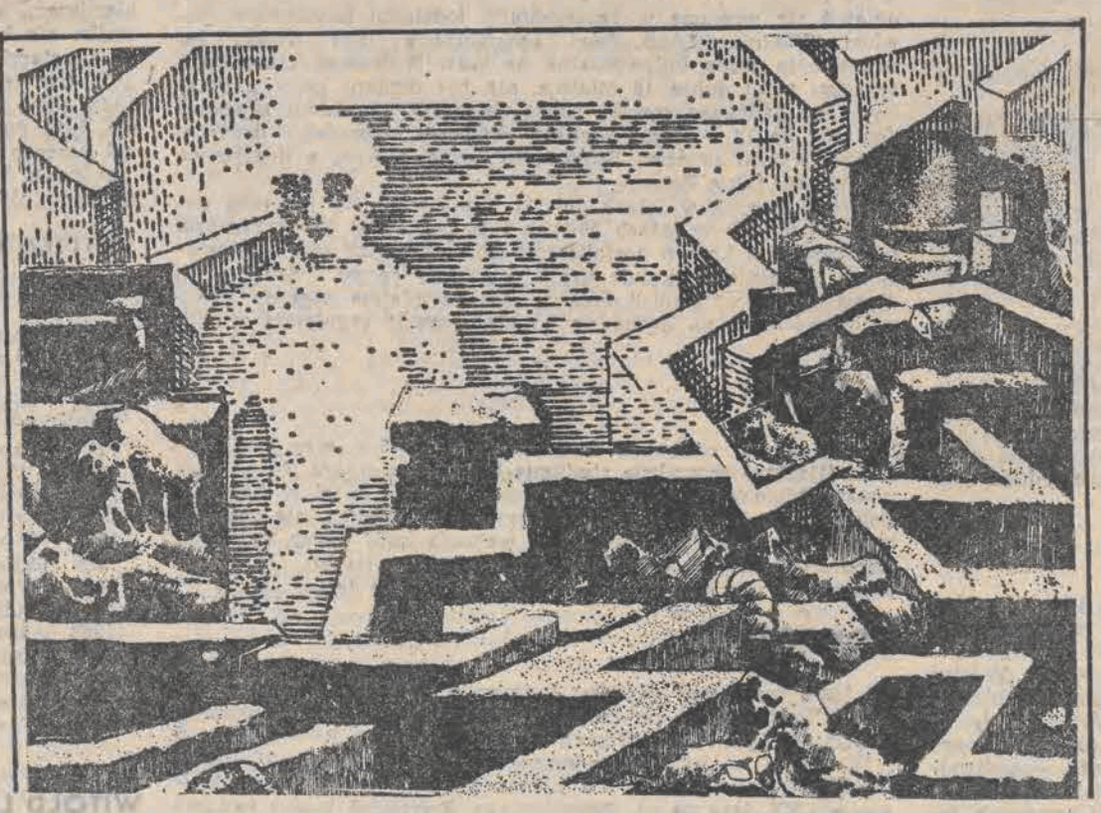

■

1 Spojrzenie znad szachownicy

Pociąg przez Koluszki

Do Szczyrku jechałem przez Koluszki, w których czekała mnie przesiadka. Czystym przypadkiem miałem ze sobą ostatni kwietniowy numer „Odgłosów", ten akurat, w którym Jerzy Kwieciński tak bezlitośnie, acz elegancko równocześnie, rozprawia się z „Kordianem" według Słowackiego granym w Teatrze Studyjnym. Wiedziałem, że Jerzemu spektakl ten wcale się nie podobał, ciekaw jednak byłem po prostu, jak też wytworny starszy pan wywiąże się z roli kata. Owszem, poszło mu nieźle — litości wprawdzie nie okazał, ale też nie kopał leżącego, ba, wyczuwało się nawet coś w rodzaju zakłopotania, że trzeba niby teatrowi wypominać rzeczy całkiem oczywiste.

Zakończyłem lekturę, odłożyłem numer na stolik i zacząłem bić się z myślami, czy też mimo zakazu nie spróbować zapalić papierosa. Wtedy wszedł konduktor. Brunet, gładko wygolony, z równo przystrzyżonymi wąsikami — jak byłby napisał Witkacy. Buty wypucowane, mundur jak spod igły, pełna kultura i w ogóle Europa.

Konduktor sprawdził bilet, popatrzył na leżące „Odgłosy", popatrzył na mnie, zawahał się, wreszcie — jakby w poczuciu winy, że oto zamierza zaniedbywać służbowe obowiązki — zapytał: — Mógłbym przejrzeć?!

— Proszę uprzejmie.

Wziął pismo, usiadł na sąsiedniej ławce — a pociąg był niemal pusty, nie było nawet z kim zagrać w salonowca — wprawnym ruchem przewrócił „Odgłosy" na ostatnią stronę i zaczął czytać powieść Nienackiego.

Twarz miał pokerową, kamienną. Nie wiem, czy czytał z podnieceniem, czy z obrzydzeniem, nie wiem, czy sercem był za Nienackim, czy w duchu Nienackiego szargał, dość że czytał, czytał i czytał, a ja obserwowałem go w oknie niby w lustrze, gdy zapada ciemność okno zaczyna bowiem wcale ostro odbijać siedzące po drugiej stronie postacie.

2.

I wówczas pojawił się lekko podcięty młody człowiek z gatunku pijaczków wylewnych i sympatycznych. Nie pytany zeznał, że zdał właśnie końcowy egzamin w technikum, jedzie odwiedzić dziewczynę, aż gdzieś pod Nowym wie, że na przesiadkę się spóźnił, bo oblewał właśnie dyplom, ma czterysta złotych i — gdyby pan konduktor był tak uprzejmy — on teraz chciałby się dowiedzieć, czy jakoś, czymkolwiek i kiedykolwiek, do tego Nowego Sącza dojedzie.

Konduktor nadal demonstrował europejską klasę. Z żalem odłożył „Odgłosy", sięgnął po rozkład jazdy, wynalazł jakąś oszalałą przesiadkę w Katowicach, odpowiedział na tysiąc i jeden dociekliwych pytań, a że Koluszki zaczęły się już zbliżać, podał mi pismo z lekko zmartwioną miną.

— Gdzie pan to kupił? — spytał — Szukałem na dworcu, ale niestety nie mogłem dostać.

Jechałem na turniej szachowy, na mistrzostwa dobrotliwej i potężnej matki naszej, RSW „Prasa-Książka-Ruch" w całej okazałości, a z zasad strategii wynika, że nieźle jest w takim przypadku popełniać dobre uczynki, bo niekiedy bywają wynagradzane.

— Ach, proszę sobie zatrzymać „Odgłosy" — powiedziałem z wdziękiem — Jestem dziennikarzem, przeczytałem już wszystko od deski do deski, a w domu mam drugi egzemplarz...

(Gwoli ścisłości dodaję, że oświadczenie to było jedynie w dwóch trzecich prawdziwe, osoby o wybitnej inteligencji łatwo wszelako odgadną, w czym rozminąłem się z prawdą).

Pointę do tej historii dopisało natomiast życie. Już po powrocie do Łodzi dowiedziałem się bowiem, że ze względu na trudności z papierem nakład „Odgłosów" — a i innych tytułów także — został od maja obniżony nader drastycznie. W rezultacie pan konduktor nigdy się nie dowie, co też jeszcze przydarzyło się w Skiroławkach, chyba że inni czytelnicy zechcą brać ze mnie jakże uwzniaślający przykład. Zachęcam ich do tego gorąco, zaiste bowiem dobre uczynki uwzględniane są w rachubie niebios, a za makulaturę i tak niczego prawie dziś kupić nie można, amen.

3.

W Szczyrku — co można traktować jako potwierdzenie wyżej postawionej tezy — mistrzostwa szachowe RSW udało mi się wygrać. Opisuję rzecz w dłuższym serialu publikowanym na łamach piątkowych, a więc magazynowych wydań „Expressu", nie będę się tedy powtarzał, choć niby mógłbym, bo znaczna część czytelników „Expressu", „Odgłosów" i innych tytułów zacznie teraz spod kiosków odchodzić z kwitkiem. Czy będziemy się więc bestiać, reklamować wzajemnie, czy też przepisywać jeden od drugiego, obojętne — nikt odtąd nie sprzeda więcej, niż wydrukować mu wolno, a drukujemy i tak mniej, niż mog[illegible] sprzedać.

To byłby jednak temat oddzielny, dziś dodam jedynie, że w Szczyrku nie zauważyłem jakoś prominentnych publicystów, którzy co trochę wtrącają do tekstu jakąś „roszadę", jakiś „gambit królewski", albo też przechwalają się publicznie, na ile ruchów do przodu potrafią myśleć. Nie piję tu akurat do kolegi K. z „Przeglądu Tygodniowego", który przy bliższym poznaniu okazał się człowiekiem wcale sympatycznym i stwierdził nawet otwarcie, że dobrze grywa mu się jedynie w domu, gdzie — jak to mówią — „nawet ściany pomagają", zaś jego specyficzny rodzaj talentu nie nadaje się nawet na wewnętrzny eksport. No dobrze, przypuśćmy, że wierzę — i kłaniam się przy okazji — ale gdzie, do licha, pochowały się te wszystkie inne szachowe mądrale?!

4.

VENI, VIDI, VICI — powiedział wielki Cezar. Najchętniej byłbym to strawestował, ale za diabła nie wiem, jak byłoby po łacinie: **Przyjechałem pociągiem przez Koluszki.** Dalej mogłoby już zostać jak w oryginale.

JERZY P.

OD REDAKCJI:

By zadośćuczynić pasji poznawczej kolegi Jerzego P. zasięgnęliśmy opinii specjalistów od tzw. łaciny współczesnej. (Specjalny słownik przygotowany został przez watykańskich lingwistów — na użytek autorów tekstów kościelnych odnoszących się do sytuacji doby obecnej i używających słów nieznanych w epoce klasycznej czy Średniowieczu, choćby telewizor czy pomieniona kolej żelazna).

Po kilku konsultacjach ustaliliśmy, że zdanie, którego Jerzy P. nie potrafił przetłumaczyć, brzmiałoby tak mniej więcej: „Tramine ferriviario per Coluscia veni". Tyz piknie...

2

Umyć miasto, czy uciąć rękę?

Poszedł dziadek z wnuczkiem na spacer. Niedaleko. Przed blok zaledwie. Wnuczek biegał sobie po placyku, a dziadek zbierał gratulacje, że ma takiego pięknego wnuczka, zdrowego, co to już chodzi i pierwsze słowa umie wymawiać. Dziadek zapamiętał się w swojej dumie, jakby to tylko jego była zasługa. A tymczasem wnuczek pomaszerował ku latarni. Latarnie — jak wiadomo — mają na dole, przy podstawie takie małe drzwiczki, które powinny być zawsze zamknięte. Za tymi drzwiczkami są bowiem gołe przewody pod napięciem, kiedy latarnia się pali. Wnuczek podszedł więc do latarni i otworzył drzwiczki. Nie zdążył na szczęście włożyć ręki do środka, bo ktoś z przechodniów zabrał go spod latarni.

Widziałem już latarnie zupełnie bez drzwiczek, a z pootwieranymi drzwiczkami sporo. Widziałem dziury w jezdni, połamane ławki w parkach, poniszczone pojemniki na śmieci — zwane niegdyś koszami na śmieci. Widziałem odpadający tynk, łuszczącą się farbę na ścianach niegdyś nowych bloków, rozbebeszone automaty telefoniczne, zdemolowane budki z zepsutymi telefonami. Widziałem brud, rozkopane jezdnie i chodniki. Widziałem rozpoczęte i przerwane roboty drogowe, remonty i tak dalej. Mogę jeszcze wyliczać, co widziałem, ale nie ma to żadnego sensu. Nie o to mi chodzi.

Rozumiem że dla zreperowania czegoś co jest pod jezdnią trzeba rozebrać jezdnię. Ale później trzeba ją zalać asfaltem, aby śladu po dziurze nie zostało. Być może ze względu na konieczność ułożenia się ziemi w dziurze przez jakiś czas wystarczy położyć na tej ziemi betonową płytę. Ale czy taka płyta ma leżeć całymi latami?

Nie mam jednak zamiaru chodzić po mieście i liczyć dziury w chodnikach, zdemolowane budki telefoniczne, połamane ławki, poniszczone kosze na śmieci, powyrywane zamki w drzwiach do klatek schodowych, poniszczone automaty telefoniczne... Nie mam zamiaru nie dlatego, że byłby to próżny trud, ale z zupełnie innego powodu.

Objawy wandalizmu może każdy spotkać niemal na każdym kroku. Każdy może też zobaczyć piękne klomby pełne róż i innych kwiatów przed blokami i brud na klatkach schodowych wewnątrz bloków. Może się spotkać z troską o to, aby dzieci nie deptały trawy i zupełną obojętnością na inne objawy wandalizmu. Sprawa ma więc głębszy sens, niż tylko statystyczny bilans strat wyrządzonych przez tych, dla kogo to jest i czyje to jest. Jest to wyraz jakichś postaw, jakichś obyczajów. Bez wątpienia godnych przygany. Albo i czegoś więcej. I o to więcej mi właśnie chodzi.

Powtarzane jest hasło: „Województwo na wysoki połysk". Pożyteczne ono jest, nie ulega to wątpliwości. Ale to mało. Możemy bowiem zawziąć się i umyć całe miasto. Potrwa to trochę, ale dałoby się zrobić. Tylko, co z tego? Następnego dnia będzie ponownie zaśmiecone, zniszczone, zdemolowane. Co więc robić?

Przede wszystkim trzeba być konsekwentnym. Wyjścia są trzy. Pierwsze — łapać tych co demolują i obcinać im ręce. Proponuję to zupełnie poważnie, ale wiem, że jest to zwyczaj średniowieczny i przez dzisiejsze społeczeństwa zostanie odrzucony. A szkoda, bo jakby się tak dwóm, trzem głupkom ucięło łapy, to kilku następnych zastanowiłoby się nim wzięłoby się do niszczenia naszego wspólnego mienia. Więc odłóżmy ten sposób do lamusa historii. Tak robiono ongiś.

Pozostaje zatem do rozważenia sposób drugi. Polega on na tym, że na miejsce czegoś zniszczonego natychmiast stawiamy to samo, ale nowe. Zniszczyli chuligani ławkę, więc już rano stoi nowa. Zniszczyli automat telefoniczny, zainstalowano nowy i tak dalej. Ale mamy kryzys, więc skąd weźmiemy te miliony i miliardy złotych, aby stare, zniszczone zastępować nowymi. A poza tym, kto to zrobi, bo — jak wiadomo — ciągle nam brakuje ludzi do pracy, nie brakuje jakoś do niszczenia. Więc i ten sposób odpada. Może przyda się innym, bogatszym krajom. Odstąpię bez zapłaty. A niech tam!

Przejdźmy więc do trzeciego sposobu. Polegałby on na tym, że wycofujemy z użycia to, co zniszczone, zdemolowane. Zniszczyli chuligani i wandale automat telefoniczny, to monterzy go zdejmują i wieszają na tym miejscu tabliczkę: „W tym miejscu do 8 maja 1984 roku był zainstalowany automat telefoniczny, ale został zniszczony przez wandali i pozostała po nim tylko niechlubna pamięć. Proszę pretensje o to mieć do wandali, a nie do Wojewódzkiego Urzędu Telekomunikacji". Ale musimy być konsekwentni i bez litości. Jak zniszczono ławkę, to zabieramy ławkę i tabliczka. Jak zrobiono dziurę w jezdni, to jezdni nie zabieramy oczywiście, ale malujemy na asfalcie odpowiedni napis, kto i kiedy zrobił tę dziurę i wszystkim wiadomo będzie, że do tej pory jej nie załatał. Nic nowego. Po prostu konsekwencja i jawność życia. Każdy wie, co i komu zawdzięcza. Jak nie będzie miał skąd zatelefonować lub na czym usiąść w parku, to może się zastanowi i następnym razem komuś przeszkodzi w wandalizmie. Innego sposobu nie widzę, a wiem, że coś z tym trzeba zrobić, bo na dalszy postęp w zdziczeniu obyczajów pozwalać już dłużej nie można. Jest to jedyny z tych postępów, który nie ma nic wspólnego z postępem.

ZENON POROWATY

3 Przejście podziemne

Kwiatuś

W środku wiosny nasze przejście podziemne robi się takie jakieś przyjemniejsze jakby. Nie wiadomo dlaczego, bo dziewczyny jeszcze nie są letniogołe... A takie lubimy najbardziej ze wszystkiego, oprócz zimnego piwa u Mrówki.

Zastanawialiśmy się ze szmukierem Mareczkiem, skąd właściwie bierze się ta wiosenna uroda naszego obiektu inżynierskiego, w istocie przecież przypominającego skrzyżowanie dworcowego szaletu w Koluszkach z pawilonem gieesu w Skiroławkach. (Nb. nie bez powodu wspominam Skiroławki, ten kochany kurwidołek, jako że wyklasycznia ł on nam — szargany już nie tylko przez PT. passentów, ale i piosenkowych tekściarzy...).

W końcu Zenuś Małolat sprawę wyjaśnił — mimochodem i najzupełniej przypadkowo (jak to się zdarza przygłupom i jurodiwym) zwracając uwagę na gustowne skojarzenie kolorystyczne krwistoczerwonych tulipanów, stojących w kubełku (skądinąd żółtym).

Jasne, kwiaty! Oprócz tej cholernej Malowanki jeszcze ze sześć panienek rozstawiło po całym przejściu wiadra, puszki i blaszane miski, pełne wszelakiego kwiecia sezonowego — nawet Babunia z Konwalijkami jak co roku przyczłapała z łagiewnickiego lasu... A Grunt malarzyna porzucił ikonki, robi botaniczne „naturmiorty" pod manierę Wasiołka, tyle, że mniejsze dwukrotnie, bo z blejtramami krucho.

Kontemplujemy więc — za sprawą plastycznej wrażliwości Zenusia — tulipanki w wiaderku, aż tu nagle kocioł się zrobił: kubły lecą, woda się leje, jacyś gówniarze w skórach nabijanych żelastwem biorą kwiaty pod obcasy! Zanim zdążyliśmy zatrzasnąć z Mareczkiem walizy z własnym towarem, było już po wszystkim. Zenio zaraportował, że punki uciekły na powierzchnię i odjechały taką niebieską furgonetką, Mercedesem.

Na schodach został tylko jeden, celnie trafiony mokrą ścierą Metowej. Po ocuceniu przez Mareczka i Grunta w kabinie numer pięć przy pomocy górnospłuku, wzięliśmy go na spytki. I co się okazało: bandę wynajęli dwaj grubawi szpanerzy z tego Mercedesa — po szopenie od czuba. Mieli rozbijać wskazane przez tych facetów kwiatowe straganiki. Malowanka wyjaśniła, że chodzi o ceny — ona z koleżankami nie chciały się podporządkować dyktaturze pośredników, same jeździły pod miasto, łaziły po działkach i stosowały tzw. dumping oraz wolną konkurencję.

Przyszedł wreszcie dzielnicowy Banan i przejął sprawę — wraz ze zmaltretowanym punkiem, jako dowodem rzeczowym. A my siedzieliśmy sobie u Mrówki nad świeżym transportem wareckiego.

— Głęboko mnie śmieszą wszyscy ci spece od kryzysu, co zapowiadają, że jedynym lekarstwem na spekulację jest obfitość towarów na półkach — powiedział Mareczek.

— Mareczku, nie może być inaczej, wszystko jest teoretycznie sprawdzone przez ekspertów Baki, Krasińskiego i Nieckarza... A ilu komentatorów — wolontariuszy ochoczo potwierdza tę tezę! Te różne zielińskie, albinowskie, szeligi, podkaminery, bajery — zareplikowałem.

— Teoretycznie to oni mi mogą skoczyć na warsztat. Po prostu obfitości towarów nigdy nie będzie...

— A czemu to niby? Nie wierzysz w światło w tunelu?

— W światło wierzę, nawet już je jakby raz widziałem. Ale założę się o co chcesz, że podziemie gospodarcze też to światełko zauważyło, i to pierwsze niż ktokolwiek. Oni zdążą wykupić wszystko to, czego obfitością będą się chwalić różne GUS-y i ministry. Mają za co, żadne podatki, grzywny i konfiskaty kapitałów im nie naruszą. Popatrz, ostatnio w naszym przejściu podziemnym płoszyli cinkciarzy. Specjalnie szukałem komunikatu w gazecie — i co? Dolarki zabrali i po 25 tysięcy grzywny przyłożyli. Wyjrzyj, już znowu stoją...

Wyjrzałem. Stoją. Kwiatuś zresztą też.

I. ROTACYJNY

4 Sport

Klęska pod Mostem

Nie miałam wielkich nadziei na to, że nasi wspaniali chłopcy pojadą dobrze, że będą inicjowali ucieczki, że będą zdobywali kolorowe koszulki. A nie miałam tych nadziei z tej prostej przyczyny, że nie bardzo mam zaufanie do trenerskich zdolności Andrzeja Rucińskiego, któremu się do tej pory nic wielkiego nie udało zrobić.

Człowieka nie można wprawdzie z góry przekreślać, trzeba mu zawsze dawać możliwość pokazania swoich umiejętności, ale jeśli trener wycofuje na którymś kilometrze Andrzeja Serediuka tylko dlatego, że ma on jechać niedługo w Wyścigu Pokoju, to coś tu jest nie w porządku.

No i przyszedł etap czwarty z Gery do Mostu. Gera leży w NRD, a Most w CSRS. No i pogoda przyszła fatalna, co sprawozdawcy telewizyjni powtarzali z uporem, jakby właśnie teraz w maju było to coś nadzwyczajnego, jakby już się coś takiego w tym wyścigu nie zdarzyło.

Trzeba więc im przypomnieć rok 1972 — było to nie tak dawno przecież — też był etap z Gery, ale do Karlovych Varów. Była ulewa, przenikliwe zimno, wiatr i kolarze mieli liczne defekty. Na poboczu drogi znalazło się 27 kolarzy, którzy zmarznięci i wymęczeni niecierpliwie wyczekiwali na autobus zbierający wycofujących się kolarzy. Przetrzymali tylko najwytrwalsi. Wyścig wygrał wówczas Vlastimil Moravec z drużyny CSRS. Ale w Rzeszowie i Warszawie na mecie pierwszy był Ryszard Szurkowski. Polska jednak nie zmieściła się w pierwszej trójce na podium.

Potem był rok 1976 — to już tylko 8 lat temu — i tragiczny etap z Tatrzańskiej Łomnicy do Krakowa. Wtedy to Nikołaj Gorełow stracił 34 minuty, a liderem Wyścigu Pokoju został na późniejszych etapach Hans-Joachim Hartnik i wygrał cały wyścig. Startowano po stronie czeskiej w deszczu, który padał od rana. Na Łysej Polanie padał już deszcz ze śniegiem, a na Wierchu Porońcu na szosie leżał zamarznięty śnieg. Z Wyścigu Pokoju wycofało się wówczas 21 kolarzy. Marzły im ręce, sztywniały nogi, nie byli w stanie ani kręcić pedałami, ani utrzymać w ręku kierownicy.

Na etapie Kraków — Kielce pierwszy na mecie był Stanisław Szozda. Zajął on w całym wyścigu drugie miejsce, a Polska była trzecia.

Tak to bywało ongiś. Dziś Nikołaj Gorełow trenuje radzieckich kolarzy i zapewne pamięta ów tragiczny etap z Tatrzańskiej Łomnicy do Krakowa. Pamięta, że w maju w Polsce i u sąsiadów bywa zimno, pada śnieg i może być nawet... mróz. Szczególnie w górach. Nie zniesione zostało bowiem takie prawo fizyczne, wedle którego, im wyżej ponad poziom morza, tym chłodniej. Nasi trenerzy być może wagarowali w szkole, kiedy były lekcje z geografii.

W rezultacie mamy po 4 etapach 3 minuty i 52 sekundy straty do prowadzącej drużyny radzieckiej. Jest to prawie 4 minuty. Traciliśmy — rzecz biorąc statystycznie — po jednej minucie na każdym etapie.

Pod czeskim miastem Most ponieśliśmy jeszcze inną klęskę — organizacyjną. Było to wprawdzie na starcie w Gerze, ale próbowano to nieudolnie wytłumaczyć w Moście. Otóż — jak wiadomo — polscy kolarze przyjechali na start ostatni, a trzech z nich wystartowało w minutę po wszystkich. Próbowano to tłumaczyć bałaganem na starcie. Kierownik polskiej ekipy mówił, że polscy kolarze przyjechali ostatnim autobusem, a ten stanął o kilometr od linii startu. Poza tym naszych bohaterów jeszcze masowano w autobusie oraz musieli się przebierać.

W związku z tym mam pytania pod adresem PZKol. Czy tylko polscy kolarze przyjechali ostatnim autobusem? Dlaczego trzech zdążyło na start, a trzech nie? Dlaczego w ogóle Polacy musieli jechać ostatnim autobusem? Czyja to wreszcie wina, że tak się stało? I jakie winni poniosą konsekwencje oraz kiedy się o tym dowiemy?

Inne pytania może mi się nasuną w trakcie dalszych występów naszej ekipy w rozgrywającym się właśnie XXXVII Wyścigu Pokoju.

BOGDA MADEJ

Redaguje zespół: **Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak** (sekretarz redakcji), **Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Grażyna Olechnowicz** (z-ca sekretarza redakcji), **Tomasz Sas** (z-ca redaktora naczelnego), **Igor Sikirycki** (kier. działu literackiego), **Karol J. Stryjski, Janusz Szymański-Glane** (grafik), **Paweł Tomaszewski, Lucjusz Włodkowski** (redaktor naczelny), **Jolanta Wrońska.**

Stale współpracują: **Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Dariusz Milerski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.**

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy", al. Mickiewicza 11, kod 90-433 Łódź. Telefony: sekretariat i redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji 36-80-99. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo do skrótów. WARUNKI PRENUMERATY: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach oddziałów „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych [illegible] Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. [illegible] Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz na cały rok następny; — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. [illegible] Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch" [illegible] Adres: ul. Piotrkowska 96, kod 90-105 Łódź. [illegible] Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej [illegible] Nr indeksu: 36044. Zam. 1366. K-2.

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 18

O nocy, która nadejść miała

I znowu przystanęła, osłaniając dłonią usta, aby przyciszyć swój oddech. Mimo wiatru, głośno skomlącego wśród gałęzi drzew na cmentarzu, najwyraźniej słyszała odgłos kroków wielu ludzi nadchodzących szosą. Nigdy nie była w starym młynie, tylko z daleka widziała, że do jego czarnego od starości drewnianego pudła prowadzą szerokie wierzeje, a z boku znajduje się stromy, wsparty na czterech filarach dach, pod którym gromadzono jesienią i wiosną sztuczny nawóz w foliowych workach. Czekała w ciemnościach, aby ktoś nareszcie nadszedł i minął ją w mroku, a ona mogła pójść tuż za nim. Lecz nikt jej nie mijał, ludzie znajdowali jakąś krótszą drogę między opłotkami albo szli wprost przez łąkę, rozciągającą się dookoła starego młyna.

Wreszcie poszła przed siebie twardo ubitą drogą, tu i ówdzie utkaną grubymi kamieniami. Potykała się o nie, wytrwale jednak wędrowała przed siebie — oddalając się od szumu drzew cmentarnych. Wiedziała, że idzie we właściwym kierunku, ponieważ coraz wyraźniej gdzieś w pobliżu szeleściły poruszane wiatrem foliowe puste worki. I zewsząd, z całej łąki, ciepły wiatr przynosił odgłosy ludzkiego stąpania.

Tuż przed nią szła chyba jakaś kobieta, zapewne Halinka Turlej, bo nozdrzami wyczuła delikatny zapach perfum „Czarny kot". Nieco z boku musiał wędrować stażysta, pan Andrzej, ponieważ zaleciała ją woń ryb z puszki. Uśmiechnęła się na myśl, że to być może nie malarz Porwasz, ale cuchnący rybami stażysta popchnie na siano panią Halinkę, zadrze do góry jej sukienkę i wydobędzie z niej cichy mysi pisk. Skarżył się kiedyś leśniczy Turlej, że jego żona zaraz po ślubie, wydała w łóżku głośniejszy okrzyk, potem już tylko popiskiwała jak mysz, a po kilku latach małżeństwa — milczała w łóżku. Tylko malarz Porwasz mógł rozchylić jej usta do krzyku rozkoszy — czy to nie on idzie tuż obok stażysty? Pachnie olejem lnianym i werniksem jak w jego pracowni malarskiej. Ale o kilka metrów z drugiej strony — ktoś ciężko stąpa, zalatuje mydłem. To chyba chód żony gajowego Widłąga — tak ciężko musi iść kobieta z grubymi udami i ogromnym zadem, z piersiami, na które nawet w Bartach nie ma odpowiedniego stanika. Podniecające wydało się jej opowiadanie, jakim zaraz po schwytaniu zabójcy małej Haneczki uraczył ją Nepomucen. Podobno, jak to wynikało z zeznań młodego Galembki, pewnej nocy Widłągowa wypięła na drodze swój wielki i goły zad i mężczyźni brali ją na stojąco, słuchając wezwania: „jeszcze, jeszcze, bo w ciążę już nie zachodzę". To musiało być dla niej cudowne, tak po nocy, w ciemnościach, oddawać się na stojąco kilku mężczyznom. Nawet chyba nie wiedziała, kto ją dosiada. I na tę myśl pani Basieńce zrobiło się gorąco, odezwał się rozkoszny ból promieniujący z krocza. Rozluźniła chustkę na piersiach, szyję owiał wilgotny podmuch wiatru. Poczuła dreszcz chłodu, ale być może dlatego, że jednocześnie pomyślała o Kryszczaku i o jego jedynym żółtym zębie sterczącym z czerwonego dziąsła. Co zrobi, jeśli to stary Kryszczak przewróci ją na siano i wśliźnie się dłonią między uda? Oczywiście odepchnie go od siebie i będzie szukała mężczyzny, którego włosy pachną dymem papierosowym. Tylko dla niego przecież idzie do starego młyna, by ją w mroku upokorzył i by poznała jego tajemnicę.

Ktoś otarł się o rozwiane przez wiatr poły chustki. Może to tylko liść podniesiony podmuchem wiatru? Zapachniały mocno suszone śliwki. Przystanęła, gdyż poczuła w sobie omdlałość i senność jak zwykle w takiej chwili. Nie wiedzieć czemu przypomniała jej się Justyna Wasilczuk i przeniknęła ją zazdrość. Nic nie wiedziała o tej kobiecie, żyjącej samotnie w swym małym domku. Doktor rzekł kiedyś, że Justyna pachnie suszonymi ziołami — piołunem, miętą i szałwią. Skąd doktor znał zapach tej kobiety? I czy dzisiejszego wieczoru nie wędrował myślami ku jej domostwu — przez mgłę ogarniającą warzywniki? Czym Justyna wypełniała sobie samotność po śmierci swego męża? Kto pukał nocami do okna małej izdebki? Była dziwna — unikała rozmów z innymi kobietami, unikała też chyba mężczyzn. Była młoda i ładna, aż nieprawdopodobne, żeby doktor, który kosztował ciała chyba wszystkich co ładniejszych kobiet w wiosce, na tę jedną w ogóle nie zwrócił uwagi. Nepomucen twierdził, że Gertruda Makuch sprowadza mu do sypialni wiejskie kobiety. Może i Justyna przychodziła co jakiś czas do domu na półwyspie, przekradała się przez warzywniki lub brzegiem jeziora? Tak, to Justyna idzie tuż za nią ostrożnymi, skradającymi się krokami, wiatr przynosi zapach szałwii, piołunu i mięty. Trzeba się śpieszyć, aby nie chwyciła ramionami doktora, który przecież chyba od dawna czeka za wierzejami starego młyna. Na kogo czeka? Na nią, czy na Justynę?...

Przemogła omdlałość i znowu ruszyła przed siebie, a wraz z nią, jak jej się zdawało, szła niezliczona ciżba ludzka, gnana pożądaniem. Stary młyn zarysował się w tle atramentowej nocy jak wielkie niekształtne naczynie. To był piękny obyczaj — choć tak dziki i bezwstydny — w naczynie wypełnione mrokiem sączyć kroplę po kropli własną krew, dać ofiarę ze swego ciała i przyjąć ofiarę innych, stopić się w jedno, w ludzkość, być dla każdego mężem i żoną, bratem i siostrą, ojcem i matką, synem i córką. Czyż nie tak o tej nocy mówił Nepomucen? To było przełamanie w sobie odwiecznego kompleksu ojca i kompleksu matki, droga ku pełnej wolności, gdzie człowiek stanie się sam dla siebie i ojcem, i matką.

Wiatr ucichł raptownie. Uświadomiła sobie, że jest zupełnie sama na wybrukowanym kamieniami placu przed młynem. Gdzie zniknęli inni ludzie? Czy w ogóle szli tu wraz z nią? A może przepadli już w mrocznym wnętrzu? Wyciągnęła przed siebie ręce i ruszyła ku wierzejom powtarzając ze strachem: „idę, już idę do was, idę". Od podbrzusza aż do szyi podnosiło się w niej wrażenie niezwykłego ciepła i radości. „Idę" — szeptała długo, aż palce jej trafiły na chropawe deski drzwi. Nie wiedziała, co powinna zrobić dalej, jak je rozchylić, jak dostać się do wnętrza. „Czy ja śnię?" — zapytała siebie. Dotarło do niej ciche skrzypienie — połówka wierzei otwarła się nagle i z czarnego wnętrza buchnął zapach świeżego siana. Ciepły i wilgotny opar przeniknął do jej nozdrzy, znowu powodując omdlałość. Nadludzkim wysiłkiem zdobyła się na to, aby zrobić krok w tę czerń, która przypominała straszną przepaść. Jeszcze jeden krok i poczuła na swych piersiach dotknięcie czyichś dłoni. Ciepłych i silnych. Te dłonie tylko na chwilę zatrzymały się na sterczących przez sweter sutkach, później ześliznęły się w dół, na spódnicę i pod nią pogłaskały jej uda i gołe łono. Musnął ją przesycony tytoniem oddech — wyciągnęła ręce i objęła mężczyznę za szyję, przyciskając się do niego całym ciałem. Popchnął ją gdzieś w bok, na kopę siana, w którą obydwoje zapadli głęboko. Nie w pełni uświadamiała sobie, co się z nią dzieje. Zaledwie poczuła w sobie męskie prącie, a już ogarnął ją pierwszy spazm rozkoszy. Miała uczucie, że jest znowu jedenastoletnią dziewczynką, która dygoce od dotknięcia dłoni i palców, zarazem jednak była kobietą, rozpychał jej wnętrze twardy i gorący męski członek i zalewał ogromnym ciepłem. Usłyszała własny jęk, który wydał jej się cudzym jękiem, jakby cała mroczna przestrzeń wokół niej wypełniona była obecnością wielu kobiet przeżywających chwile spełnienia. Później była jak odrętwiała, lecz przecież nie utraciła czucia i odnosiła wrażenie, że wszystkie jej intymne miejsca, każdy otwór jej ciała przenika mocna rozkosz. Usta miała pełne własnego i męskiego języka, od dołu wciąż napierała w jej wnętrze jakaś wielka siła, zmuszając ją, aby się otwarła od nowa i inaczej niż dotąd. Zabolało ją, ale znowu — już drugi raz — doznała spełnienia, po czym zapadła w sen na jawie.

Tuż obok stary Kryszczak bluźnił wulgarnymi słowami i obrzucał jakąś kobietę najgorszymi obelgami, nie mogąc zaspokoić starczego podniecenia. Czy to ją, czy też brzuchatą Jaroszową głaskał po piersiach śmierdzący rybami stażysta i chichotał, chwytając brodawki sutek, wyprężonych i nabrzmiałych. „Jeszcze, i jeszcze, bo nie zachodzę w ciążę" — pokrzykiwała Widłągowa, wypinając biały zad. Wydawało się pani Basieńce, że przygniata ją ogromne i ciężkie jak skała ciało cieśli Sewruka, tak naprawdę jednak to była Smugoniowa ze sklepu. Sewruk chwycił potężnymi łapami jej talię, obmierzył palcami biodra i piersi, jak gdyby brał jej miarę na sukienkę. Z kopy siana dobywał się mysi pisk, który wydawały usta Halinki Turlej. Jej szyję owinął jak oślizły wąż przedziwnie długi i wiotki członek Szczepana Żaryna. Cienki języczek węża ukąsił ją w wargę. Nie zabolało, jedynie zrobiło się jej jeszcze gorącej od trującego jadu. „Teraz ty i ty" — rozkazująco przemawiała Renata Turoń, rozkładając na klepisku swoje wielkie obnażone ciało pokryte piegami. Jej mąż, Roman, otwierał szeroko bezzębne usta i burczał głośno zadem, przyglądając się, jak kolejno kładli się na jego żonie — młody Galembka, Porwasz i syn Sewruka. Potem Turoniową smagał batem Otto Szulc i strącał w piekielną, gorejącą ogniem czeluść, skąd już dochodził krzyk Marii Wątruch i bełkotliwe „hrum-brum" Stasiakowej. Białe uda Justyny składały się i rozkładały, jak skrzydła motyla, nikt na nią nie wchodził — leżała samotna, oddalona od innych, dziwna, z nieobecną duszą. Odurzająco pachniało siano, jeszcze silniejszy był zapach ludzkiego potu i surowa woń męskiego nasienia, rybi odór kobiecych genitalii, w które przenikał subtelny aromat suszonych śliwek. Nagie ciała splatały się ze sobą, kłębiły jak rojowisko robaków. Z kąta młyna głodne oczy Antka Pasemki patrzyły między rozchylające się uda Justyny i ciekły z nich krwawe łzy, a potem pojawił się w nich strach, gdy na sianie Porowa, przeźdźwinie wypinając swój obnażony brzuch, wciskała sobie w łono zęby widelca i krzyczała z bólu...

Jak długo to trwało? Raptem ocknęła się — było jej zimno. Uświadomiła sobie, że leży na sianie z podciągniętą do góry spódnicą i obnażonymi piersiami. Piekły ją pogryzione wargi, a gdy zsunęła dłoń między uda i pośladki, pulsował tam lekki i przyjemny ból. Przez szczeliny w drewnianych ścianach przedostawały się podmuchy wiatru i chłodziły jej nagość, wywołując dreszcze. Gdzie się podział ów mężczyzna, który ją sobą wypełnił? Może to nie był jeden, ale wielu — przecież dwa lub nawet trzy razy przeżyła spełnienie, w każdym miejscu czuła ich jeszcze w sobie. Ogarnął ją wstyd, wrażenie ogromnego upokorzenia, bo przyszła tu sama, bez niczyjego rozkazu, z własnej woli. Byli w każdym otworze jej ciała, robili z nią, co chcieli.

Usiłowała podnieść się z siana, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. W końcu wstała jednak i wyszła z młyna. W pamięci nie pozostała jej żadna chwila z powrotnej wędrówki do domu. Zaraz położyła się w ubraniu i butach na łóżku w sypialni i natychmiast zasnęła. Była ogromnie zmęczona, jak gdyby szła gdzieś bardzo długo i potem tak samo długo skądś wracała. A przecież chyba nigdzie tej nocy nie poszła — zasnęła na łóżku wymęczona sprzątaniem i po prostu przespała do świtu.

Rankiem nie chciała myśleć o męczących snach, które trapiły ją nocą. Wykąpała się w ciepłej wodzie z dodatkiem pieniącego szamponu, wytarła ciało szorstkim ręcznikiem. Poczuła się rześko i świeżo. Tylko wargi ją wciąż bolały, nie wiadomo dlaczego.

O tym, jak pisarz Lubiński sam siebie spotkał u śluzy

Późnym popołudniem Lubiński zacumował swój jacht w wąskiej i długiej zatoce przy śluzie. Tuż za jej żelaznymi wrotami zamykającymi ocementowane koryto był kanał, który dalej rozgałęział się w dwie strony: lewą odnogą można było dostać się aż do morza, prawa wiodła do rozległego jeziora z brzegami zabudowanymi przez ośrodki wczasowe. W pobliżu śluzy znajdowało się letnisko z restauracją i stołówką w pseudogotyckim zamku z dwoma basztami i arkadowym podjazdem.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

W zatoce u śluzy, otwieranej co dwie godziny za niewielką opłatą, stanął Lubiński przed dylematem, gdzie skierować dziób swojego jachtu: nad morze czy w inną stronę? Siedząc w kokpicie na lewej burcie, widział brzeg z kolorowymi domkami kempingowymi w wysokopiennym lesie oraz dwie wieże gotyckiego zamku. Miał też przed oczami kanał i cumujący tam biały jacht, identyczny z tym, jaki i on posiadał. Użytkownik owego jachtu także zdawał się czekać na otwarcie śluzy, ale chyba również w sposób niezbyt zdecydowany, skoro rzucił kotwicę nie przy samej śluzie, ale przy brzegu (dla odmiany jednak przy brzegu lewym, gdy Lubiński cumował przy brzegu prawym). Tamten jacht miał dziób skierowany na jezioro Baudy, jacht Lubińskiego kierował się na kanał. „Tak będzie wyglądał mój jacht, gdy za kilka dni powrócę na Baudy" — pomyślał Lubiński. I zaraz potem, przyjrzawszy się uważnie kadłubowi identycznego jachtu, jego osprzętowi, grotowi z niewielką plamą brudu przy pięcie bomu, różowym firaneczkom, zasłaniającym od wewnątrz szyby bulajów, odniósł Lubiński niespokojne wrażenie, że to jego własny jacht znajduje się po drugiej stronie śluzy i w ten sposób niejako widzi sam siebie w czasie przyszłym lub zaprzyszłym. A choć to wydawało mu się nieprawdopodobne, poraziła Lubińskiego myśl, że, być może, u śluzy zdarzyło mu się spotkać z sobą samym lub ściślej, z jakimś drugim pisarzem Nepomucenem Marią Lubińskim. Zgodnie bowiem z rachunkiem prawdopodobieństwa w świecie liczącym kilka miliardów istnień ludzkich mógł żyć jeszcze jakiś Nepomucen Maria Lubiński, pisarz i właściciel białego jachtu. Od dawna zresztą kiełkowało w Lubińskim podejrzenie, że istnieje z całą pewnością drugi Nepomucen Maria Lubiński, w swoim czasie zasięgnął w tej sprawie rady u pewnego psychiatry. Ten wyjaśnił mu, że każdy człowiek składa się poniekąd aż z trzech warstw lub, jak kto woli, istot, to jest z „ego", „superego" i „id". Nie jest to żadna dolegliwość czy anomalia. Lubiński ze względu na swoją artystyczną nadwrażliwość te trzy warstwy osobowości odczuwać może jako trzy lub dwie odrębne istoty. Niewykluczone, iż prowadzi z nimi dysputy oraz rozmowy, czyli dokonuje autoanalizy. Owego drugiego i trzeciego Lubińskiego (jakby się każdego z nich nie nazwało „superego" czy „id") Nepomucen nigdy jednak na swoje oczy nie oglądał, lecz tylko podejrzewał ich istnienie. Teraz jednak, późnym popołudniem, stanął oko w oko ze zjawiskiem, że po drugiej stronie śluzy być może cumuje swój biały jacht jakiś drugi Lubiński, nawet jeśli to było tylko jego „id" lub „superego". Odrzucając psychologiczne czy też psychoanalityczne uzasadnienie, można było również przyjąć założenie zaczerpnięte ze znanych Lubińskiemu książek science *fiction*, że nie ma wcale dwóch Lubińskich, ale oto zdarzyła się sprawa wyjątkowa. Ni stąd, ni zowąd zawiązała się słynna pętla czasu — wcześniejszy Lubiński spotkał się oko w oko z Lubińskim o kilka dni późniejszym i dojrzalszym. Wyostrzył więc Nepomucen swój wzrok i starał się zobaczyć właściciela drugiego białego jachtu, aby stwierdzić, czy w rzeczy samej jest to osobnik identyczny z nim, podobnie jak identyczny był jacht, jego osprzęt i firanki na bulajach. Atoli owego osobnika nie ujrzał. Nie mógł go zresztą zobaczyć, jeśli tamten siedział za kabiną na prawej burcie, tak samo jak i tamten nie mógł zobaczyć Nepomucena, siedzącego na lewej burcie za kabiną. Nie było zresztą wykluczone, że ów drugi Lubiński opuścił jacht, przeszedł przez kładkę na śluzę i właśnie jadł kolację w restauracji. Czy wolno było Nepomucenowi stracić okazję spotkania się ze sobą samym?

Zrzucił żagle, grot dokładnie owinął wokół bomu, a fok sklarował wzdłuż lewego szotu. Następnie wszedł do kabiny i z niezwykłą starannością przywdział swój odświętny strój żeglarski: białe tenisówki, białe spodnie, czarny golf oraz białą kapitańską czapkę. Niewielkie lusterko w kabinie utwierdziło go w przekonaniu, że w owym stroju — z jasną obfitą brodą i błękitnymi oczami — sprawiać będzie miłe, a nawet ujmujące wrażenie. Ten drugi, powracający z rejsu Lubiński, nie mógł być aż tak elegancki, a już na pewno po kilkudniowym rejsie nie miał świeżo wyprasowanych spodni o nieskazitelnej bieli.

Jachtem zakołysało. Właśnie otworzono śluzę i poziom wody w jeziorze i kanale zaczął się gwałtownie wyrównywać. Kilka łodzi żaglowych i motorówek, które w międzyczasie zebrały się z dwóch stron żelaznych wrót, teraz przepływało w obydwu kierunkach. Było to ostatnie otwarcie śluzy tego dnia i Lubiński wyskoczył do kokpitu pełen obaw, że biały jacht z drugiej strony za chwilę minie go w drodze na Baudy.

Ale ów jacht stał w tym samym miejscu co poprzednio, ba, miał już żagiel owinięty wokół bomu, co znaczyło, że jego właściciel zdecydował się spędzić tutaj noc. Zapewne w tym samym czasie, kiedy Nepomucen przebierał się w swój odświętny strój żeglarski, tamten zajął się zwijaniem żagla. Ciekawiło Nepomucena, czy jest on tak samo dobrym żeglarzem, czy tak samo starannie owinął żagiel wokół bomu, szotową linę ułożył w słoneczko, pięknym węzłem opatrzył fały na knadze przy maszcie. Rzecz jasna, Nepomucen mógł po prostu wyskoczyć na brzeg, przespacerować się po kładce na drugą stronę i zajrzeć do tamtego jachtu. Była to jednak czynność zbyt prosta, a nawet w pewien sposób pospolita. Wolał pozostać przy myśli, że po drugiej stronie śluzy cumuje jego „super" czy „alter", pragnął obracać w sobie tę sprawę jak pomysł literacki, bawić się nim jak pingpongową piłeczką, którą bez wysiłku można przerzucać z ręki do ręki. A ponieważ odczuwał lekki głód, tedy chciał wierzyć, że tamten również ów głód odczuwa i zapewne już udał się na kolację do restauracji.

Od śluzy do zamku prowadziła alejka wysypana białym żwirem. Nepomucen przekroczył oszklone drzwi i znalazł się w dużej sali z drewnianym stropem. Pod lewą ścianą stał bufet, salę wypełniało kilkanaście stolików pokrytych brudnymi serwetami. Gości było niewielu, jedynie w samym rogu jakieś towarzystwo raczyło się piwem. Przez wąskie pseudogotyckie okna sączyła się do sali różowa poświata zachodzącego słońca, czerwonymi refleksami odpowiadały jej butelki z wódką w szafce za bufetem, z głośnika pod sufitem płynęła rzewna melodia.

Lubiński wybrał stolik tuż obok drzwi, z najmniej brudną serwetą. Ciężkie krzesło z wysokim oparciem okazało się wygodne, ale zanim na nim usiadł, siedzenie wytarł starannie chusteczką, aby kurzem lub resztkami jedzenia nie pobrudzić białych spodni. Po sali wolnym i ciężkim krokiem snuła się kelnerka, jeszcze młoda brunetka z ładną twarzą, lecz już otyła, dziwnie zaokrąglona z przodu. Nad dużym brzuchem wisiały ogromne piersi, rozpychając zatłuszczoną bluzkę z szyfonu. Kelnerka zbierała ze stołu pełne niedopałków popielniczki, strzepywała z obrusów resztki jedzenia, zbierała z podłogi papierowe serwetki. Gdy była zwrócona tyłem do Nepomucena i pochylała się po serwetki, jej zbyt krótka spódnica odsłaniała grube uda, a gdy zwracała się przodem, pulchne piersi niemal wypadały z dekoltu i niespokojnie poruszały się w bluzce. Nepomucen odkrył w sobie ogromną ochotę, aby podejść do tej kobiety, wyjąć jej piersi na wierzch, zważyć je w dłoniach jak wielkie dorodne gruszki. Poczuł pożądanie i zdumiał się tym faktem, bo przecież w domu pozostawił ładną, zgrabną żonę — wąską w talii i bez brzucha. Nigdy nie gustował w kobietach tęgich, brzydził się niechlujstwem. Czemu więc podniecił go ten ciężki tłumok w brudnym fartuchu i zatłuszczonej bluzce? Miała wydatne wiśniowe wargi, gładką cerę twarzy, ale czarne kędziory wymykające się spod białego czepka wydawały się być polepione łojem. Co mu się stało, że zapragnął tej kobiety? A może raptem stał się kimś innym? Jest owym Lubińskim powracającym z rejsu, tym, kogo szukał. Choć niezupełnie. Sądził, że spotka swoje „superego", a natknął się jedynie na „id", zespół własnych ukrytych popędów.

c.d.n.